

Andre Norton

Gwiezdna straż

**Tłumaczył Włodzimierz Nowaczyk
Tytuł oryginału Star Guard**

Wprowadzenie Najemnicy

Kiedy gatunek dominujący na pomniejszej planecie układu wirującego wokół żółtego słońca, znanego pod nazwą „Sol”, leżącego na skraju Galaktyki poznał tajniki lotów kosmicznych i trafił na nasze szlaki, pojawił się problem, który Centralna Kontrola musiała rozwiązać, i to szybko. Owi „ludzie”, jak zwykli się byli określać, łączyli w sobie ciekawość, odwagę oraz umiejętności techniczne z prymitywnym dążeniem do rywalizacji z innymi rasami i gatunkami, z wrodzonym instynktem walki. Gdyby ten instynkt nie został natychmiast rozpoznany i gdyby umiejętnie nad nim nie zapanowano wówczas, mimo że stanowili oni zaledwie małą cząstkę naszej społeczności, ich niesamowity wpływ mógłby zakłócić pokój gwiazdnych szlaków i wciągnąć do walki całe sektory.

Jednak w porę przedsięwzięto odpowiednie działania i przydzielono Ziemianom rolę, która nie tylko odpowiadała ich naturze, lecz również służyła jako zawór bezpieczeństwa dla wszystkich innych wojowniczych układów, składających się na naszą ogromną konfederację. Po gruntownym przebadaniu przez psychotechników z Centralnej Kontroli Ziemianie mieli służyć jako najemni żołnierze Galaktyki przynajmniej do czasu, aż te zbyt niezależne i agresywne stworzenia nie znajdą dla siebie mniej niebezpiecznego powołania.

W ten właśnie sposób powstały „hordy” i „legiony”, o których wzmianki często spotykamy w różnych opracowaniach historycznych z tego okresu. Organizacje te, skupiające pod swą egidą „archów” bądź „mechów”, prowadziły wojny w imieniu każdego władcy, który uznał za stosowne wzmocnić swój autorytet, wynajmując ich do walki.

Archowie, którzy tworzyli hordy, świadczyli swe usługi prymitywniejszym światom i byli wyposażeni w broń do walki na lądzie oraz przygotowani do bezpośrednich starć z przeciwnikiem. Mechowie z legionów zajmowali się walką na wyższym poziomie technicznym, często prowadząc ją w formie gry, której reguły zmuszały jedną z walczących stron do poddania się, zanim jeszcze doszło do prawdziwej bitwy.

Z pomocą surowych testów zdolności przydzielano jeszcze młodych „ludzi” do grupy archów lub mechów. Po okresie intensywnego szkolenia podpisywali oni kontrakty ze swoimi bezpośrednimi dowódcami. Część zapłaty uzyskanej przez poszczególne hordy lub legiony od zleceniodawcy trafiała na ich ojczystą planetę, Terrę, w postaci podatku. Inaczej mówiąc, ten system planetarny stał się eksporterem wojowników i uzbrojenia, czyli handlował walką. Ziemianie najwyraźniej bez sprzeciwu pogodzili się ze swoją rolą w naszej społeczności już w pierwszym pokoleniu od czasu nawiązania z nami kontaktu.

Trzysta lat później (patrz tom szósty, druga kolumna — rok 3956 naszej ery, w dużej mierze poświęcony planecie Terra ze względu na to, że materiały źródłowe dotyczące tego okresu opierają się głównie na opracowaniach sporządzonych przez samych Ziemian) pewna niezbyt liczna horda została zatrudniona przez wojowniczego władcę planety Fronn. Wykonując powierzone jej zadanie, horda ta trafiła na sytuację, która nie tylko wpłynęła zasadniczo na losy tworzącego ją gatunku, ale i na historię całej Galaktyki. To, czy zmiana ta miała wyjść nam wszystkim na korzyść, wykazać może dopiero przyszłość.

(Fragmenty wykładu z cyklu „Historia Galaktyki XX”, wygłoszonego przez Pierwszego Histechnika Zorziego na Galaktycznym Uniwersytecie Zacan — temat

wykładu: Wpływ mniejszych układów planetarnych na historię Galaktyki —
wygłoszonego w dniu Zol, w roku 4130 naszej ery, zgodnie z kalendarzem planety
Terra).

Rozdział I

Miecznik trzeciej klasy

Kana Karr, miecznik trzeciej klasy, nigdy dotąd jeszcze nie był w Primie, zwalczał więc gorące pragnienie, aby przytulić się do ścian portu kosmicznego i wpatrywać w wieże wznoszące się wysoko w stalowy błękit porannego nieba. Jednak, gdyby to uczynił, zdradziłby się, że jest żółtodziobem, zadowolił się więc jedynie ukradkowymi spojrzzeniami, niepostrzeżenie chłonąc ten niesamowity widok. Bardziej niż kiedykolwiek dokuczała mu świadomość, że przysłano go do dowództwa o cały miesiąc później niż pozostałych rekrutów z jego grupy, tak więc najprawdopodobniej będzie jedynym nowicjuszem wśród czekających na przydział w komisji rekrutacyjnej.

Już sam pobyt w Primie był podniecający. Był to cel, do którego dążył w ciągu długich dziesięciu lat intensywnego szkolenia. Postawił na podłodze worek z wyposażeniem i wytarł dłonie w' obcisłe spodnie — mimo że był to chłodny wiosenny poranek, czuł, że się poci. Szywny kołnierz nowej szarozielonej tuniki wpijał się w gardło, a policzkowe osłony wyjściowego hełmu obcierały zuchwę. Ekwipunek nigdy dotąd tyle nie ważył.

Miał bolesną świadomość faktu, że paski na jego ramionach pozbawione były insygniów, a na hełmie nie było pióropusza. Mężczyźni, którzy przylecieli tym samym promem, aż lśnili od przybranych klejnotami oznak dokumentujących uwieńczone sukcesem wyprawy. Dumne pawie — weterani!

Pocieszał się, że wkrótce i on osiągnie taką pozycję. Przecież każdy z nich kiedyś stał tu na progu, bez insygniów, i najprawdopodobniej równie zmieszany jak on sam w tej chwili.

Uwagę Kany zwrócił inny kolor, oślepiająco żywy wśród znajomych szarych zieleni i srebra. Zaciśnął usta w wąską linię, a jego błękitne oczy, tak wyraźne na ciemnoskórej twarzy, przybrały barwę zimnej stali.

Pojazd powierzchniowy zatrzymał się właśnie przed drzwiami budynku, do którego go skierowano. Wysiadł z niego przysadzisty mężczyzna w szkarłatnym kombinezonie, a za nim pojawiło się jeszcze dwóch w czarno-białych strojach. Ziemscy kombatan ci jak na rozkaz rozstąpili się, by umożliwić im przejście do samego wejścia.

Kana Karr powtarzał sobie, że nie był to wyraz szacunku. Na własnej planecie Ziemianie nie okazywali szacunku agentom galaktycznym w taki sposób, chyba że chcieli z nich zakpić. Przyjdzie jeszcze czas, kiedy...

Zaciśnął pięści przyglądając się, jak czerwony kombinezon i towarzyszący mu galaktyczni ochroniarze znikali w pomieszczeniach komisji rekrutacyjnej. Doskonale wiedział, że wszyscy ET, przybysze spoza Ziemi, którzy byli jego nauczycielami po uznaniu go godnym szkolenia, stanowili klasę samą w sobie. Prawdopodobnie dlatego, że nie byli ludźmi, nigdy tak naprawdę nie zaliczał ich do tych notabli z Centralnej Kontroli, którzy wiele pokoleń temu tak beztrąsko określili mieszkańców układu Soi mianem „barbarzyńców”, i ograniczyli ich obywatelstwo galaktyczne wieloma ustalonymi przez siebie warunkami.

Zdawał sobie sprawę z faktu, że nie wszyscy jego współbratymcy dzielili jego niechęć do tej grupy. Na przykład większość kolegów z jego grupy szkoleniowej ochoczo godziła się na los, który wyznaczono im tak arbitralnie. Otwarty sprzeciw oznaczał obozy pracy i zaprzepaszczenie szansy wyprawy w kosmos. Jedynie kombatan ci w służbie czynnej mieli przywilej odwiedzania gwiazd. Kiedy jeszcze na

początku szkolenia młody Kana przekonał się, że nie ma innego wyjścia, postanowił schować się pod maską wzorowego archa. Intensywność szkolenia dawała pewne ukojenie i pomagała opanować nienawiść wywołaną faktem, że obcy nie pozwalali mu wędrować wśród gwiazd tak, jak tego pragnął.

Ostry dźwięk wojskowego gwizdka ogłaszającego godzinę sprowadził go na ziemię i uświadomił, że ma jeszcze coś do załatwienia. Zrzucił worek na ramię i wspinał się po schodach, które przed chwilą pokonał agent. Zostawił bagaż w schowku przy wejściu i ustawił się w kolejce mężczyzn wijącej się w głąb wewnętrznego holu.

W tej części kolejki, w której się znalazł, wyraźnie dominowali mechowicze w swych błękitnoszarych kombinezonach i okrągłych przezroczystych hełmach. Nieliczni archowie w tym gronie byli weteranami. Dlatego nawet wśród swoich Kana czuł się tak samo wyobcowany jak przedtem na ulicy.

— Starają się to opanować, jednak Falfa nie przyjął tego zadania dla swego legionu. — Mech stojący obok, mężczyzna około trzydziestki z dziesięcioma szczerbami na honorowej szpadzie, oznaczającymi udział w tyłuż misjach, nawet nie starał się mówić cicho.

— Oberwie mu się za to — odpowiedział jego kompan bez szczególnej wiary w swoje słowa. — W końcu jest coś takiego jak pechowa seria...

— Pech? Dwa różne legiony nie wracają z tego samego zadania, a ty mówisz o pechu? Moim zdaniem powinno się przeprowadzić jakieś dochodzenie. Czy wiesz, ile legionów skreślono w ciągu ostatnich pięciu lat? Dwadzieścia! Czy to wygląda na pech?

Kana bezwiednie otworzył usta równie szeroko jak rozmówca mecha. Dwadzieścia legionów straconych w walce w przeciągu pięciu lat! Rzeczywiście, trudno to uznać za pech. Jeżeli nowoczesne, doskonale uzbrojone legiony działające jedynie na cywilizowanych planetach zostały tak zdziesiątkowane, to cóż można powiedzieć o hordach odbywających służbę na barbarzyńskich światach? Czy ich „pech” był równie dokuczliwy? Nic dziwnego, że coraz częściej słyszało się szeptem wypowiedziane uwagi, że cena, jaką Centralna Kontrola wyznaczyła za podbój kosmosu, a którą przez prawie trzysta lat płaciła Terra, była zdecydowanie zbyt wysoka.

Mężczyzna stojący przed nim nagle ruszył naprzód, więc Kana pospiesznie podążył za nim. Znaleźli się przy bramce rekrutacyjnej. Kana otworzył naramiennik, by móc bez zwłoki wręczyć go dyżurnemu mistrzowi miecza. Ten pasek giętkiego metalu wprowadzony do czytnika automatycznie wyświetlił na ekranach komputerów kierujących przydziałami wszelkie niezbędne informacje na temat niejakiego Kany Karra, australo-malajo-hawajczyka, w wieku osiemnastu lat i czterech miesięcy; wyszkolenie: podstawowe o specjalizacji pozaziemskiej; ostatni przydział służbowy: brak. Kiedy te dane dotrą do komisji rekrutacyjnej, nie będzie już odwrotu. Mistrz miecza przyjął naramiennik, na moment przetrzymał go w czytniku i oddał z miną człowieka znudzonego rutynową pracą.

Wewnątrz było wiele wolnych krzeseł — mechowicze na lewo, archowie na prawo. Kana zajął jedno z najbliższych i ośmielił się rozejrzeć wokoło. Na wprost krzeseł znajdowała się tablica przydziałów błyskająca pomarańczowymi światełkami. Choć doskonale wiedział, że jego numer nie mógł się jeszcze na niej pojawić, czuł, że nie może spuszczać z niej oka. Wezwani natychmiast wstawali i kierowali się ku drzwiom w odległym rogu sali.

Archowie — Kana pochylił się, by móc ich dokładniej policzyć. Było wśród nich co najmniej dwudziestu mieczników pierwszej klasy, a nawet dwóch mistrzów miecza. Około pięćdziesięciu z drugiej klasy. Mimo że wyteżał wzrok, szukając hełmów bez pióropusza, okazało się, że był jedynym reprezentantem klasy trzeciej. Rekruci wypuszczeni przed nim z centrum szkoleniowego musieli dostać swe

przydziały jeszcze przed jego przybyciem. Uwaga: czerwone światło.

Dwóch mężczyzn z drugiej klasy podniosło się z krzeseł, zdecydowanymi ruchami wygładzili tuniki i poprawili pasy. Zanim jednak ruszyli przejściem, coś się zdarzyło. Tablica zaświeciła białym światłem, a następnie zgasła zupełnie, kiedy mała grupka mundurowych zesłała po dwóch schodkach na platformę ogłoszeniową.

Kombatant bez skrzyżowanych na piersi pasów świadczących o przydziale bojowym, lecz z czterema gwiazdami lśnącymi na tunice zrobił krok naprzód przed tłumem rozszepczanych mieczników i mechów. Stał obok agenta galaktycznego i jego ochroniarza. Kana natychmiast rozpoznał w nich humanoidy. Agent pochodził z Vegi Trzeciej, ochroniarz z Capelli Drugiej — zdradzała ich długość szczupłych nóg.

— Kombatanci! — rozległ się donośny, wyszkolony na defiladach, głos oficera. Natychmiast zapadła głucha cisza. — Pewne niedawne wydarzenia zmuszają nas do wydania tego oświadczenia. Przeprowadziliśmy pełne śledztwo, wykorzystując techniczne możliwości centralnej kontroli, w sprawie naszych kłopotów na Nevers. Mamy urzędowe potwierdzenie, że nasze porażki były spowodowane miejscowymi warunkami. Plotki na temat tego epizodu nie mogą być powtarzane w żadnym z naszych związków bojowych pod rygorem złamania zasady lojalności, zgodnie z kodeksem powszechnym.

Na Terrę! Zdumienie Kany nie uwidoczniło się na twarzy odziedziczonej po malajskim dziadku, lecz w jego mózgu kłębiły się myśli. Przecież takie oświadczenie po prostu musiało sprowokować kłopoty — czy ten oficer nie zdawał sobie z tego sprawy? Mina agenta galaktycznego świadczyła, że nie był zadowolony. Kłopoty na Nevers, pierwszy raz usłyszał tę nazwę, ale był gotów założyć się o połowę pierwszego żołdu, że w przeciągu dziesięciu minut każdy obecny na sali będzie się gorączkowo starał dowiedzieć, co mówią plotki, którym tak kategorycznie zaprzeczano. Fala domysłów rozleje się jak plama oleju na rzece.

Agent wysunął się do przodu. Wyglądało, że spiera się o coś z oficerem. Jednak w tym miejscu mógł on być jedynie doradcą — nie miał prawa do wydawania bezpośrednich rozkazów. Zresztą i tak było już za późno na naprawienie wyrządzonej szkody. Jeżeli nawet oficer chciał rozproszyć wątpliwości, to swym postępowaniem dolał jedynie oliwy do ognia.

Potrząsnąwszy zdecydowanie głową, oficer ruszył przejściem w kierunku wyjścia, zmuszając swych towarzyszy, by podążyli za nim. Tablica ponownie rozbłysła. Początkowy szmer urósł do wrzawy, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Kana zerknął na tablicę w odpowiednim momencie. Trzech weteranów podniosło się ze swych krzeseł, a na ekranie pojawiła się właśnie znajoma kombinacja liczb. Przez ostatnie dziesięć lat nauczył się na nią reagować szybciej niż na nazwisko odziedziczone po wyspiarskich przodkach.

Za drzwiami zwołnił nieco kroku, trzymając się skromnie z tyłu za starszymi stopniem, którzy również zostali wezwani. W końcu trzecia klasa była jedynie trzecią klasą i nie mógł wywyższać się nad nikogo, nie licząc kadetów w trakcie szkolenia. Był najmniejszym z maluczkich i nie śmiał skrobać marchewki mężczyźnie, który tuż przed nim wszedł do windy.

Rysy twarzy faceta zdradzały jego arabsko-afrykańskie pochodzenie z minimalną domieszką krwi europejskiej po garstce uchodźców z północy, uciekających na południe po wojnach atomowych. Był bardzo wysoki, bez brody, z bliznami przecinającymi ciemną skórę. Jednak trofea z wielu kampanii bogato zdobiły jego hełm i pasy. Kana zmrużył oczy, by je lepiej rozpoznać: co najmniej pół tuzina szczerb na szpadzie, choć mężczyzna nie wyglądał na wiele więcej niż trzydzieści lat.

W górnym holu archowie wezwani ostatnim sygnałem ustawili się w szeregu. Weterani prezentowali się wspaniale. Zarówno archowie, jak i mechowie, którzy

służyli poza Terra, mieli zwyczaj nosić przy sobie pamiątki swych podbojów. Udana misja oznaczała kolejny klejnot na pasie lub hełmie. Kiedy nastawały gorsze czasy, łatwo było je sprzedać, aby jakoś związać koniec z końcem. Był to rodzaj zabezpieczenia przydatny na każdej planecie Galaktyki.

Dokładnie dwie minuty po dwunastej Kana wszedł do boks oficera rozdzielającego przydziały. Był nim odznaczony mistrz miecza z plastikową ręką, usprawiedliwiająca jego obecny status. Kana stanął na baczność.

— Kana Karr, miecznik, trzecia klasa, pierwszy przydział, sir — przedstawił się.

— Bez doświadczenia. — Plastikowe palce wybijały niecierpliwy rytm na blacie biurka. — Ale macie szkolenie ET. Dokąd udało się wam dotrzeć?

— Poziom czwarty, kontakt z niezemianami, sir. — Kana był dumny z tego osiągnięcia. Był jedynym ze swej grupy szkoleniowej, który zaszedł aż tak daleko.

— Czwarty poziom — powtórzył mistrz miecza beznamiętnie. — To już coś. Przydzielimy was do hordy Yorke'a. Akcja policyjna na planecie Fronn. Normalne stawki. Pierwszy statek z bazy Secundus dziś wieczorem, przelot stąd na Fronn. Podróż trwa około miesiąca. Termin przydziału — do zakończenia akcji. Macie prawo się nie zgodzić, to pierwszy wybór. — Powtórzył ostatnie słowa znużonym głosem osoby, która musi stale powtarzać oklepane formułki.

Kana doskonale wiedział, że ma prawo do dwóch odmów, wiedział też, że egzekwowanie tego prawa powodowało otrzymanie czarnej kropki. Akcja policyjna, choć ten termin obejmował wiele różnych form służby, była zwykle wspaniałą okazją, by zdobyć doświadczenia.

— Zgadzam się na ten przydział, sir! — ponownie zerwał opaskę z ramienia i patrzył, jak mistrz miecza wsunął ją do czytnika, wciskając przyciski pozwalające na wprowadzenie danych koniecznych w przypadku pierwszego przydziału. Po skończeniu służby może liczyć, że w naramienniku pojawi się gwiazdka oznaczająca udaną misję.

— Statek startuje z doku piątego o siedemnastej. Spocznij! Kana zasalutował i opuścił boks. Był głodny. Mesa przydziałowców była czynna, a mając już zatwierdzony przydział, miał też prawo zamówić coś więcej niż rację podstawową. Nie chcąc jednak wydawać pieniędzy, których jeszcze nie zarobił, zgodził się na posiłek przysługujący każdemu noszącemu tunikę archa. Pochylony nad jedzeniem, podsłuchiwał rozmowy i plotki z sąsiednich stolików. Jak przewidywał, oświadczenie wygłoszone w sali przydziałów wywołało falę najdzikszych domysłów.

— Stracili pięćdziesiąt legionów w ciągu zaledwie pięciu lat — głosił jeden z mehmistrzów. — Już nie mówią nam całej prawdy. Słyszałem, że Longmead i Groth odmówili przyjęcia przydziału...

— Generalicja zaczyna się niepokoić — skomentował to jeden z mistrzów miecza. — Widziałeś, jak Poalkan na nas patrzył? Chciałby ściągnąć patrol i wyczyścić sprawę. Powiem ci, co powinniśmy zrobić — załapać się na jakąś spokojną planetę w rejonie, który mam na myśli. To by nam pomogło...

Przez moment milczeli. Ten drugi nie musiał wymieniać nazwy planety, którą miał na myśli. Cała ludzkość burzyła się przeciw Centralnej Kontroli i łatwo było domyślić się, o co mu chodzi.

Kana nie mógł dłużej zwlekać. Pospiesznie wyszedł z rozplotkowanej mesy. Horda Yorke'a była niewielkim oddziałem. Jej dowódca, Fitch Yorke, był młody. Dowodził niewiele ponad cztery lata. Czasami pod niezbyt doświadczonym dowódcą można było lepiej się wyróżnić. Fronn był światem, o którym Kana niewiele wiedział. Łatwo jednak uzupełnić tę lukę. Wijące się korytarze doprowadziły go do biblioteki z rzędem kabin pod ścianą. Na końcu sali znajdowała się konsola z wieloma przyciskami. Wcisnął odpowiednią kombinację i spokojnie czekał na kasetę.

Otrzymała rolka drutu była wyjątkowo cienka. Niewiele było wiadomo o planecie Fronn. Schował się w najbliższej kabinie, wprowadził rolkę do maszyny i zdjął hełm, z ulgą masując skronie. Za moment zasnął, pozwalając, by informacje z kasy powoli wpływały do pamięci.

Obudził się po kwadransie. Więc tak wyglądała ta planeta. Fronn — niezbyt zachęcający świat. Zresztą kasetę zawierała jedynie najistotniejsze dane, muskając zaledwie szczegóły. Wiedział jednak wszystko, co archiwum uznało za stosowne.

Kana westchnął gorzko — taki klimat oznaczał podróż w kabinie ciśnieniowej. Oficer rozdzielający przydziały o tym nie wspominał. Nie napomknął też o aklimatyzacji wodnej. Dobrze mu tak, przecież przed przyjęciem przydziału mógł o to zapytać. Teraz pozostawało mu jedynie mieć nadzieję, że nie będzie miał choroby morskiej przez całą podróż.

Oddając kasetę, spotkał mecha z windy — niecierpliwego faceta gwizdzącego przez zęby, bawiącego się klamrą pasa. Był niewiele starszy od Kany, lecz nosił się z pełną zadowolenia pewnością siebie człowieka, który zaliczył przynajmniej dwie misje, z arogancją rzadko spotykaną u prawdziwych weteranów.

Kana spojrzał na kabiny. Większość z nich była wolna, więc na co mógł czekać ten pyszałkowaty mech? Rzucił kasetę na pas odbiorczy, lecz zanim wyszedł z pomieszczenia, pas przesunął się pusty — to mech złapał ją, zanim wpadła do puszeki.

Fronn był prymitywnym światem — planetą piątej klasy. Zgodnie z zarządzeniem Centralnej Kontroli, takie planety podlegały pacyfikacji wyłącznie przez hordy archów przygotowanych do tak zwanej walki wręcz i uzbrojonych w karabiny. Żadna zmechanizowana jednostka nie może zostać wysłana na Fronn, gdzie jej nowoczesne miotacze, pojazdy opancerzone i wyrzutnie rakiet byłyby wyjęte spod prawa. Dlaczego więc jakiś mech miałby się interesować tym zaściankowym światem?

Kombatanci nie zajmowali się zwykle planetami, na których nie mogli służyć. Zbierali jedynie informacje, które mogłyby przydać się w czasie wyprawy.

Kana żałował, że nie przyjrzał się dokładniej twarzy schowanej za bańkowym hełmem. Zaintrygowany i nieco zaniepokojony udał się do komisarza, któremu miał przedstawić swoje zapotrzebowanie na sprzęt, jaki zamierzał zabrać ze sobą na Fronn.

Nie przyjął śpiwora z jedwabiu pajaków ozariańskich wyściełanego mchem odpornym na wszelkie temperatury. Również rękawice ze skóry krabów, które usiłował mu wcisnąć przydziałowiec, zostały zdecydowanie odsunięte. Takie luksusy były przeznaczone dla weterana z pasem obwieszonym łupami, mogącego sobie pozwolić na szaleństwa w sklepach. Kanę stać było jedynie na używaną torbę kambryjską — krótką kurtkę ze skóry sasti podbitą futrem, z kapturem i rękawicami, oraz na kilka artykułów toaletowych i leków. W sumie były to dość skromne zakupy mieszczące się bez trudu w żołnierskim worku. Po zapłaceniu rachunku pozostało mu jeszcze kilka kredytów z odprawy.

Przydziałowiec zapakował wszystko w małą paczkę.

— Wygląda na to, że wybierasz się w jakieś chłodne miejsce.

— Na Fronn.

Żołnierz uśmiechnął się szeroko.

— Nigdy nie słyszałem o czymś takim. To musi być jakieś nigdzie–nigdzie. Lepiej uważaj, żeby ci ktoś nie wpakował dzidy w plecy. Ci faceci z takich miejsc nie grają czysto, ale i wy się na tym znacie, co? — Spojrzał znacząco na archowski mundur Kany. — Jasne, trzeba mieć charakter, żeby walczyć w wasz sposób. Osobiście wolałbym jednak mieć w ręku miotacz i być mechem.

— Wtedy zmierzyłbyś się z innym wojownikiem z innym miotaczem — rzucił Kana sięgając po paczkę.

— Niech ci będzie — sprzedawca przestał się nim interesować na widok

obwieszono go klejnotami weterana, który właśnie wkroczył do magazynu.

Kana rozpoznał w przybyszu mężczyznę, który przed nim otrzymał przydział. Czyżby i on został skierowany do hordy Yorke'a i na Fronn? Kiedy na ladzie wylądował śpiwór z pajęczego jedwabiu oraz stos innych towarów zbliżonych charakterem do skromnych zakupów Kany, był prawie pewien, że jego przypuszczenia były słuszne.

O szesnastej trzydzieści świeżo upieczony rekrut stał z workiem u nogi w poczekalni doku piątego. Sterczał tam samotnie, nie licząc paru żołnierzy, którzy najwyraźniej mieli jakieś sprawy do załatwienia, i dwóch członków załogi statku międzyplanetarnego, rozmawiających w odległym końcu sali. Tak wczesne przybycie od razu zdradzało, że był żółtodziobem, lecz był zbyt podniecony pod maską kamiennego spokoju, by móc czekać w innym miejscu. Za dwadzieścia piąta do sali zaczęli napływać jego przyszli współtowarzysze. Dziesięć minut później wszyscy wjechali pod luk wejściowy statku wojskowego. Sprawdziwszy zapisany na naramienniku przydział, oficer skinieniem polecił Kanie wejść na pokład. Nie minęło dalszych pięć minut, kiedy znalazł się w dwuosobowej kabinie, zastanawiając się, która prycza mu przypadnie.

— No dalej! — Zagrzmiał z tyłu potężny głos. — Wchodzisz, czy wychodzisz. Nie śpijcie na służbie, rekrucie! Nigdy jeszcze nie latałeś?

Kana przycisnął się do ściany, pospiesznie usuwając swój worek spod nóg nowo przybyłego.

— Na górę! — Niecierpliwym ruchem weteran wrzucił wór młokosa na wyższą pryczę. — Wsadź sprzęt do schowka — wskazał kciukiem na boczną ścianę łóżka.

Kana wskoczył na górę i zbadał gładką powierzchnię. Po przekręceniu ledwie widocznej gałki ścianka rozsunęła się, otwierając wnękę, w której bez trudu umieścił cały swój dobytek. Głęboki dźwięk gongu przerwał oględziny. Na ten sygnał weteran odpiął swój pas i hełm i odłożył je na bok. Kana pospiesznie ruszył w jego ślady. Jedno uderzenie dzwonu — pierwsze ostrzeżenie.

Wyciągnął się na pryczy szukając pasów, które należało zapiąć. Pod ciężarem ciała piankowy materac nieco się ugiął. Kana wiedział, że dobrze znosi przyspieszenie — był to jeden z pierwszych testów, jakie przechodzili szkoleni rekruci. Był już na manewrach na Marsie i Księżycu, teraz jednak pierwszy raz miał wylecieć w głąb kosmosu. Wygładził tunikę na brzuchu i czekał na trzeci gong, oznajmiający właściwy start.

Wiele lat minęło już od czasu, kiedy Ziemianie pierwszy raz ruszyli ku innym światom. Trzysta lat temu odbył się pierwszy zanotowany w historii lot w głąb Galaktyki. Istniały też legendy o wcześniejszych wyprawach uciekinierów szukających schronienia przed wojnami atomowymi i chaosem politycznym i społecznym, jaki po nich nastąpił. Ci pierwsi wędrowcy musieli być albo bardzo zdesperowani, albo niezwykle odważni, kierując swe statki w nieznaną, podczas gdy sami pogrążali się w hibernacyjnym śnie, mając zaledwie jedną szansę na tysiąc, że zostaną obudzeni, gdy ich pojazd dotrze do jakiejś planety. Obecnie, dzięki nadzorowi lotów, nie trzeba było podejmować takiego ryzyka. Czy jednak cena, jaką płacono za możliwość szybkiego przemykania między gwiazdami, nie była zbyt wysoka?

Chociaż kombatanci nie wazyli się otwarcie sprzeciwić dyktatowi władzy i obecnemu status quo, Kana doskonale wiedział, że nie był odosobniony w swym niezadowoleniu z roli, którą wyznaczono Ziemi. Cóż stałoby się z Ziemianami, gdyby podczas swego pierwszego historycznego lotu nie trafili na świetnie zorganizowane, doskonałe jednostki Centralnej Kontroli? Według galaktycznych panów, potencjał ziemiańskiego umysłu, ciała i temperamentu sprawiał, że nadawali się jedynie do takiej roli w kunsztownej strukturze kosmosu. Przychodzili na świat z wrodzonym

instynktem walki, mieli więc dostarczać innym planetom najemnych żołnierzy. Ponieważ psychotechnicy z Centralnej Kontroli uznali, że najlepiej nadawali się do wojaczki, cała Ziemia i jej ustrój zostały odgórnie nastawione na przygotowanie do walki. Ziemianie zgodzili się z tą sytuacją z powodu obietnicy otrzymanej od CK — obietnicy, której spełnienie wydawało się z każdym rokiem odleglejsze — że kiedy tylko będą lepiej przygotowani do uzyskania pełni praw obywatelskich, dostaną je.

A jeżeli Centralna Kontrola w ogóle nie istniała? Czy to możliwe, by stale powtarzane argumenty agentów mogły okazać się prawdziwe? Czy to możliwe, aby pozbawieni kontroli Ziemianie wciągnęli inne planety w bezlitosną walkę o władzę? Kana był pewien, że to kłamstwo. Jednak teraz jeżeli Ziemianin pragnął wylecieć do gwiazd, jeżeli płonęła w nim tęsknota za nową, potężną wiedzą, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko przypasać miecz kombatanta.

Potężna dłoń ścisnęła pierś Kany. Płuca rozpaczliwie walczyły o każdy łyk powietrza. Wszystko przestało się liczyć — wystartowali.

Rozdział II

Pierwszy test

Kana musiał na moment stracić przytomność. Kiedy wróciła mu świadomość, zauważył, że jego współlokator manewrował niezgrabnie, starając się przyzwyczać do swych „kosmicznych nóg” w słabym polu grawitacyjnym utrzymywanym w części mieszkalnej statku. Bez hełmu, z rozpiętą tuniką obnażającą potężną pierś, weteran stracił nieco z otaczającej go wcześniej aury. Bardziej przypominał instruktorów, z którymi Kana miał do czynienia przez ponad połowę swego niedługiego życia.

Kosmiczna opalenizna jego naturalnie brązowej skóry sprawiała, że wyglądał jak Murzyn. Szttywne włosy były wygolone po bokach, rosnąc jedynie wzdłuż centralnej linii czaszki, jak u większości Ziemiaków. Poruszał się z kocią zwinnością i siłą. Kana uznał, że wpiąłby nie krzyżować z nim miecza bez potrzeby. Tamten odwrócił się nagle, czując na sobie spojrzenie młokosa.

— To twój pierwszy przydział? — rzucił.

Kana wyplątał się z pasów i usiadł na skraju pryczy.

— Tak, sir. Dopiero co skończyłem szkolenie.

— Boże! Ostatnio wysyłają coraz młodszych — skomentował to stary wiarus. — Nazwisko i stopień?

— Kana Karr, sir. Miecznik trzeciej klasy.

— Jestem Trig Hansu — nie uznał za stosowne podać swego stopnia, trudno było nie zauważyć podwójnej gwiazdy mistrza miecza na tunice. — Zaciągnąłeś się do Yorke'a?

— Tak jest, sir.

— Uważasz, że dobrze zaczynać od trudnych zadań, co? — Hansu wysunął składane siedzenie ze ściany i usiadł na nim. — Fronn to nie kwiecista łączka.

— To dopiero początek, sir — odpowiedział Kana nieco sztywno i zsunął się na podłogę, starając się jedną ręką nie puszczać koi.

Hansu uśmiechnął się drwiąco. — Cóż, wszyscy czujemy się bohaterami kończąc szkolenie. Yorke to niezły zawodnik. Musisz być dobry, żeby utrzymać się w jednym z jego zespołów.

Kana był przygotowany: — Oficer przydziałowy potrzebował rekruta, sir.

— To może oznaczać kilka rzeczy, młokosie, a żadna z nich nie jest komplementem. Trzecia klasa oznacza mniejsze wydatki na żołd niż pierwsza czy druga. Zresztą to nie moja sprawa, nie ja mam pozbawiać młodych złudzeń. Czas na posiłek. Idziesz?

Kana był zadowolony z zaproszenia, ponieważ niewielka kantyna była wypełniona niemal wyłącznie wyższymi szarżami. Pole grawitacyjne było na tyle silne, by móc usiąść i zjeść posiłek w cywilizowany sposób, jednak żołądek Kany nie dał się zwieść. Pomyślał, że wkrótce jedzenie stanie się jeszcze trudniejsze, kiedy zacznie się trening ciśnieniowy przed wylądowaniem na Fronn. Przyglądał się hałaśliwemu tłumowi z rosnącym, przygnębieniem.

Horda dzieliła się na zespoły, a zespoły na pary. Jeśli ktoś sam nie znalazł sobie partnera, lecz dowódca przydzielił mu kogoś obcego, natychmiast zagrożone były nawet te nieliczne przyjemności, na które można było liczyć w służbie na polu walki. Partner walczył, bawił się i mieszkał u twego boku. Często twoje życie zależało od jego umiejętności i odwagi — i odwrotnie. Partnerzy trzymali się razem całymi latami, solidarnie zaciągając się do tych samych hord czy legionów.

Kto z tej obwieszanej odznakami paczki zechciałby wybrać za partnera

zółtodzioba? Najprawdopodobniej skończy się na tym, że zostanie przydzielony jakiemuś weteranowi, który będzie się wściekał na jego brak doświadczenia i da mu niezłą szkołę od pierwszych chwil. Do licha, chyba zaczynam się roztkliwiać, pomyślał. Czas przestać się tym przejmować, dość tego kosmicznego bluesa!

Jednak niepokój, dający mu się we znaki przez cały dzień tak brzemienisty w wydarzenia, wybuchł z całą siłą w strasznym śnie, w którym rozpaczliwie uciekał starając się uniknąć kontaktu z czerwonym promieniem miotacza ścigającego go mecha. Obudził się ledwie tłumiąc krzyk strachu. Ścigany przez mecha... Przecież mechowicie nie walczyli z archami. Chyba że... Długo nie mógł ponownie zasnąć.

Blask sztucznego światła dziennego przywrócił go do życia dość późno. Hansu nie było w kabinie. Zawartość jego worka leżała rozrzucona na pryczy. Szczególną uwagę Kany zwracał nóż igłowy o przerażającym wyglądem, w pochwie wypolerowanej długotrwałym kontaktem z wewnętrzną stroną ramienia właściciela. Pozbawiona jakichkolwiek ozdób rękojeść świadczyła, że służyła do walki. Jego obecność wśród innego sprzętu oznaczała, że Kana dzielił kabinę z człowiekiem wprawionym w najbardziej niebezpieczny sposób walki. Czuł neodpartą chęć, by położyć go sobie na dłoni, poczuć tę zachwycającą równowagę i sprężystość. Wiedział jednak, że nie miał prawa dotykać cudzej broni osobistej bez wyraźnego zezwolenia właściciela. Naruszenie tego prawa oznaczało obrazę prowadzącą do „spotkania”, z którego wrócić mogła tylko jedna osoba. Kana nasłuchiwał się wielu opowieści instruktorów ze szkolenia i doskonale znał koszarowy kodeks.

Dotarł do kantyny jeden z ostatnich i jadł szybko pod karcącym spojrzeniem stewardów. Potem przeszedł na niewielki pokład leżakowy okupowany przez niedbale rozciągniętych kombatanów. Parę osób grało w karty i, jak zwykle, gromadka chętnych otaczała tablicę gry w yano. Trig Hansu nie należał do żadnej z tych grup. Siedział w pozycji lotosu na macie wpatrując się w przenośny czytnik.

Zaciekawiony Kana przecisnął się między graczami, żeby rzucić okiem na niewielki ekran urządzenia. Dostrzegł fragmenty krajobrazu, ciemnego i ponurego, po którym przesuwali się niewyraźne postaci przenoszące jakieś ciężary. Hansu odezwał się, nie odwracając głowy:

— Jeżeli jesteś taki ciekawy, młokosie, to siadaj. Zawstydzony Kana czuł, że twarz pali go niczym ogon rakiety. Miał ochotę się rozpląnąć, lecz Hansu przesunął nieco ekran w geście szczerzego zaproszenia.

— Nasza przyszłość — wskazał palcem na ekran, kiedy zmieszany rekrut przykleknął obok niego. — Tak wygląda Fronn.

Istoty przemierzające froński krajobraz miały po cztery nogi, chude i szczudłowate, z kośćmi obciążonymi samą skórą. Pakunki wisiały po obu stronach ich wyrazistych kręgosłupów. Na szyjach i głowach miały rogowate narośla.

— Karawana guenów — rozpoznał Kana. — To musi być gdzieś na równinach zachodniego wybrzeża.

Hansu nacisnął guzik u podstawy czytnika i ekran zgasł.

— Prosiłeś o indoktrynację na temat Fronn?

— Z archiwów, sir.

— Entuzjazm młodych daje pewne korzyści. Dopiero co skończyłeś szkolenie. Jaka specjalizacja? Nóż? Strzelba?

— Podstawy wszystkiego, sir. Główna specjalizacja: ET — głównie kontakty z obcymi.

— No cóż, to mogłoby tłumaczyć, dlaczego tu jesteś.

— Słowa Hansu były niejasne. — ET, ciekawe, czego was tam teraz uczą. A co z... — nagle rozpoczął serię pytań, które przypominały Kanie egzamin z przydatności w czasie szkolenia. Odpowiadał na nie jak potrafił najlepiej, choć, szczerze mówiąc,

zbyt często musiał stwierdzać, że nie zna odpowiedzi. Mimo to Hansu zachęcająco kiwał głową.

— Nadasz się. Jak tylko wybijesz sobie z głowy całą tę teorię i pozwolisz, aby doświadczenie nauczyło cię tego, co naprawdę powinieneś wiedzieć o tej zabawie, będziesz wart co najmniej połowę sumy, jaką ci tu płacą.

— Powiedział pan, że specjalizacja ET wyjaśnia mój przydział, sir...?

Jednak weteran, zdawało się, stracił dalsze zainteresowanie rozmową. Gracze w yano wybuchnęli gromką choć pozbawioną wrogości wrzawą i ktoś równy stopniem Hansu, poklepując go po ramieniu, zmusił do przyłączenia się do grupy przygotowującej się do drugiej rundy.

Nie otrzymawszy odpowiedzi na swoje pytanie, Kana zaczął baczniej przyglądać się otaczającym go wojownikom. Byli oni nie tylko weteranami, lecz — żołnierzami, którzy lata całe spędzili w służbie i zdobyli wiele gwiazdek. Strzępy rozmów zdradzały, że służyli pod różnymi sławnymi dowódcami, w hordach, które zaliczyły wiele zwycięskich bitew. Fitch Yorke był w tym gronie swoistym nowicjuszem. Nie otaczała go sława, która mogłaby przyciągnąć ludzi tego pokroju. Czyż nie powinni odmówić służby pod jego rozkazami? Po co koncentrować tyle umiejętności i doświadczenia w nieznannej hordzie, służącej na mało ważnej planecie? Kana był pewien, że Hansu oraz pozostali byli wybitnymi specjalistami w dziedzinie ET.

Przez kolejne dni nieczęsto miał okazję spotkania go i nie mógł się doczekać lądowania na Secundusie, które miało przerwać nudę podróży.

Tymczasowa kwatera przydzielona ludziom Yorke'a była długą salą, na jednym jej końcu znajdowała się kantyna, podczas gdy drugi zajęty był przez rząd pryczy. Wypełniał ją nieustanny hałas ponad stu mężczyzn, wnoszących swoje przydziały i sprzęt osobisty, witających starych towarzyszy, dzielących się najnowszymi plotkami o hordzie i służbie. Nie wiedząc, dokąd się udać, Kana szedł za Hansu, lecz kiedy mistrz miecza dołączył do grupy równych sobie wojowników, nie pozostało mu nic innego jak poszukać sobie jakiegoś ciemnego kąta, w którym mógłby skryć swój brak doświadczenia i ogólną zieloność.

Nie miał wielkiego wyboru — cała trzecia klasa zgromadziła się w najmniej zachęcającej części sali, tuż przy drzwiach. Z pewną ulgą Kana dostrzegł tam parę osób w mundurach równie pozbawionych dystynkcji jak jego własny. Przedarł się przez tłum i rzucił worek na górną pryczę, oznajmiając w ten sposób, że odtąd będzie należała właśnie do niego.

— Widziałeś, kto do nas dołączył? — powiedział jeden z młodych do kolegi. — Sam Trig Hansu!

Cichy gwizd podziwu zmienił się w słowa: — Ależ to szycha! Co robi w tym oddziale? Mógłby przecież dzielić się łupami z Zagren Osminem czy Franlanem. Yorke powinien się szcycić, że w ogóle może z nim rozmawiać.

— Naprawdę? Słyszałem, że jest trochę dziwny. Potrafi urwać się z najlepszego oddziału, zboczyć z ustalonych szlaków i odwiedzić jakiś daleki świat. Ma bzika na punkcie odkrywania nowych miejsc. Dawno już miałby swą własną horde, gdyby nie te skoki w bok. Zresztą czy nie widzisz niczego szczególnego w tej bandzie? Yorke ściągnął do siebie niejedno wielkie nazwisko. Do diabła... — nagle dostrzegł torbę Kany i odwrócił się, aby przyjrzeć się jej właścicielowi.

— Patrzcie, coś nowego na ogonie naszej rakiety. Miły żółtodziób gotów zarobić fortunę lub umrzeć na polu chwały. Jak się nazywasz i kim jesteś, żółtodziobie?

W pytaniu tym nie było złośliwości, a zadający je nie miał stopnia wyższego niż Kana, nie mógł też być od niego starszy stażem i wiekiem.

— Kana Kair, miecznik trzeciej klasy.

— Mic Hamet, m-trzy, a tamten robaczek w kącie to Rey Nalassie, z równie

niskim stopniem. To twój pierwszy przydział?

Kana potwierdził skinieniem. Ciemnorude włosy Mica Hameta były jak u Kany wygolone na irokeza, lecz jego niezwykle jasna skóra nie nosiła śladów opalenizny. Nieco płaski nos upstrzony był kilkoma piegami. Jego przyjaciel podniósł się z kucek i stanął w całej swej okazałości sześciu stóp i dwóch cali. Duża twarz o kwadratowej szczęce była poważna, choć w zaspanych szarych oczach tliły się iskierki humoru i zaciekawienia.

— Wyskrobali nas z punktu rotacyjnego. Niedawno mieliśmy pecha. Na ostatniej wyprawie jakiś robak ukąsił Reya i musieliśmy odejść z hordy Oosterbega cztery miesiące przed terminem. Byliśmy więc na tyle splukani, żeby się tu zaciągnąć. Oficer przydziałowy traktował nas jak zapowietrzonych.

— Masz już partnera, Karr? — spytał cicho Nalassie.

— Nie. Opuściłem szkolenie z opóźnieniem. Wszyscy faceci, którzy wylecieli z Primy ze mną, to weterani.

Mic przestał się uśmiechać.

— A to pech. Większość z nas trójkowców jest już w parach, a nie chciałbyś przecież zostać partnerem Krosofa czy kogoś z ich paczki.

— Słyszałem, że Yorke ma zwyczaj przydzielać wszystkich bez pary weteranom

— powiedział Rey. — Uważa, że starzy powinni poskramiać gorące głowy, czy coś takiego.

— To gorzej niż źle — wtrącił jego partner. — Nie powinno się wchodzić w zespół z kimś, kogo się dobrze nie zna. Na twoim miejscu, Karr, starałbym się zostać bez pary tak długo, jak się da. Może poznasz jakiegoś fajnego faceta, który stracił partnera. Jeśli chcesz, możesz trzymać się z nami do tego czasu. A najlepszy sposób na to, aby uniknąć kłopotów z tymi tam — wskazał głową na okrytych klejnotami weteranów po drugiej stronie sali — to zmyć się stąd.

Nałożył hełm i zapiął pasek pod brodą.

— I tak nie zaczną rejestracji wcześniej niż rano, mamy więc noc dla siebie.

Chłopie, nie wiesz, co to zabawa, jeżeli nie byłeś w urlopowym sektorze Secundusa.

Kana ucieszył się, zaraz jednak przypomniał sobie o skromności swych zasobów. Cztery kredyty na pewno nie starczą na porządny posiłek w mieście bazowym. Jednak kiedy potrzęsnał przecząco głową, poczuł na ramieniu uścisk Mica.

— Żadnych wykrętów, chłopie. Spędzimy sporo czasu na totalnym zadupiu i źle byśmy się czuli, zabierając tam nie wykorzystaną forszę. Dziś my stawiamy, a kiedy dostaniesz swą pierwszą gwiazdkę, odpłacisz nam się tym samym. Teraz zmykajmy stąd, zanim komuś przyjdzie do głowy świetny pomysł zapędzenia młodego pokolenia do jakiejś zaszczytnej pracy.

Za murami koszar rozwinęło się typowe miasteczko wakacyjne. Tawerny, kawiarnie i salony gier oferowały swe usługi właścicielom portfeli o różnej grubości — od oficerów i podoficerów do rekrutów. Mimo wszystko nie było to jednak miejsce, gdzie można coś dostać za cztery kredyty, pomyślał Kana, mrużąc oczy w blasku neonów zalewającym ulice.

Ku jego niezadowoleniu, jego towarzysze nie mieli najmniejszego zamiaru poprzestać na byle czym. Szybko przeprowadzili go obok kawiarni, które by sam wybrał, i wciągnęli za drzwi bogato zdobione złotą folią i wysadzone łuskami i trafiańskiej laki koloru morskiej wody. Ich buty zanurzyły się w grubych dywanach, które musiały pochodzić z Caq. Ściany były obwieszane arrasami z Sansifaruru. Kana zatrzymał się.

— To przecież lokal dla ważniaków — zaprotestował.

Mic jednak nie puszczał jego ramienia, a Rey zachichotał.

— Pamiętaj, że poza służbą szarża nie ma znaczenia — rzucił kpiąco Mic. — M-

trójki i dowódcy — wszyscy jesteśmy w gruncie rzeczy tacy sami. Tylko cywile martwią się o swoje podrobione dystynkcje.

— Jasne — poparł go partner. — Kiedy masz już przydział, możesz chodzić, gdzie dusza zapagnie. A my mamy ochotę zabawić się właśnie tu.

Rey wciągnął w nozdrze wonny podmuch poruszający lśniące arrasy, ożywiając wyhaftowane na nich postaci.

— Na rozdwojony ogon blamanda, wiele bym dał, żeby móc zdobyć takie miejsce! A oto nadchodzi nasz znajomy pomocnik gospodarza.

Postać zmierzająca w ich stronę była jednym z rdzennych mieszkańców Wolfa Drugiego. Wielka głowa umieszczona na chudym jak szkielet ciele uśmiechnęła się w profesjonalnym powitaniu, odsłaniając podwójny rząd kłów, który zawsze wywoływał pewną niepewność u Ziemian. Wypowiadane uprzejmości brzmiały jak seria drażniących ucho zgrzytów.

— Nic wielkiego — odpowiedział mu Mic. — Jutro wylatujemy. Sami się rozejrzemy za czymś, Freenhalt. Nie wpakujemy się w żadną drakę, bądź spokojny.

Wilczy uśmiech Lupianina jeszcze się poszerzył, kiedy gestem zaprosił ich do wnętrza.

— Widzę, że jesteście tu znani — stwierdził Kana, przechodząc przez rozcięcie w kotarze do następnego pomieszczenia.

— Tak. Kiedyś pomogliśmy Freenhaltowi wydostać się z tarapatów. To całkiem równy stary wilk. Teraz musimy coś zjeść.

Przeprowadzili Kanę przez szereg sal; każda z nich posiadała szczególny wystrój, każda szokowała swą odrębnością, aż doszli do miejsca, które zaparło mu dech w piersiach. Wyglądało to, jakby niespodziewanie znaleźli się w dżungli. Gigantyczne paprotniki rosły przy ścianach zwieszając długie liście nad ich głowami, nie tłumiąc jednak złotej poświaty, w której blasku skąpane były wyściełane ławy i wygięte stoły. Wśród zieleni przemykały furkocząc pasma płomiennych kolorów, które nie mogły być niczym innym niż legendarnymi krotandami z morskich wysp Cephasu. Widząc na własne oczy to, o czym wieczorami opowiadali podróżnicy, był tak oszołomiony, że jak dziecko dał się posadzić na ławie.

— Krotandy? Jak to możliwe?

Mic popukał palcami pień najbliższego drzewa, wydobywając metaliczny pogłos. Kana wyciągnął rękę i poczuł, że zamiast żywej kory dotyka twardego metalu. Całe otoczenie okazało się sprytną sztuczką optyczną.

— To lustra — powiedział poważnie Mic. — Oczywiście, to jeden z najlepszych obrazów, jakie kiedykolwiek stworzył Slanal. Freenhalt ma głowę do interesów, ale to jego szef wymyśla takie cuda. No, można jeść.

Z blatu stołu wysunęły się wypełnione przysmakami talerze. Kana spróbował najpierw ostrożnie, a po chwili ostro zabrał się za swoją porcję.

— Nieprędko znów dostaniemy taką wyzerkę — zauważył Rey. — Słyszałem, że Fronn to nie raj.

— Trochę zimna jak na nasz gust, mają tam feudalny system — powiedział Kana.

— Akcja policyjna, też coś — zauważył Mic z przekąsem. — Akcji policyjnej nie prowadzi się przeciw feudalnym rządóm. Kogo oni tam mają? Królów? Cesarzy?

— Królów, nazywają ich „gatanu”, władają małymi narodami. Dziedziczą władzę po linii żeńskiej. Następcą gatanu jest syn jego najstarszej siostry, a nie jego własny. Uważają, że są bardziej spokrewnieni ze swymi matkami i siostrami niż z ojcami i braćmi.

— Musiałeś się tego kiedyś uczyć.

— Skorzystałem z kasety w Primie.

Rey wyglądał na zadowolonego.

— Jeszcze się nam przydasz, chłopie. Mic, nie możemy go wypuścić z naszych łap. Mic przelknął ogromny kęs.

— Jasne. Mam przecucie, że ta wyprawa nie będzie przejażdżką na piankowym fotelu. Im więcej będziemy wiedzieć, tym dla nas lepiej.

Kana przyglądał się jednemu i drugiemu, wietrząc kłopoty.

— Co tu jest grane?

Mic potrząsnął głową, a Rey wzruszył ramionami.

— Sam chciałbym wiedzieć! Jednak kiedy się bywało tu i tam i widziało miejsca, gdzie człowiek jest cholernie dziwnym zwierzakiem, można zacząć to i owo podejrzewać. Mamy przecucie, że...

— Yorke?

Morale każdej hordy zależało od charakteru jej dowódcy. Jeżeli Yorke nie był w stanie zdobyć zaufania swych podwładnych...

Mic skrzywił się.

— Nie, nie chodzi o Fitcha Yorke'a. Pod każdym względem to facet, do którego warto się przyłączyć. Oprócz Hansu było jeszcze wielu sławnych, którzy chcieli się zapisać na tę wyprawę, a to zawsze świadczy o klasie dowódcy. To tylko przecucie; wiesz, czasami można wyczuć taki wewnętrzny dreszczyk.

— Coś jakby ktoś kopał twój nagrobek — włączył się Rey.

Twarz Mica skrzywił szeroki uśmiech.

— Nieźli z nas szamani, co? Chodź do nas! Za jeden kredyt przepowiemy ci twoją przyszłość! Fronn nie będzie gorsze od wielu innych miejsc, jakie znam.

Skończyliście? To pokażmy teraz naszemu żółtodziobowi specjalny pomysł Freenhalta. To jedyny dobry pomysł, jaki zrodził się w tej wilczej głowie. A jaki opłaczalny!

Błysk geniuszu Freenhalta okazał się grą hazardową, która pasjonowała spore rzesze wojskowych. Wpuszczony w podłogę sali basen był podzielony na boksy otaczające centralną arenę. W każdym boksie pływała jedna pięciocalowa rybka. Dwie trzecie długości ciała stanowiła paszcza z rzędami ostrych jak igły zębów. Każda ryba miała kolorowy znaczek wrosnięty w płetwę ogonową i wściekle miotała się w swym więzieniu. Gracze otaczali basen, przyglądając się więźniom. Kiedy dwóch lub trzech z nich wybrało już swoje okazy, wsuwali żetony do automatu przy odpowiednim boksie, którego drzwi natychmiast się otwierały, wypuszczając ryby na arenę. Zaraz potem wybuchała istna orgia walki, z której tylko jeden wojownik uchodził z życiem. Ten, kto obstawił zwycięzcę, odbierał wygraną od sponsorów ofiar.

Trudno było wymyślić coś lepszego do wyciągania pieniędzy z wojskowych kieszeni. Kana uważnie przyjrzał się zwinnyemu płetwiastemu wojownikowi, wybierając w końcu rybę o szerokiej paszczy z zielonym znaczkiem na ogonie. Wykupił żeton za jeden kredyt i przyklepnął, by wrzucić go do automatu.

Jakaś potężna, owłosiona dłoń odepchnęła go od wybranego boksu z taką siłą, że nieomal wpadł do basenu.

— Z drogi, chłopaczku. To zabawka dla mężczyzn!

— Co, do...! — Mic uderzył go w plecy wybijając z płuc powietrze potrzebne do dokończenia okrzyku, jednocześnie ktoś na siłę odciągnął go od człowieka, który zajął jego miejsce i odebrał mu rybę. Facet spojrzał na niego z bezczelnym uśmiechem i odwrócił się, nie przewidując żadnych problemów. Dla niego było już po sprawie. Mógł się zająć dopingowaniem ryby wypuszczonej na arenę przez żeton rekruta.

Na twarzy Mica nie było ani śladu dobrego nastroju, a i rozbiegane oczy Reya miały wyraz niezwykłego skupienia, kiedy wyprowadzali Kanę, trzymając go

fachowym chwytem, z którego nie można się uwolnić.

— Zjeżdżamy stąd. Natychmiast — poinformował go Mic.

— Co, do... — Kana znów zaczął się miotać. — Myślicie, że...

— Chłopie, tam mogłeś wykopać swój grób. To był Bogate, Zapan Bogate! Ma dwadzieścia karbów po pojedynkach na swoim mieczu. Gdy tylko trafi mu się jakiś żółtodziób, pożera go na śniadanie. — W przeciwieństwie do żartobliwego doboru słów, ton głosu Mica był śmiertelnie poważny.

— Myślicie, że się boję?

— Posłuchaj, chłopie. Jest ogromna różnica między byciem rozważnym i żywym, a kopaniem w zęby marsjańskiej myszy piaskowej. Nie pożyjesz długo po takim heroicznym wyczynie. Nikt cię nie nazwie tchórzem, jeśli unikasz starcia z Bogatem, to tylko świadczy o twojej inteligencji. Pewnego dnia któryś z dużych chłopców, jak Hansu czy Deke Mills, wkurzy się wreszcie na niego. Wtedy zaczniesz sprzedawać bilety na to widowisko i zostaniesz miliarderem. Bogate to nagła i bolesna śmierć na dwóch krzywych nogach.

— Poza tym to najlepszy zwiadowca pod wszystkimi słońcami — wtrącił Rey. — Bogate przy zabawie i Bogate na polu walki to dwa zupełnie różne charaktery. Dowódcy tolerują jeden ze względu na drugi.

Kana nie był głupcem. Wiedział, że powrót do sali i walka z Bogatem to idiotyzm. Nie przestawał jednak protestować, dopóki nie podszedł do nich Hansu. Weteran wkroczył w towarzystwie dwóch miejscowych policjantów.

— Ludzie Yorke'a? — spytał krótko.

— Tak jest, sir.

— Zgłoście się w koszarach, natychmiast. Przyspieszono odlot.

Zaraz ruszył w stronę innych pomieszczeń poszukując pozostałych członków hordy. Wracali na kwaterę biegiem.

— I co jeszcze? — złościł się Rey. — Przecież ogłosili, że odlatujemy jutro w południe. Po co ten pośpiech? Nawet nie zostaliśmy jeszcze zarejestrowani.

— Mówiłem ci — sapnął Mic — że coś tu brzydko pachnie. Niech to szlag! Po takim obiedzie przygotowanie w komorze ciśnienia! Oj, gorzko pożałujemy, że zjedliśmy te pyszności.

Mając jeszcze tę ponurą przepowiednię w uszach, Kana zdjął swój worek z pryczy, której tak naprawdę nie zdążył zająć, i stanął obok Mica i Reya na platformie windy zawożącej pasażerów na pokład transportowca. Po odliczeniu do czterech Kana znalazł się w jednej komorze ciśnieniowej razem ze swymi dwoma nowymi znajomymi i facetem z zaopatrzenia, któremu wyraźnie nie podobało się młodociane towarzystwo. Rozebrali się do spodenek, medyk zrobił im zastrzyki. Nie pozostało nic innego, jak tylko wyciągnąć się na kojach, zapiąć pasy i przetrzymać nieuchronne dolegliwości.

Następnych kilka dni trudno było zaliczyć do przyjemnych. Powoli zmuszano ich ciała do zaadaptowania się do warunków panujących na Fronn, ponieważ trudno by oczekiwać, aby to planeta przystosowała się do nich. Był to dość bolesny proces, lecz kiedy wylądowali już w tym chłodnym świecie, byli gotowi do akcji.

Kana nadal nie miał partnera. Trzymał się blisko Mica i Reya, ale doskonale wiedział, że prędzej czy później zostanie komuś przydzielony. Nie czuł się pewnie wśród weteranów, a tych paru trójkowiczów, którzy dotąd nie zarejestrowali się w zespole, nie reprezentowało typu żołnierzy, z którymi miałby ochotę się zaprzyjaźnić. Większość z nich to starsi mężczyźni z bogatym doświadczeniem bojowym, którzy ze względu na swój charakter od lat byli pomijani w awansie. Choć na polu bitwy byli nawet niezli, w koszarach sprawiali same kłopoty i przechodzili z hordy do hordy, żegnani westchnieniem ulgi swych przełożonych. Kana miał nadzieję, że nie dostanie

żadnego z nich za partnera.

Pierwszy kontakt Ziemiaków z Fronn nie był zachęcający. Wylądowali o zmierzchu i, ponieważ Fronn nie ma księżyca, maszerowali w zupełnych ciemnościach do przysadzistego, prymitywnego budynku z kamienia, który miał im służyć za tymczasowe koszary. Długa sala była zupełnie pozbawiona mebli, cała trójka siadła więc na swych workach, zastanawiając się, czy rozwijać śpiwory, czy też czekać na dalsze instrukcje.

Długi nos Reya zmarszczył się z niesmakiem, kiedy wyciągnął but z podejrzenie wyglądającej kałuży na brudnej podłodze.

— Można by powiedzieć, że otrzymaliśmy tę kwaterę z drugiej ręki.

— Z drugiej? — powtórzył Mic. — Chyba z piątej! Przy czym wszyscy nasi poprzednicy byli zwierzakami. O ile mnie nos nie myli, to jesteśmy we frońskiej oborze.

Rozkaz, którego Kana tak bardzo się obawiał, został wreszcie wydany: pary miały się zarejestrować przy stole ustawionym przez mistrza miecza w dalekim końcu sali. Rey i Mic ustawili się w kolejce.

Kana nie wiedział, co robić. Stał nieco bezradnie, kiedy poderwał go ochryply okrzyk. Zapan Bogate z podobnym mu typem stanęli w kolejce koło niego. Trzeci typ, uśmiechnięty od ucha do ucha, stał obok.

— Patrzcie, oto żółtodziób, nie wie, co ze sobą zrobić. Biedny, mały zagubiony żółtodziób. No, Sim, weź go za rączkę. Mały potrzebuje niani.

Kana zeszytniał. Zachęcany przez Bogate'a Sin przesunął się do przodu, nadal krzywiąc swą prymitywną twarz w uśmiechu.

— Biedny mały żółtodziób — powtórzył Bogate nieco głośniejszym głosem. Połowa kolejki odwróciła się, żeby móc obserwować zabawę.

— Sim się nim zaopiekuje. Prawda, Sim?

— Jasne, Zap. Chodź do mnie, żółtodziobku — kudłatą łapą chwycił rękaw Kany.

To, co nastąpiło potem, trzeba uznać za odruchowe działanie rekruta. Obrzydzenie wywołane dotknięciem dało impuls do akcji. Kantem dłoni uderzył nadgarstek Sima, uwalniając się błyskawicznie. Sim wytrzeszczył oczy z bólu i zaskoczenia, a Bogate wyszedł z kolejki. W jego małych oczkach pobłyskiwały iskierki sadystycznej radości.

— Wygląda na to, że nie spodobałeś się żółtodziobowi, Sim. A co zwykle robimy z młokosami, którzy nie wiedzą, co dla nich dobre?

Kana sądził, że jest w pogotowiu, jednak Sim go zaskoczył. Nie spodziewał się, że taki prymityw postąpi zgodnie z zasadami. Siarczysty policzek był na tyle silny, by go odrzucić w bok i wypełnić oczy łzami bólu. Więc czekał go koszarowy pojedynek. O to właśnie chodziło tym bandytom. Prowadzony zgodnie z zasadami, tak aby nikt nie mógł im niczego zarzucić.

Miał tylko jedną szansę. Na pewno spodziewają się, że wybierze zwykłą w takich przypadkach broń — miecze z nasadkami na czubkach. Dzięki temu, że zapoznał się z materiałami o Fronn, mógł ich zaskoczyć i uniknąć okaleczenia.

Otoczał ich wianuszek zaciekawionych gapiów. Kana zlizął z warg krew.

— Pojedynek? — automatycznie zadał pytanie, na które wszyscy czekali.

— Pojedynek.

— Podaj mi swój miecz, Sim. Założę osłonę — powiedział Bogate.

— Nie tak szybko. — Kana ucieszył się, słysząc, że potrafi nadać swemu głosowi spokojne brzmienie. — Nic nie mówiłem o mieczach.

Uśmiech zgasł na twarzy Bogate'a, a jego oczy zwięzły się wyraźnie. — Nie? Pistolety odpadają. Są zakazane w czynnej służbie, mały.

— Wybieram pręty poganiaczy — odpowiedział Kana.

Reakcją na tę odpowiedź była chwila zupełnej ciszy.

Rozdział III

Wymarsz

Archowie, którzy przebywali już jakiś czas na Fronn, zaczęli domyślać się intencji Kany, Sim natomiast najwyraźniej nie miał pojęcia, o co chodzi. Kiedy spojrzął na Bogate'a, chcąc spytać o radę, na środek kręgu wkroczył Hansu. Za nim szedł jakiś mężczyzna, znacznie młodszy, lecz o równie budzącej szacunek postawie.

— Słyszałeś, co powiedział — Hansu zwrócił się do Sima. — Wybrał pręty poganiaczy. Będziecie walczyć tu i teraz. Chcemy, żeby było już po wszystkim, zanim wyruszymy.

Sim był ciągle oszołomiony i widząc to, Kana zaczął mieć nadzieję. Stępione miecze to jedno — walcząc z ekspertem można było zostać poważnie okaleczonym, a nawet zabitym, jednak w starciu na pręty zrobione z trującego drewna, które pozostawiały na ciele osmalone pręgi, miał szansę — być może nawet nie jedną.

Kana odpiął hełm i dostrzegł, że Mic stoi obok, gotów go potrzymać. Rey pomógł mu odpiąć pasy.

— Wiesz, co robisz, chłopie? — spytał go szeptem, kiedy Kana rozpiął tunikę.

— Chyba lepiej niż Sim — odpowiedział ściągając koszulę.

Początkowe iskierki nadziei przeradzały się w pewność siebie. Sim nie mógł wyjść z oszołomienia, a na twarzy Bogate'a nie było śladu uśmiechu. Młody mężczyzna, który przyszedł z Hansu, gdzieś zniknął, ale zanim Kana poczuł chłód nieogrzewanego budynku, wrócił, niosąc dwa jasno-purpurowe kije. Na ten widok wszyscy, którzy znali Fronn, szybko się cofnęli.

Kana naciągnął rękawicę i sięgnął po najbliższy pręt.

Oba miały tę samą wagę i długość. Kiedy wianuszek gapiów rozszerzył się, żeby zrobić im miejsce, wydawało mu się, że na pokrytej bliznami twarzy Sima dostrzegł niepokój.

Kiedy zaczęli krążyć, ich buty szeleściły na podłodze, a gdy broń zetknęła się po raz pierwszy, rozległ się głuchy łoskot.

Po trzecim złożeniu Kana wiedział, że ma przed sobą mistrza szermierki, ale czuł też, że lekkość tej obcej broni denerwuje Sima i że jego przeciwnik nie jest zbyt pewny siebie i niezupełnie zdaje sobie sprawę z możliwości pręta, którym walczył.

Było jedno takie uderzenie, które mogło pojedynek zakończyć. Kana zastanawiał się, czy Sim o tym wie. Wystarczyło przejechać kijem po mięśniach przedramienia trzymającego broń, wówczas przenikliwy ból obezwładni tę rękę na ładnych kilka minut. Skoncentrował się, żeby zadać właśnie taki cios. Cały świat zmniejszył się do rozmiarów pręta, którym się posługiwał, i gibkiego, uchylającego się ciała przed nim. Sim zrezygnował z otwartych ataków i poprzestawał na działaniach obronnych, jakby chciał dać Kanie możliwość eksperymentowania. Był bardziej przebiegły, niż można było sądzić.

Nie tracąc pewności siebie, lecz ciągle ostrożnie Kana krążył, stosując konwencjonalne ciosy i osłony. Chciał, aby Sim odniósł wrażenie, że walczy z nowicjuszem.

Coś uderzyło go w żebra i przejechało po odkrytym ciele. Wywołało taki ból jak oparzenie miotaczem. Zaciśnął zęby, widząc, że Sim zachęcony powodzeniem przechodzi z obrony do ataku, który odpierał teraz z najwyższym trudem. Wycofywał się bez wahania, skoncentrowany na swym jedynym celu: musi trafić w rękę przeciwnika.

Sim znów go trafił. Tym razem w łuk szczęki. Młody żołnierz potrząsnął głową w

oszołomieniu, jednak długi odskok dał mu moment, w którym mógł przyjść do siebie. Tak gwałtowna ucieczka nasunęła Simowi przypuszczenie, że przeciwnik traci odwagę, ruszył więc za nim z huraganem ciosów. I wtedy nadszedł moment, na który Kana liczył od początku — jego pręt przejechał po uzbrojonym ramieniu Sima tuż nad łokciem. Bardziej zaskoczony niż poprzednio Kana, doświadczony wojownik krzyknął, chwytając się za czerwoną pręgę, i upuścił swój pręt, który potoczył się prosto pod nogi Kany. Rekrut uniósł broń w formalnym geście oznaczającym zakończenie pojedynku.

— Usatysfakcjonowany? — zadał zwyczajowe pytanie.

Sim nie był w stanie wykrztusić słowa z bólu, więc jedynie skinął głową, nie kryjąc nienawiści w spojrzeniu. Ponieważ nie mógł utrzymać broni, musiał uznać swą porażkę, jednak nie sprawiał wrażenia usatysfakcjonowanego.

Kana usłyszał szmer rozmów komentujących pojedynki. Z tego, co udało mu się zrozumieć, wynikało, że ci koneserzy fachowo oceniali walkę we wszystkich jej aspektach. Rzucił swój pręt na podłogę i uniósł dłoń w kierunku oparzenia na szczęcie.

— Nie dotykaj tego, głupcze! — rzucił ktoś autorytatywnym tonem. Młody mężczyzna, który dostarczył im broń, odepchnął rękę Kany i zaczął delikatnie nakładać żółtą maść na bolesną pręgę. Chłód maści natychmiast zneutralizował potworne pieczenie. Stał cierpliwie, aż zaopatrzą mu ranę na boku i dopiero wówczas włożył podaną mu przez Mica koszulę.

— W porządku, panowie! — Głos Hansu przedarł się przez hałas rozmów. — Przedstawienie skończone!

Kiedy wszyscy zaczęli wracać na swoje miejsca w kolejce, mistrz miecza stanął między Kana a Simem, mierząc ich chłodnym jak stal spojrzeniem.

— Za burdy w koszarach — ogłosił — potrącenie trzydniowego żołdu! A gdyby któremuś przyszło do głowy znów spróbować, będzie miał do czynienia ze mną!

Z gołą głową, nie mogąc włożyć hełmu ze względu na ranę, Kana zobowiązał się zachować pokój. Bełkotliwe zobowiązanie Sima również zostało formalnie przyjęte.

— Ty, Lotz, dołącz do Dawa — Hansu wskazał kciukiem koniec kolejki. Sim, podtrzymując ranione ramię, posłusznie minął Bogate'a, żeby zająć wskazane mu miejsce obok ciemnego, żylastego weterana. Kana pozostał tam, gdzie stał uprzednio.

— Ja wezmę tego młodego — powiedział głośno młodszy weteran. Kana miał wrażenie, że przełożeni wcześniej to uzgodnili. Nadal nie wiedząc, kim jest jego właśnie pozyskany partner, ruszył za nim.

— Mills i Karr. — Hansu zarejestrował ich jako członków zespołu, którym osobiście dowodził.

Nazwisko Mills brzmiało znajomo w uszach Kany. Nie mógł jednak przypomnieć sobie nic bardziej konkretnego. Starając się to z czymś skojarzyć wracał po worek, kiedy wpadł na podekscytowanego Mica i równie zdumionego Reya.

— Muszę cię dotknąć — zawołał Mic. — Może skapnie mi się coś z twojego szczęścia! Na pewno mi się przyda.

— Musiałeś się urodzić z mieczem w dłoni i gwiazdą w ustach! — wtórował mu Rey. — No, i co powiesz na takiego partnera jak Deke Mills, żółtodziobie?

Deke Mills! Był już naprawdę blisko, ale ciągle jeszcze nie pamiętał, skąd zna to nazwisko.

— Na wielkie miecze! — Oczy Mica i jego usta były okrągłe ze zdumienia. — Nie mogę uwierzyć, że on nie zdaje sobie sprawy z tego, co mu się trafiło! Naprawdę ktoś powinien nauczyć młokosów paru rzeczy, zanim wyśle ich na ten okrutny, zimny świat. Deke Mills, chłopie, to supergwiazda! Ma tyle odznaczeń, że mógłby równać się z ludźmi pokroju Hansu. Mógłby mieć całą hordę partnerów do wyboru! Mógłby być partnerem samego Hansu, gdyby Yorke się nie upierał, że Trig ma dowodzić

zespołem.

Kana przełknął ślinę.

— Więc dlaczego... — nagle zaschło mu w gardle.

— Na pewno nie z powodu twoich błękitnych oczu — powiedział Mic. — Nie miał partnera, tak jak i ty. Yorke ma zasadę, że weteran ma dobrać sobie młodego, jeśli nie jest w stałej parze. Masz szczęście, że znalazłeś się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Chłopie, szczęście aż z ciebie kapie!

— Wolałbym zostać z wami.

Kana nie kłamał. Być partnerem takiej szychy jak Deke Mills to ostatnia rzecz, jakiej by pragnął. Będzie robił wszystko nie tak, a jego błędy będą jeszcze bardziej widoczne w tak doborowym towarzystwie. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że wolałby trafić do pary z Simem.

— Rozchmurz się — uśmiechnął się Mic. — Jesteśmy w tym samym zespole. Mills jest jednym z adiutantów Hansu, więc niewiele będziesz go widywał.

— Lepiej się zamknijcie — ostrzegł ich Rey. — Mills stoi przy wyjściu. Nie każ mu na siebie czekać.

Kana chwycił worek mrużąc oczy z bólu przy każdym ruchu głowy. Młody weteran stał przy drzwiach rozmawiając z grupką oficerów. Kana przyspieszył kroku, zaczynając żałować, że nie skorzystał z przywileju i przyjął pierwszą ofertę przydziału.

Dochodziła północ, kiedy dołączył do Millsa. Na zewnątrz ciemności przecinały jedynie promienie słabego błękitnawego światła, słabe i mgliste w oczach Ziemianina. Kana domyślił się, że zamiast spędzić noc w cuchnącej oborze, postanowiono przeprowadzić żołnierzy do obozu poza miastem, zbudowanego przez tych, którzy przybyli tu wcześniej.

Ulica była nierówno wybrukowana. Stał na niej szereg lekkich wozów na dwóch kołach, ciągnionych przez gueny — większość tych zwierzaków porykiwała ze złością. Za przykładem Millsa Kana wrzucił swój worek do najbliższego wozu i pierwszy raz w życiu znalazł się obok Fronianina.

Był to Llor, członek rasy dominującej na lądach kontynentalnych. Humanoid miał niewiele mniej niż dwa metry. W klimacie, w którym Ziemianie nie rozstawali się z zimową tezą, Llor stał obnażony do pasa. Natura wyposażyła go futro gęstych, poskręcanych włosów, swą fakturą przypominających owcze runo, wydzielające ostry, oleisty zapach, przykro odczuwany przez przybyszów. Owłosienie przerzedzało się nieco na twarzy — niezwykle dla obcych, gdyż w miejscu nosa znajdowała się pojedyncza szczelina nozdrza, podczas gdy wyłupiaste oczy wprawiały w zakłopotanie swym niesamowitym spojrzeniem. Usta były małe i okrągłe, a jeżeli mieściły w sobie zęby, były one niewidoczne. Jego jedynym strojem, nie licząc skórzanej uprzęży, na której wisiał miecz i strzelba, była krótka spódniczka uszyta z cienkich pasków wyprawionej skóry. Wysokie, wiązane pod kolanami buty miały ostre czubki z groźnie wyglądającymi metalowymi kolcami.

Kiedy żołnierze ładowali swój sprzęt na wózek, Llor stał w niedbałej pozie, żując kawałek purpurowobłękitnej trzciny i spluwając głośno od czasu do czasu. Gdy na wózku, którym się opiekował, znalazły się worki sześciu ludzi, Llor wyprostował się, trącił prętem warczącego guena i wózek skrzypiąc potoczył się naprzód, pozostawiając Ziemian z tyłu.

Niebieskie lampy na pozbawionych okien ścianach budowli, obok których przechodzili, dawały niewiele światła, ale umożliwiały pokonanie wyboistych ulic.

— Jesteśmy w Tharc, stolicy prowincji Skury — głos Millsa przebił się przez łoskot metalowych kół na bruku. — Skura jest chorthą ziem zachodnich. Zamierza zostać gatanu, i dlatego właśnie tu jesteśmy.

— Oficer przydziałowy powiedział, że to ma być akcja policyjna— rzucił Kana. Być może to właśnie był problem, który Mic przeczuwał jeszcze na Secundusie. Istniała ogromna różnica między wprowadzaniem porządku na granicach na życzenie prawowitego władcy a wspieraniem zbuntowanego watażki w staraniach o tron.

— Skura twierdzi, że jest pełnoprawnym dziedzicem tronu, toteż wyprawę naszą można uznać za rodzaj akcji policyjnej.

Kanie wydawało się, że wyczuwa pewną oschłość w głosie Millsa. Czyżby popełnił błąd wypowiadając słowa, które można by uznać za krytykę rozkazów Yorke'a?

— Siostry gatanu Ploty były bliźniaczkami. Są pewne trudności z ustaleniem, która z nich pierwsza przyszła na świat. Obie mają synów, więc teraz trwa spór, kto jest prawowitym dziedzicem. Plota umiera na tutejszą malarię, dają mu nie więcej niż trzy miesiące życia. Ekipa Skury jest w niełasce na dworze i wysłano ich tu zeszłego lata. Jest bardziej wygnańcem niż prawdziwym chorthą. Zawarł jednak układ z handlem międzygalaktycznym dotyczący jakichś praw górniczych i zebrał dość forsy, żeby zatrudnić Yorke'a. Nasi handlowcy od dawna starają się uchwycić tu jakiś przyczółek — miejscowy obrót jest ściśle zmonopolizowany. Dlatego chętnie poparli Skurę w walce o tron. Jest to dość ryzykowne, ale jeżeli Skura zostanie gatanu, zapłaci Yorke'owi dwa razy więcej, niż można dostać za podobną akcję w innym miejscu.

— Z kim walczymy?

— Ze S'Torkiem, drugim siostrzeńcem. Jest mniej wojowniczo nastawiony niż Skura, otacza się bardziej konserwatywnymi panami i ma za sobą większość kapłanów wiatru. Jednak nie jest wojownikiem i nie stoją za nim żadne poważne siły wojskowe. Tutejsza armia to grupy rycerzy skupione przy poszczególnych panach. Jeżeli jakiś możnowładca nie jest na tyle popularny, żeby przyciągać do siebie niezrzeszonych rycerzy, wówczas jest bez armii. To proste. Skura uważa, że mając za sobą naszą horde, może zwyciężyć, zanim jeszcze dojdzie do prawdziwej walki, że wystraszy przeciwników.

Przy murach Tharc bruk nagle się skończył i wozy wjechały na pokrytą głębokim kurzem drogę, która nie była niczym więcej niż karawanowym szlakiem. Przeszli pod spuszczaną kratą bramy twierdzy i znaleźli się na otwartym terenie.

Za bramą dostrzegli szereg guenów, czekających na wejście do miasta. Ich właściciele, kupcy, byli nieco niżsi od wielkich żołnierzy Llorów. Byli okutani w szaty z kapturami, które zupełnie ich zasłaniały. Stali cisi i tajemniczy jak duchy, czekając na przejście Ziemian.

Obóz hordy leżał o milę od murów miejskich. Żółte lampy dawały wytchnienie oczom zmęczonym ciemnościami bezksiężycowej nocy. W ich blasku Kana znalazł przydzielony mu namiot i z ulgą wczołgał się do wnętrza na kilka godzin wypoczynku.

Następny tydzień minął na intensywnym szkoleniu, aby nadać świeżo sformowanej hordzie pełną gotowość bojową. Kana był zbyt pochłonięty ćwiczeniem, a wieczorem zbyt wyczerpany, aby zastanawiać się nad swym otoczeniem czy przyszłością. Po dziesięciu dniach ustawili się w szyk marszowy i o bladym świcie, który na Fronn był jeszcze chłodniejszy i bardziej nieprzyjemny niż na Ziemi, horda miała ruszyć na wschód, w kierunku odległego łańcucha górskiego, który oddzielał zachodnią prowincję od bogatych nizin centralnych, uznawanych już przez Skurę za jego własność.

Kana musiał przyznać, że buntowniczy chortha był doskonałym przykładem na wpół barbarzyńskiego wodza. W towarzystwie oddziału szybkiej kawalerii, siedząc na trudnym do opanowania guenie, kilkakrotnie przejeżdżał przez obóz hordy. Jego popularność wśród wójtów była ogromna i codziennie dołączali do niego

kolejni możnowładcy ze swymi oddziałami. Każdego dnia karawany jucznych guenów transportowały zaopatrzenie do magazynów polowych w górach.

Tamtego ranka Kana maszerował w szpicy razem z Reyem. Jedna z takich karawan złożona z protestujących przeciw ciężarom zwierząt i zakapturzonych poganiaczy przechodziła obok nich, wzniesając tumany kurzu. Horda miała ruszyć zaraz za karawaną, jednak nie szlakiem, lecz na przełaj. Jedyne szpica miała podążać szlakiem.

Kana zanurzył brodę w wysoki, ocieplany kołnierz, ciesząc się, że zdecydował się na kurtkę z kapturem osłaniającym głowę i uszy. Ziąb frońskiego świtu był naprawdę bezlitosny.

— Idzie ostatni. Ruszamy. — Słowa Reya dotarły do niego w kłębie pary. Podniósł raketnicę i wystrzelił czerwoną racę w ciemne niebo.

Trzymając w zagłębieniu łokcia lekkie strzelby, dwaj Ziemianie elastycznym, żołnierskim krokiem ruszyli skrajem szlaku.

Po paru sekundach dogonili ostatniego guena i zaczęli wyprzedzać karawanę. Zbliżyli się do jej czoła, kiedy uwagę Kany przykuł jeden z zakapturzonych poganiaczy. Nigdy nie widział tutejszych handlarzy bez maskujących sylwetkę okryć, wiedział jednak, że należeli do innej rasy niż włochaci Llorowie rządzący krajem.

Llorowie uprawiali ziemię, mieszkali w miastach zarządzanych w feudalnym stylu i byli wojownikami. Handlarze, którzy mieli monopol i na transport, i na wymianę towarów, należeli do innego plemienia. Byli rasą ludzi wywodzącą się z odległych wysp, świetnymi żeglarzami i podróżnikami, nie zakładali jednak osad na stałym lądzie. Nazywali się Venturi i na kontynencie trzymali tylko ze sobą, prowadząc interesy przez wybranego przedstawiciela każdej grupy, spełniającego niewdzięczną rolę pośrednika między nimi a Llorami. Z punktu widzenia Ziemian Venturi byli anonimowymi, mrocznymi stworzeniami, trudnymi do rozpoznania w swych kapturach, podobnymi do siebie jak dwie krople wody zarówno pod względem wzrostu, jak i sposobu poruszania się. Tym razem jednak jeden z nich wydał się Kanie inny. Podczas gdy jego towarzysze posuwali się płynnie, jak na łyżwach, ten maszerował. Nie pilnował też żadnego guena, lecz — bez bagażu — siedł nieco z boku kolumny.

Kana zwołnił kroku, żeby nie wyprzedzać tajemniczego wędrowca i móc mu się lepiej przyjrzeć. Wyglądało na to, że nie był to wcale Venturi. Kiedy Rey zrównał się z nim, wędrowiec nagle zmienił krok, starając się poruszać jak inni poganiacze. Kana dogonił Nalassie. Dotarli na szczyt wzniesienia. Poniżej rozciągały się gęste zarośla. Dwaj miecznicy mieli do wyboru: albo iść dalej drogą, albo obejść je szerokim łukiem od północy. Ledwie słyszalnym szeptem Kana rzucił:

— Północ!

Rey był zaskoczony, ale nie spytał o wyjaśnienie. Posłusznie skierował się we wskazanym kierunku. Gąszcz pozostał między nimi, a karawaną.

— Wśród Venturich jest jakiś obcy — wyjaśnił Kana.

Rey zdjął broń z ramienia, przykucnął na mokrym gruncie i odpiął radiostację. — Powiem im o tym.

Kana ruszył biegiem, starając się dogonić karawanę i obserwować podejrzanego. Przeliczył zakapturzone postacie, aby mieć pewność, że jego człowiek nadal był wśród nich. Rey dołączył do niego.

— Kawaleria Llorów jedzie w tę stronę około mili stąd. Jeżeli coś będzie nie tak, oni się tym zajmą. Mamy nie mieszać się do Venturich.

Posuwali się równolegle do karawany. Był już dzień i słońce barwiło niebo żółtymi promieniami. Przed nimi grupa jeźdźców skupiła się wokół czegoś na środku szlaku.

Kana i Rey przyspieszyli kroku, żeby zobaczyć, co się stało. Jakiś guen leżał w

pyle wierzgając nogami i szczerząc swe potężne kły na Llorów, zastanawiających się, co z nim zrobić.

Karawana zatrzymała się, jej przewodnik samotnie ruszył naprzód. W połowie drogi między obiema grupami spotkał się z dowódcą kawalerzystów i po krótkiej wymianie zdań wrócił do swoich na drugą konferencję, która doprowadziła do tego, że inny z kolei Venturi ruszył do powalonego guena.

Llorowie rozeszli się, pozostawiając przy zwierzęciu jedynie swych oficerów. Kana zauważył, że paru jeźdźców dyskretnie zbliżyło się do karawany. Wyglądało to na jakiś podstęp, jakby chcieli uniknąć oskarżenia o wtrącanie się w sprawę Venturich, a jednocześnie przyjrzeć się karawanie.

W pewnej chwili rozległ się głośny krzyk jednego z kawalerzystów. Wcześniej zsiadł ze swego wierzchowca, który teraz uwolnił się z jego rąk i buchając zieloną pianą z nozdrzy i pyska pędził wprost na zwierzęta w karawanie. Jego właściciel biegł za nim, bezskutecznie starając się pochwycić lejce.

Widząc wściekły atak wierzchowca, obciążone jukami gueny wpadły w panikę, starając się wyrwać swoim poganiaczom lub ciągnąc ich za sobą. Jedna z zakapturzonych postaci, bez guena, ruszyła do ucieczki wprost na Kanę i Reya. Kana miał ochotę pochwycić zbiega, lecz rozkaz był wyraźny — zostawić tę sprawę Llorom.

Kawalerzyści, stojący dotąd na skraju szlaku, ruszyli szerokim wachlarzem za uciekającym. Jeden z nich zakreślił nad głową lśniąca liną, aby obezwładnić biegnącego. Ten zmienił krok, potknął się i grzmotnął na ziemię. Najbliższy kawalerzysta zeskoczył z wierzchowca i spokojnie zbliżał się do leżącego, najwyraźniej nie spodziewając się żadnego oporu.

Jednak mężczyzna przekreślił się i usiadł, równocześnie błyskawica czerwonego światła uderzyła kawalerzystę. Z urwanym okrzykiem bólu żołnierz padł na ziemię.

— Miotacz! — wrzasnął Rey.

Obie strzelby Ziemian skupiły się na celu i odgłos dwóch wystrzałów złał się w jedno. Ciało mężczyzny drgnęło i runęło z głuchym odgłosem, który powiedział im, że dalsze strzały są zbędne.

Llor z półkolistym naramiennikiem podoficera wytrącił zabitemu z dłoni broń z matowego metalu — broń, która nie miała prawa znaleźć się na Fronn. Dwaj inni kawalerzyści zdarli szatę z ciała. Był to Llor, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

— To — oficer dotknął broni swym prętem. — Znacie to? — spytał powoli w języku kosmicznych handlarzy.

— To miotacz, bardzo zły — odpowiedział mu Kana. — My ich nie używamy.

Oficer pokiwał głową. — Więc skąd tu jest? — pytał.

Kana wzruszył ramionami. — A ten tu, nie wasz?

Dowódca oddziału przepchnął się przez pierścień swych ludzi i pochylił się, żeby dobrze obejrzeć martwą twarz. Potem własnoręcznie zerwał pas podtrzymujący przepaskę. Na odwrocie sprzączki znajdował się znak w kształcie pomarańczowoczerwonej strzały.

— Szpieg S'Torka — powiedział. Potem już w miejscowym języku wydał serię rozkazów, po której żołnierze zawinęli ciało w płaszcz i przerzucili je przez grzbiet protestującego guena.

Ku zdumieniu Ziemian, nic nie powiedziano Venturim. Szlak został oczyszczony i karawana ruszyła dalej. Żaden z poganiaczy nie obejrzał się za grupą wiozącą ciało szpiega. Miotacz leżał na ziemi, dopóki dowódca kawalerzystów nie wskazał go czubkiem buta i nie zwrócił się do Ziemian:

— Wy zabrać.

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba. Kana jednak ochoczo go wykonał. Był to problem, jaki natychmiast należało przedstawić Yorke'owi. Skąd na Fronn — i to w rękach szpiega wrogów — znalazła się najnowsza broń patrolu galaktycznego?

Rozdział IV

Klasyczny ruch ku klęsce

Dowód leżał na odwróconym zasobniku, który służył dowódcy za stół. Fitch Yorke siedział na zrolowanym śpiworze, oparty o powykręcany przez wiatry pień drzewa. Słomiany kolor jego włosów ostro kontrastował z purpurowym błękitem kory. Żując wykałaczkę, wpatrywał się w miotacz w ponurym zamyśleniu. Skura nie reagował równie spokojnie.

Przywódca zbuntowanych Llorów nerwowo chodził w tę i z powrotem po niebieskiej glinie chrupiącej pod jego butami.

— No i co powiecie na to? — pytał. — To nie wasze. Ale to z waszego świata. A więc skąd?

— Sam chciałbym to wiedzieć, wasza wysokość. To wbrew naszemu prawu. Nie było w naszych rękach — znaleziono to u szpiega wrogów.

Gardłowe „Taak”, które wyrwało się z włochatego gardła, bardziej przypominało ryk dzikiego kota niż przyznanie racji. — Zło S'Torka, czy można się po nim spodziewać czegoś innego? Przeciw temu po co miecze, po co strzelby? Czy broń twoich tak świetnych mieczników jest coś warta wobec ognia, który smaży i zabija? My nie walczymy z płomieniem. Kiedy biorę skarby na Secundusa i pytam, kto mi pomoże w bitwie, mówią mi: zwróć się do tego czy tego dowódcy, ale nie chodź do tego i tamtego, bo tylko niektórzy mogą walczyć na Fronn. Oddaję więc skarby i wy przyjeżdżacie. Teraz co? S'Tork ma u siebie tych, którzy noszą ognistą broń! To nie jest uczciwy układ. My, Llorowie, nie tolerujemy podwójnych języków.

Skura zatrzymał się przed miotaczem i Yorke'em. — Ponadto — jego wełnista głowa i wylupiaste oczy zwróciły się ku Kanie i Reyowi — kiedy szpieg był już w naszych rękach i mogliśmy go wypytać, co się dzieje? Ziemskie kule wysyłają go bez słowa do krainy ostatnich cieni. Nie chciałeś, aby odpowiedział na nasze pytania, dowódco?

Yorke nie przyjął wyzwania. — To — wskazał na miotacz — zabójcza broń. Gdyby moi ludzie go nie zabili, wszyscy twoi mogli zginąć, wasza wysokość. Sam żałuję, że nie mogliśmy wypytać tego szpiega. Teraz możemy znaleźć odpowiedź jedynie w obozie S'Torka.

— Już działamy w tej sprawie. Jeżeli ten śmieć naprawdę ma taką broń, będziemy o tym wiedzieć. — Nie mówiąc ani słowa więcej, Skura wskoczył na swego guena i galopem opuścił obóz Ziemian, a za nim bodąc czubkami butów swe wierzchowce, ruszyła jego eskorta.

Kiedy Skura zniknął w tumanie kurzu, Hansu i Mills wyszli z cienia, a Yorke odrzucił dotychczasową ospałą pozę.

— I co wy na to? — uniósł brwi pytająco.

— Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy — odpowiedział Hansu. — Ktoś tu działa za naszymi plecami i ma dobre poparcie. To broń patrolu galaktycznego.

— Kto? — Yorke wypluł kawałek wykałaczki.

— Jakiś mech szuka szczęścia na własną rękę — zasugerował Mills. — Albo też...

— Albo też ktoś po cichu buduje sobie małe imperium — dokończył za niego Hansu. — Nic nie będziemy wiedzieć, dopóki nie dostaniemy raportów szpiegów Skury.

— Broń i ludzie, a może tylko broń? To dość ważne. — Yorke wstał. — A zresztą, tak czy siak niezły galimatias.

Hansu wzruszył ramionami. — Jeżeli to tylko broń, to my mamy większe szansę.

— Sądysz, że to jakaś konfrontacja? Całkiem możliwe. Jeżeli jednak myślą, że jesteście na z góry przegranych pozycjach, to lepiej, żeby jeszcze raz się zastanowili. — Dowódca nie wyglądał na zatroskanego. — Może nawet zdobędziemy odpowiedź na odwieczne pytanie: co się stanie, jeśliby wystawić archów przeciw mechom? Na świecie takim jak ten przyroda jest po naszej stronie. Lekki, ruchliwy oddział przeciw zmechanizowanej dywizji. Uderzenie i wycofanie się, zanim ciężka jednostka zdoła się ruszyć. — Wydawało się nawet, że w głębi duszy ma ochotę na uczestnictwo w takim eksperymencie.

— W porządku — Hansu podniósł miotacz ze stołu. Jego powaga kontrastowała z chwilowym entuzjazmem dowódcy. — Być może dostaniemy szansę, żeby udowodnić, że jesteście dobrzy, ale nikt nie potrafi przewidzieć przyszłości. Ten miotacz musi natychmiast zostać rozbrojony!

Yorke odszedł od nich, a Hansu zaczął własne przesłuchanie. Rey i Kana szczegółowo relacjonowali wydarzenia, od chwili dostrzeżenia zakapturzonego szpiega do jego śmierci.

— Następnym razem starajcie się faceta uszkodzić, ale nie zabijać — powiedział w końcu. — Dałbym swój miesięczny żołd, żeby zamienić z nim parę słów. Odmaszerować.

Miotacz zniknął i przez kilka najbliższych dni nikt już o nim nie wspominał. Horda była u podnóża gór wędrując traktami wydeptanymi łapami guenów. Gigantyczne występy skalne w białe i czarne pasy potęgowały ogólne wrażenie nieprzystępności. Powietrze, rzadkie nawet na nizinach, rozrzedzało się tu jeszcze bardziej. Mimo przygotowania i aklimatyzacji żołnierze z trudem łapali oddech po bardziej stromych podejściach. W ciągu dnia niebo nad ich głowami miało żółtawą poświatę, a z ośnieżonych szczytów owiewał ich lodowaty wiatr.

Po trwającym siedem frońskich dni marszu dotarli na szczyt łańcucha i zaczęli schodzenie w stronę bogatych nizin kontynentu. Między górami a morzem leżały jedynie równiny, jeśliby nie brać pod uwagę pomocnego odgałęzienia masywu.

Po drodze mieli kilka drobnych starć z oddziałami rojalistów, ale trzy forty kontrolujące ich trakt były puste, kiedy do nich dochodzili. Nie było to zjawisko dodające Ziemiom otuchy. Długie lata walk nauczyły ich podejrzliwości wobec sukcesów przychodzących zbyt łatwo. Pojawiły się przypuszczenia, że idą prosto w pułapkę. Jedno spotkanie z uzbrojonym szpiegiem urosło do rozmiarów starcia z grupą mechów. W nocy obozy rozbrzmiewały jeszcze bardziej nieprawdopodobnymi opowieściami. Podczas gdy Yorke i jego oficerowie zachowywali pewną wstrzemięźliwość, żołnierze trzymali się z dala od miejscowych sojuszników. Atmosfera stawała się taka, że wielu wojowników nie miałoby nic przeciw wycofaniu się z wyprawy.

Pewnego dnia, w południe, Kana towarzyszył Deke Millsowi we wspinaczce na słup skalny, z którego można było obserwować ciągnącą się przed nimi drogę. Kiedy Mills nastawiał lornetkę, Kana osłonił dłonią oczy i próbował dojrzeć coś w oddali. Widział jakies błyski, które musiały być refleksami światła na metalu i które nie były nieruchome.

— Czekają tam na nas — potwierdził Mills. — Dwie, trzy królewskie flagi. Co najmniej trzy kompanie. Zbliża się do nich oddział zwiadowców Skury. Zaraz, zaraz — machają jakąś flagą! To chyba parlamentarzyści.

Kana ledwo rozróżniał czarne punkciki przesuwające się traktem z gór, zlewające się w małą plamkę.

— Yorke powinien się o tym dowiedzieć. Powiedz mu, że przeciwnik dał sygnał do negocjacji i wygląda na to, że Skura się zgadza.

Kana zsunął się po skale do podnóża, gdzie dowódca ślęczał nad miejscową mapą

w towarzystwie trzech mistrzów miecza. Na wiadomość o negocjacjach Yorke wsiadł na guena, którego dostał od Skury, i ruszył na miejsce spotkania. Kana wrócił do Millsa.

— Patrz! — młody weteran dał mu lornetkę. — Tam na prawo. Co to jest według ciebie?

Kana spojrział we wskazanym kierunku. Niewielka grupka zbuntowanych Llorów posuwała się w stronę garstki rojalistów. Jednak drugi oddział Skury zsiadł z wierzchowców i w ukryciu okrążył miejsce spotkania parlamentarzystów.

— Zasadzka? Przecież spotykają się pod białą flagą!

— No właśnie — głos Millsa brzmiał sucho.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Konferujący przywódcy, nie zsiadając ze swych guenów, rozmawiali pod łopoczącą na wietrze flagą. Nagle ukryci rebelianci uderzyli. Grupa oficerów zmieniła się w kotłowaną walczących Llorów i guenów. Buntownicy ściągali zaskoczonych rojalistów z wierzchowców zostawiając martwych na ziemi, a rannych wlokąc za skały. Kiedy rozwścieczeni przeciwnicy próbowali ich odbić, napotykali na ścianę ognia z broni pneumatycznej i byli zmuszani do bezładnej ucieczki. Biała flaga łopotała nad stosem martwych ciał. Zasadzka była równie udana jak zdradziecka.

Dwaj Ziemianie wstrząśnięci tak drastycznym złamaniem kodeksu, który wpajano im od pierwszych dni szkolenia, zeszli na dół, dołączając do współtowarzyszy.

— Coś się stało? — spytał Mic, wyczuwając ich napięcie.

Kana skinął głową, ale Mills się nie zatrzymał. Nikt nie mógł przewidzieć, jakie mogą być dla Ziemian skutki takiego gwałtu. Mogło to nawet doprowadzić do zerwania kontraktu i natychmiastowego powrotu na Secundusa.

Choć wracali na punkt dowodzenia najszybciej, jak mogli, znaleźli się tam zaledwie o kilka sekund przed Yorke'em. Twarz dowódcy była pozbawioną emocji maską, jednak zaciśnięte usta i błyski w oczach zdradzały jego zdenerwowanie.

Mills złożył raport. Kiedy skończył, Yorke zaśmiał się, lecz nie był to śmiech wesoły. — Dobrze — w ciszy jego głos zabrzmiał wyjątkowo ostro — to prawda. Hansu, Bloor — wyciągnął palec w stronę oficerów — chodźcie za mną. Musimy porozmawiać. A także — rozejrzał się po grupie mistrzów miecza — ty, ty i ty.

Lekko pchnięty przez Millsa Kana uświadomił sobie nagle, że został wybrany razem z nim i z Bogate'em. Schodzili ze wzgórza tuż za oficerami.

Deke zdjął strzelbę z ramienia, a reszta poszła w jego ślady. Llorowie mieli równie celną broń, jednak daleko im było do niezwyklej sprawności w posługiwaniu się nią, osiąganą przez Ziemian. Yorke mógł liczyć na pokaz siły podczas spotkania ze Skurą.

Trafili na przywódcę rebeliantów w skalistym wąwozie, gdzie górski szlak zmieniał się w normalną drogę. Tłum Llorów na wierzchowcach i spieszonych stanowił audytorium sceny rozgrywającej się na środku traktu. Trzej oficerowie rojalistów krwawiących z pomniejszych ran, ze związanymi z tyłu rękami, stali w szeregu przed Skurą, który wrzeszczał na nich w miejscowym języku. Przerwał, widząc Ziemian przedzierających się przez krąg widzów. Choć gęste futro uniemożliwiało odczytanie wyrazu twarzy przywódcy rebeliantów, było oczywiste, że przybycie Yorke'a wcale nie ucieszyło Skury.

Trójka mieczników ustawiła się tak, aby i oni sami, i ich strzelby były dobrze widoczne. Nie wykluczali konieczności użycia broni.

Yorke podjechał tuż przed Skurę. Llorowie stojący najbliżej przezornie się wycofali. Zbyt dobrze znali strzeleckie umiejętności Ziemian, aby wchodzić im na muszkę.

— Wasza wysokość, to, co widziałem, to nie jest właściwy sposób prowadzenia

wojny. — Głos Yorke'a nie brzmiał jak przemowa, ale był dobrze słyszalny.

— Jestem gatanu, a gatanu może walczyć jak zechce — odpowiedział Skura. — Ci tutaj służyli S'Torkowi. Zabijali moich ludzi, więc...

Jego ręka wykonała błyskawiczny ruch. Świst stali w powietrzu i trójka rojalistów znalazła się na ziemi. Ich ciemna krew bryznęła aż na buty Skury.

Usta Yorke'a zacisnęły się w cienką linię.

— To nie było potrzebne, wasza wysokość. Zło rodzi nowe zło.

— I co z tego? W swoim świecie możecie postępować zgodnie ze swoim zwyczajem. Tu mamy inne zwyczaje, przybyszu!

Przywódca Llorów miał rację. Yorke nie mógł temu zaprzeczyć. Jedną z reguł działania najemników było niewtrącanie się do działań sił miejscowych, prowadzonych zgodnie z tradycją panującą w danym świecie. Być może naruszanie zasady bezpieczeństwa parlamentarzystów było regułą działań wojennych na Fronn, mimo to Kana usłyszał, jak Bogate mruknął pod nosem:

— Nic dobrego z tego nie wyniknie, krew na białej fladze zawsze przynosi pecha.

Dowódca zawrócił wierzchowca i Ziemianie ruszyli zwartą grupą do swoich. Gnębił ich niepokój. Wojna, jak wiedzieli, rządziła się pewnymi nienaruszalnymi zasadami. Jeżeli one już się nie liczą, to czego można się dalej spodziewać?

Odbyła się rada wojenna, na którą wezwano przedstawicieli każdego zespołu, podczas gdy reszta oddziału stała pod bronią, gotowa na kłopoty, czekając na atak nie tylko ze strony rojalistów, lecz również tak zwanych sprzymierzeńców.

Decyzja zapadła o świecie. Ponieważ Skura powołał się na miejscowy zwyczaj, kontrakt nie został zerwany i zgodnie z nim powinni przystąpić do bitwy po stronie rebeliantów. Siły rojalistów zostały odparte od podnóża gór, a buntownicy posuwali się skrzydłami. Skura miał kilka kompanii piechoty, lecz kawaleria na guenach była jego ulubioną bronią. Dlatego jego piechurzy maszerowali na flankach hordy Ziemian. Według dochodzących go wieści armia rojalistów była nieliczna. Większość wielkich panów z nizin nie zdecydowała się jeszcze, po czyjej stanąć stronie. Szybkie zwycięstwo nad tą armią — a właściwie prywatnymi oddziałami S'Torka — skłoniłoby możnowładców do opowiedzenia się za Skura, i wówczas cała nizina dostałaby się pod jego władanie po zaledwie kilku małych ekspedycjach przeciw nielicznym lordom trzymającym stronę jego kuzyna.

Przeraźliwy dźwięk trąb wojennych Llorów potoczył się po równinie. Buntownicy musieli być pewni zwycięstwa, ponieważ przysłali jedynie niewielkie oddziały piechoty do wspomaganie skrzydeł kompanii Ziemian, kiedy kawaleria ruszyła nawiązać bezpośredni kontakt z przeciwnikiem.

Horda przygotowała się do działania. Żołnierze pościągali z mundurów wszelkie ozdoby i zwracające uwagę odznaki. Mieli na sobie szarozielone mundury polowe, zapewniające doskonały kamuflaż w terenie, po którym się posuwali.

Zajęli pozycje bojowe. Kana wyciągnął nogi w płytkim zagłębieniu i oparł lufę strzelby o wygiętą gałązkę krzewu, za którym się ukrył. Nad nim trzepotało gniewnie skrzydłami stadko latających stworzeń, przerażonych i zagniewanych zarazem tym brutalnym wtargnięciem obcych na ich terytorium. Plan bitwy był prosty i zgodny z wojenną tradycją Llorów. Kawaleria będzie próbowała oskrzydlić przeciwnika i zapędzić go w miejsce, skąd będzie musiał stawić czoła niszczącej nawale ognia archów. Ponieważ niewielkie siły S'Torka nierozsądnie przyjęły bitwę, zamiast ratować się ucieczką, rebelianci byli pewni wygranej.

Kana obejrzał się, słysząc, że Mills podczołgał się do niego. Weteran uważnie zlustrował zajętą przez niego pozycję i widocznie dobrze ją ocenił, skoro sam zaczął przygotowywać się do walki w tym miejscu. Do brzmienia trąb dołączył nowy hałas — bojowe okrzyki Llorów. Mills uśmiechnął się do Kany. — Zaczęło się!

Z konieczności mieli dość ograniczone pole widzenia. Przez dłuższą chwilę jedynie odległy zgiełk świadczył o tym, że bitwa się rozpoczęła. Potem dostrzegli gromadę jeźdźców, która wypadła z niewielkiego zagajnika. Kręcili się niespokojnie, najwyraźniej nie wiedząc, w którą stronę ruszyć. Mundury zdradzały, że byli to rojaliści zapędzeni przez Llorów w paszczę pułapki, której zęby stanowili Ziemianie.

Z lasku wyłoniła się druga grupa, jeszcze bardziej bezładna, z kilkoma wierzchowcami bez jeźdźców. Jakiś spieszony Llor biegł przez otwarte pole, za nim kuśtykał drugi, wspierając się na drzewcu dzidy. Pierwsza grupa rozdzieliła się na dwie. Mniejsza złożona ze starszych szarż, wyciągnęła miecze i zwróciła się między drzewa, druga chaotycznie schodziła na dno doliny. Kana wybrał cel, zanim jeszcze jego ofiara znalazła się w odległości umożliwiającej skuteczny strzał. Nie było trąb wojennych, pieśni bitewnych, jedynie ukryta linia snajperów gotowych do akcji. Kiedy uciekinierzy minęli grupę skał wyznaczających granicę ostrzału, natknęli się na grad kuł, który zmiotł ich z siodeł i doprowadził gueny do szału. Dwie lub trzy postacie czołgały się po ziemi, ale żaden z jeźdźców nie przeszedł wyznaczonej granicy.

Kana nie mógł zamknąć oczu, choć czuł narastającą falę mdłości. Nie było to to samo, co strzelanie do człękoksztalnych robotów poruszających się na strzelnicy. Sekundę temu zniszczył wyznaczony przez siebie cel. Llor, którego widział w celowniku, nie miał dla niego imienia ani nazwiska, a jednak... Z trudem powstrzymał się przed zwymiotowaniem. Nie miał zbyt wiele czasu na opanowanie się, bowiem z lasu wyjechała kolejna fala rojalistów. Tym razem uciekinierzy mieszały się z goniącymi w śmiertelnym tańcu z oddziałem buntowników, którzy spychali ich w stronę stosu trupów, omiatanego ogniem Ziemian. Rojaliści bronili się zajadle, o czym mogła świadczyć niemal równa liczba wierzchowców bez jeźdźców po obu stronach.

— Skura!

Kana nie potrzebował pomocy Millsa, żeby rozpoznać wodza rebeliantów, przedzierającego się w kierunku przywódcy oddziału wroga. Zaatakowany dzielnie przyjął wyzwanie. W bitewnym zgiełku zaczął się regularny pojedynek na miecze. Oficer rojalistów krwawił z rany na ramieniu, ale nie było widać, aby stanowiło to dla niego jakąś przeszkodę w walce. Skura, jak dotąd, był nietknięty.

Szczęk stali dochodził do stanowisk Ziemian, którzy wstrzymali ogień. W ogólnym zamieszaniu łatwo było trafić nie tego, kogo należało. Wierzchowiec rojalisty usiłował ugryźć guena Skury. Ten uskoczył w bok. Miecz Skury wbił się głęboko w rękę przeciwnika, wytrącając z niej broń. Kiedy Skura podniósł ramię, żeby zadać ostateczny cios, niespodzianie zachwiał się i spadł na ziemię.

Chyba jedynie Ziemianie dostrzegli cienki strumyczek ognia tryskający spośród drzew, który dosięgnął przywódcę buntowników w chwili triumfu. Llorowie, jeszcze przed chwilą zaangażowani w walkę na śmierć i życie, stanęli jak wryci, wpatrzeni w ciało wodza. Po sekundzie, krzycząc z przerażenia i rozpacz, dokończyli krwawe dzieło. Jedynie dwóm rojalistom udało się uciec między drzewa, pozostali leżeli martwi.

— To był miotacz! — głos Kany niemal zginął we wrzasku Llorów.

Zebrali się nad ciałem chorthy i przytroczyli je do siodła. Potem ruszyli na północ. Mills przyklęknął na jedno kolano i patrzył za nimi.

— To już koniec wojny — powiedział.

Jakby ta uwaga była sygnałem, natychmiast przenikliwy gwizd wezwał Ziemian do wycofania się na drugą linię. W pogotowiu przeczekali całe popołudnie. Słowa, które Mills wypowiedział tuż po śmierci Skury, okazały się prawdą. Śmierć przywódcy buntowników zdemoralizowała jego popleczników. Wojna się kończyła i Llorowie

zaczęli unikać przybyszów. Ziemianie podejrzewali, że pomniejsi rebelianci próbowali zawrzeć jakieś układy z przeciwnikiem. W tym momencie przyszłość hordy malowała się w ciemnych barwach. Nadzieję dawał fakt, że w dotychczasowej historii wojen prowadzonych przez hordy i legiony, po klęsce wodza, który je zatrudniał, zwycięzcy zawsze umożliwiali im spokojne dotarcie do statków transportowych i bezpieczny powrót do siebie.

Żołnierze są z natury konserwatywni, trzymają się zwyczajów, a że zostali właśnie uwolnieni od zobowiązań, które większość z nich uważała za ryzykowne, wyczuwało się pewne odprężenie. Czuli się chronieni przez zwyczajowe prawo, więc w obozowisku panowała atmosfera pewnego odprężenia. Najgorsze mieli za sobą. Jak zawsze utrzymywali patrole krążące wokół obozu oraz silną straż, jednak śmierć Skury, który nie pozostawił dziedzica, zwolniła Ziemian z obowiązku wspierania kogokolwiek. W nieco wakacyjnym nastroju oczekiwali teraz na rychły powrót do Tharc, gdzie czekały ich statki.

Jedynym cieniem była świadomość, że krótki czas trwania kampanii oznaczał, że dostaną jedynie żołd podstawowy. Mimo wszystko Kana i paru innych czuło, że przyszłość może wcale nie być taka wesoła.

Kana zauważył, że Yorke, trzech mistrzowie miecza oraz paru weteranów, włącznie z Millsem, nie rozwinęli tej nocy śpiworów. Kiedy zbudzono go na drugą zmianę warty tuż przed świtem, widział ciągle palące się światło w namiocie, w którym zebrali się oficerowie.

Skura został zabity miotaczem — oznaczało to, że przynajmniej jeszcze jeden egzemplarz zakazanej broni znajdował się w rękach wroga. Kto i po co sprowadził tę broń na Fronn? Obejmując posterunek, Kana stale się nad tym zastanawiał. Chłód poranka wypełniony był odgłosami, które mogły, choć nie musiały, oznaczać niebezpieczeństwa. Blask lamp rozstawionych wokół obozu tworzył barierę oddzielającą go od ciemności.

Światło wabiło i oślepiało masę latających żyjatek, które utworzyły ruchliwy lejek migoczących ciał zwięzający się do samej soczewki. Taka obfitość pokarmu ściągała większe stworzenia dwu bądź czworonożne, naziemne lub latające. Niektóre walczyły między sobą o co lepsze kąski.

Nagle nisko zwisające gałązki krzewów rozchyliły się i jakiś człowiek wkroczył w krąg światła, zatrzymując się, jakby chciał, aby go rozpoznano. Nie był to Fronianin.

Strzelba Kany bezgłośnie powędrowała na ramię, przez celownik zobaczył symbol skrzyżowanych rakiet na piersiach obcego. Mech! W pełni umundurowany! Kana gwizdnał, by przywołać drugiego wartownika, i krzyknął:

— Nie ruszaj się! Ręce do góry!

Tamten roześmiał się.

— Nie mam zamiaru robić nic innego. Mam wiadomość dla Yorke'a.

Rozdział V

Dzień później

W kilka godzin później klaps wymierzony poprzez śpiwór wyrwał Kanę ze snu. Zaspany, zobaczył nad sobą sylwetkę Millsa.

— Wstawaj — zarządził krótko weteran. — Ruszamy.

Rzeczywiście zbierali się do wymarszu, i to z niezwykłą szybkością. Kana ledwie zdążył wrzucić swą torbę na jadący już wóz. Ciągłe przecierał zaspane oczy, dołączając do zespołu. Zauważył, że szli w szyku zarezerwowanym dla przemarszu przez terytorium wroga, ze zwiadowcami również na flankach. Zamiast Llorów, guenami zajmowali się ziemscy poganiacze. W całej kolumnie trudno było dostrzec choć jednego Fronianina. Nie kierowali się też na powrót w stronę gór i Tharc, lecz szli pod kątem prostym do dawnego szlaku, na pomoc wzdłuż masywu.

Nowy trakt już po mili lub dwóch zmienił się w ledwie widoczną ścieżkę. Z wypowiedzi, które do niego dochodziły, Kana wywnioskował, że żaden z niższych rangą żołnierzy nie miał pojęcia, dokąd szli i dlaczego zmieniono trasę. Raz po raz słyszał wypowiedziane ściszym głosem opowieści o kłopotach, jakie ostatnio nawiedzały inne hordy i legiony w miejscach o lata świetlne odległych od ich domu. Gdyby ta sytuacja miała się przedłużać, morale najemników mogło łatwo obniżyć się niebezpiecznie.

Być może to nowe posunięcie było wynikiem wizyty, którą mech złożył przed świtem w obozie. Jednak pewność siebie, jaką czuli Ziemianie zaraz po śmierci Skury, szybko zmieniała się w poczucie niepewności.

Wkrótce ścieżka, którą się posuwali, stała się tak wąska, że wydawało się, iż będą musieli porzucić wozy. Do dowódcy zgłosiło się dwóch zwiadowców, prowadząc ze sobą podoficera Llorów. Tubylec miał obandażowaną głowę i rękę na temblaku. Natychmiast rozeszła się pogłoska:

— Przed nami jest rzeka, szeroka i bez mostu.

Zanim ta wieść zdążyła dotrzeć na koniec kolumny, rozległy się gwizdki, wzywające na radę. Z głośników rozbrzmiał metaliczny głos Yorke'a:

— Żołnierze, nasza sytuacja nie jest zbyt dobra. Zostaliśmy poinformowani, że S'Tork korzysta z usług zdrajców mechów. Nie wiemy, ilu ich jest. Nie zaoferowano nam gwarancji bezpiecznego odwrotu, a bez nich nie możemy wrócić do Tharc. Musimy zyskać na czasie, żeby zawrzeć układ i wymusić uznanie naszych praw. Wyślemy wiadomość na Secundusa...

— Ciekawe, kto zamieni się w rakiety i przeniesie ją przez kosmos? — usłyszał Kana obok siebie.

— Mamy informację — ciągnął Yorke — że na północy jest jeszcze jedna przełęcz, którą możemy się przedostać, jeśli się nie dogadamy z przeciwnikiem. Właśnie tam idziemy. Tymczasem musimy powstrzymać się od wszelkich działań, które mogłyby sprowokować rojalistów i dostarczyć im argumentów, że kontynuowaliśmy walkę po upadku Skury. Rozkazuję, do odwołania, pod żadnym pretekstem nie wdawać się w walkę z Llorami, bez względu na charakter prowokacji. Będziemy postępować zgodnie z instrukcją „tereny wroga — plan trzeci”.

Przenieście ładunki z wozów na juki. Zostawiamy jedynie trzy małe wózki. Rozbijemy obóz nad rzeką.

Przytroczenie juków opierającym się guenom nie należało do łatwych zadań. Zmierzchało już, kiedy poganiacze, wśród których był również Kana, dotarli ze swymi wierzgającymi bestiami do oświetlonego obozu. Rozbili go na urwisku

wznoszącym się nad czarną, oleistą wodą burzącą się nieprzyjaźnie na gliniastym brzegu. Nie musieli obawiać się zaskakującego ataku z tej strony.

Kana przeszedł się po brzegu pod stromym urwiskiem.

Sądząc po białych wieńcach piany otaczających nieliczne skały wystające z dna rzeki, nurt był w tym miejscu zbyt wartki, aby mogli się bezpiecznie przeprować na drugą stronę. Patrząc w dół rzeki, widział migotliwe światełka skupiające się na tym samym brzegu daleko na wschód. Jeszcze jakiś obóz? Wobec tego Llorowie muszą poruszać się równolegle do hordy.

Na szczęście horda była zaopatrzona w żywność. Miejscowi, zależni od naturalnych produktów swej ziemi, nie byli w stanie opóźnić marszu armii, której zaopatrzenie składało się ze stosunkowo niewielkiej ilości skondensowanych tabletek prowiantowych, których tygodniowy zapas z łatwością mieścił się w niewielkim mieszk przy pasie. Starodawna strategia „spalonej ziemi” nie miała zastosowania przeciw Ziemianom, jeżeli nie można było odciąć ich od zapasów na okres dłuższy niż kilka miesięcy.

— Tępe baranie łby! — pomstował Sim, kiedy Kana wyciągnął się na ziemi przy Micu i Millsie. — Co oni sobie myślą!

— Nie chodzi o to, co zrobią te futrzaki — doszedł go głos Bogate’a. — Skura nie zginął z rąk futrzaka. Sam to widziałem. Mówię wam, chłopaki, spalili go, przecięli na pół, ot tak! Jestem miecznikiem, dziesięć lat w służbie, i dobrze wiem, że nie mam szans, kiedy przeciwnik trzyma w ręce miotacz!

— Miotacz? — zdziwił się któryś. — Przecież gdyby naprawdę mieli miotacze, pocięliby nas na kawałki. Wygrywalibyśmy, dopóki Skura nie padł.

— Słuchajcie — głos Bogate’a przebił się ponad inne. — Wiem, co widziałem! W nocy do obozu wszedł mech na konferencję z Yorke’em. To nie był obserwator. A co jeśli S’Tork ma cały legion renegatów ukryty gdzieś na tyłach?

— Bzdury! — oburzył się któryś z jego kompanów. — Cały legion! Przecież nie mogliby tu się dostać bez wiedzy Primy!

Przerwał mu szyderczy śmiech Bogate’a.

— Są tryliony sposobów, żeby wykołować tych ważniaków z bazy, sam wiesz. To, że dotąd nie spotkano się z czymś takim, wcale nie znaczy, że jakiś bystrzacha na to nie wpadł. Słuchajcie, sprytny dowódca mechów, gdyby tylko miał na to ochotę, może z łatwością zawładnąć takim światem jak ten tu. Może powiedzieć, że jest komisarzem kontroli czy czymś podobnym. Nieprawda, Mills?

Deke Mills odgonił dłonią jedno z latających stworzonek zwabionych blaskiem lamp.

— Masz zupełną rację, Bogate. Całkiem możliwe, że coś takiego właśnie się tu rozgrywa. Jeżeli tak — przerwał na moment — jeżeli tak, to musimy być przygotowani na walkę o wydostanie się stąd.

Kilka głosów próbowało protestować, ale uciszył je Bogate.

— Nie dotarło jeszcze do waszych tępych głów, że kiedy ktoś łamie podstawowe prawa, to na pewno będzie się starał, żeby nikt się o tym nie dowiedział? Jeżeli wrócimy na Secundusa i zaczniemy kłapać gębami o miotaczach i mechach na Fronn, to natychmiast zjawi się tu patrol specjalny, żeby sprawdzić, co właściwie jest grane.

Pomyślcie sami, jeśli macie czym. Kto ma miotacze? Kto popiera tych mechów na Fronn?

Pełna napięcia cisza, jaka zapadła po tych słowach, świadczyła, że zaczęli myśleć i nie podobały im się oczywiste wnioski.

Przez to, że Hansu wykorzystywał Millsa jako swego adiutanta, Kana nie miał czasu dobrze poznać swego partnera. Jadał i dzielił kwaterę z Reyem i Micem, spotykając Millsa jedynie wtedy, gdy przydzielano im wspólną służbę. Teraz jednak

zebrał się na odwagę i zadał mu pytanie.

— To mogłoby sięgać aż do Primy, prawda?

Mills nie odwrócił głowy, ale po sekundzie milczenia zażądał:

— Wyjaśnij to!

Kana opisał mecha spotkanego w bibliotece, który, według niego, czekał na kasetę o Fronn.

— Nie miał oznaki legionu na hełmie?

— Nie, sir. Sądziłem, że mógł dopiero co się zaciągnąć. Tylko dlaczego... — zamilkł. W głowie kłębiło mu się zbyt wiele podejrzeń.

Jak to możliwe, aby jakiś mech został przyjęty na nielegalną wyprawę już w Primie? S'Tork musi mieć wsparcie większe niż tylko grupki zdrajców!

— Tak, dlaczego i jak? — Szept Millsa jedynie utwierdził go w podejrzaniach. — To klasyczny przypadek przystąpienia do walki z opaską na oczach.

Weteran wstał, a Kana podążył za nim. Wkrótce zorientował się, że okrążają obóz, przechodząc od posterunku do posterunku. Kiedy doszli do wschodniej ściany, Mills podał hasło i wyszli poza krąg światła w ciemność. Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, Kana dostrzegł błękitną poświatę obozowiska Llorów. Wbrew swoim zwyczajom, Fronianie nie zgasili na noc pochodni. Nie podchodzili jednak pod obóz Ziemi.

Millsowi wystarczyła chwila, by zorientować się w sytuacji. Ruszył bardziej na południe, zatrzymując się raz po raz i wpatrując się w ciemność. W dali dostrzegli kolejną barierę światła przecinającą drogę, którą niedawno przeszli. Llorowie odcięli im wszystkie możliwości ucieczki.

Na zachodzie piętrzyły się góry. Na ich zboczach nie lśniły błękitne punkty. Obóz Ziemi nie był więc jeszcze całkowicie otoczony. A może Llorowie uważali, że góry stanowiły wystarczającą przeszkodę? Mogli założyć, że wystarczająco przyszpiliłi armię przybyszów między rzeką, górami, a dwoma własnymi zgrupowaniami.

Mills doszedł do ostatniego posterunku, ale nie zawrócił w stronę obozu.

— Hansu mi powiedział — zaczął niespodzianie — że masz za sobą szkolenie z kontaktów z miejscowymi. Co sądzisz o Llorach, o całej tej sytuacji? Na pewno wiedzą, że nie zablokowali nas całkowicie. Moglibyśmy zdmuchnąć ich ze swej drogi, gdybyśmy chcieli dać pokaz siły. Pewnie chowają coś w zanadru. Muszą coś mieć!

— Nigdy nic nie wiadomo z takimi feudalnymi cywilizacjami. Nawet Skura przecenił swoje możliwości. Nasze siły pierwszy raz znalazły się na Fronn. — Kana wzruszył ramionami. — Wie pan, że czasami cała technika kontaktów z miejscowymi sprowadza się do czystego zgadywania. Nie potrafimy dostać się do czaszki stworzenia, którego procesy myślowe mogą być zupełnie różne od naszych. Moim zdaniem Llorowie mogą być tym, czym na pozór są — prostymi barbarzyńcami, albo też...

— Albo też — dokończył za niego Mills — są kimś tak bardzo skomplikowanym, że nigdy sobie z nimi nie poradzimy. Mogą też korzystać z czyichś rad i pomocy.

— Legionu mechów?

— Nie wiem, jak mogli dostać coś takiego. Wystarczy wziąć pod uwagę choćby problem transportu na Fronn. Przecież żaden statek wojskowy nie może poruszać się po Galaktyce bez opieczętowanej kasety określającej cel, do którego zmierza. A mimo to, mech w Primie zbierał wiadomości o tej planecie. W Primie! Tam, gdzie nawet najmniejsza plotka o podobnym przedsięwzięciu natychmiast skazałaby je na klęskę w zarodku. Przypuśćmy też, że jakiś legion lub choćby część legionu zdezerterowała, to dlaczego mieliby obrać właśnie Fronn za cel swojej działalności? Co takiego jest na tej planecie, co czyniłoby takie ryzyko opłacalnym?

— Jakie prawa górnicze Skura sprzedał międzyplanetarnym, żeby zebrać pieniądze dla Yorke'a, sir?

Deke Mills odwrócił się, żeby spojrzeć na Kanę ze zdumieniem w oczach. Kana pomyślał, że był tak zaskoczony, jakby to guen zwrócił się do niego w nienagannym języku basie.

— I pomyśleć, że pyta o to taki żółtodziób — powiedział. — Sprzedał prawa do minerałów, prawa do handlu i, być może, szansę na wykiwanie wszystkich i zrzucenia całej winy na Ziemian! Panie Kosmosu! To może być odpowiedź na wiele pytań. Mechowie mogli zostać przeschmuglowani na statkach handlowych, razem z miotaczami, ze wszystkim! Jednak — spojrział w zamyśleniu na Kanę — musisz trzymać gębę na kłódkę, rozumiesz? Mamy już zbyt wiele plotek, żeby dodać jeszcze jedną, tak logiczną, że można w nią uwierzyć.

— Więc uważa pan, że mamy przeciw sobie kogoś więcej niż reneatów, sir?

— Logika obcych. Skąd możemy wiedzieć, jak działają ich umysły? Kontrola Centralna nie rozumie, nie chce rozumieć. Nawet nie próbowali się dowiedzieć, co nas motywuje. Jesteśmy dla nich nieco komicznymi, dziecinnymi najemnikami, których umysły nie pasują do ich wzorców. Dopasowują nas więc do ogólnego planu i próbują zapomnieć o nas. Ponieważ dobrze funkcjonowaliśmy w przydzielonym nam miejscu, przestali się o nas martwić. Ich wyobrażenie Ziemianina stało się tak ustalonym schematem, że nie widzą nas takimi, jacy jesteśmy naprawdę, lecz zgodnie ze swoim wyobrażeniem, a to dwie zupełnie różne rzeczy? Wiesz — Mills przerwał na chwilę, jakby przyszła mu do głowy nowa myśl — to w pewnym sensie nas chroni. Dowiedzieliśmy się rzeczy, które zdumiałyby agentów galaktycznych. Więc ci chłopcy od handlu — oczywiście nie Ziemianie, bo Ziemia nie może handlować — wymyślili sobie ściśle nielegalny plan i wcale nie zastanawiali się nad naszą w nim rolą. Dla nich jesteśmy po prostu pionkami, które można dowolnie przedstawiać na szachownicy. Cóż jednak się stanie, jeśli zaczniemy wykonywać własne ruchy? Powinniśmy tego spróbować.

Kana poczuł ogarniające go napięcie. Czyżby Mills chciał powiedzieć mu coś naprawdę ważnego? Czy Ziemianie mieli jakiś sposób, żeby uwolnić się od protekcyjnej władzy Centralnej Kontroli, która nawet teraz mogła zatrzymać ich na Ziemi? Odezwał się w nim ów tajemniczy szósty zmysł, który cechował każdego specjalistę od kontaktów z obcymi. Cisnęły mu się na usta dziesiątki pytań, lecz nie było już czasu, ponieważ w obozie rozpoczął się ruch, a pod namiotem Yorke'a stał osiodłany guen.

— Wyruszamy? — Kana przyspieszył kroku, żeby zrównać się z Millsem.

Przed namiotem dowódcy zgromadzili się trzej mistrzowie miecza oraz grupa podoficerów. Najwyraźniej spierali się o coś i w końcu Yorke odwrócił się niecierpliwie od Hansu i sięgnął po wodze swego guena.

— Dopóki nie wrócę, ty tu dowodzisz — powiedział.

Pod lampą czekała na niego grupa trzech Llorów — wysokich oficerów, sądząc po insygniach na pasach. Lampa rzucała cień na ich owłosione twarze, nadając im groźny wygląd. Dwaj pozostali mistrzowie wsiedli na wierzchowce, lecz dowódca Llorów nie spieszył się z odjazdem. Zadał jakieś pytanie Yorke'owi. Yorke odpowiedział, ale Llorowie nie ruszyli. Spojrzenie Yorke'a skierowało się na Millsa. Gestem poprosił młodego weterana, aby się zbliżył. Hansu skinął głową, zerwał ze swojego hełmu odznakę mistrza miecza i podał ją Dekemu.

— Będiesz moim zastępcą. Llorowie żądają, żeby wszyscy wyżsi oficerowie towarzyszyli dowódcy. Widzieli cię już na wcześniejszych konferencjach, więc możesz uchodzić za oficera. Ale — być może Kana był jedynym, który dostrzegł, że dłoń przekazująca insygnia na moment zacisnęła się na palcach Millsa — uważaj na

siebie.

Mills wskoczył na grzbiet guena i mała kawalkada ruszyła w drogę. Widać było, jak błękitne pochodnie Fronian przesuwają się na wschód, w kierunku obozu rojalistów nad rzeką.

Po odjeździe Yorke'a Hansu nie tracił ani chwili. Działając na podstawie szeptanych od ucha do ucha rozkazów; żołnierze zabrali się do pracy. Namiotów nie zwijano, lecz cały sprzęt został posortowany i każdy miał przy sobie podstawowy zestaw zmiany odzieży, koców i uzbrojenia. Rozdano środki medyczne, racje żywnościowe i zapasową amunicję. Potem wyznaczono czas na odpoczynek — połowa każdego zespołu czuwała, druga zaś usiłowała złapać parę godzin snu. Kiedy Kana zbudził się wczesnym rankiem, obóz wyglądał jak po najeździe wroga.

Wszędzie wałały się worki mieczników, mniej użyteczne rzeczy leżały rozrzucone na ziemi. Oddział był w pełni gotowy do wyruszenia w dalszą drogę. Hansu najwidoczniej przeczuwał poważne kłopoty.

W świetle wschodzącego słońca Ziemianie widzieli skórzane namioty rojalistów w dole rzeki oraz sztandary oddziałów, które podążały za nimi drogą. Wygaszono lampy, nie zdejmując ich jednak z postumentów. Ponieważ horda miała dalej podróżować bez obciążenia trzeba je było zostawić.

Hansu rozstawił ludzi na brzegu rzeki. Jak zauważył Kana, ich zadaniem było rzucać w nurt kawałki drewna na sznurkach i badać prąd. Po około godzinie wspięli się na skarpe, żeby złożyć raport. Kana i bez tego zdawał sobie sprawę, że przejście przez rzekę w tym miejscu, zwłaszcza pod ostrzałem, było czystym samobójstwem.

Nie powinno do tego dojść. Przecież Llorowie chcieli negocjować. Yorke wróci z gwarancjami i horda pomaszeruje do Tharc. Gdyby Llorowie przestrzegali zasad, wszystko musiało się tak właśnie potoczyć. Był tylko jeden problem: gdyby.

Llorowie bez pośpiechu przejeżdżali obok granicy obozu, nie popędzając wcale guenów. Wszyscy nosili oznaki rojalistów, choć Kana nie był jedynym, który podejrzewał, że większości z nich nie było po tej stronie jeszcze trzy dni temu. Byli uzbrojeni, lecz trzymali miecze w pochwach. Wydawali się zadowoleni z siebie, posuwając się powoli wzdłuż rzeki i wykrzykując coś, czego Ziemianie na pewno nie mogli uznać za komplementy.

— Popatrz tylko na tego futrzaka z błękitną torbą. — Mic przycupnął obok Kany na posterunku. — Mógłbym zmienić jego opinię o głupich Ziemianach jednym pociągnięciem spustu!

Llor z błękitną torbą u pasa wykonywał gesty, które na każdej planecie uznawano za obraźliwe. Towarzyszyła mu czeredka kompanów, żywiołowo reagujących na jego popisy i dopingujących go do dalszych wysiłków. Mic uchwycił w celowniku co ważniejsze punkty na ciele wesołka, przymierzając się do strzału, którego nie mógł oddać.

— Nie przyszedłeś przed czasem? — spytał go Kana.

— Nie, przyszedłem cię zmienić. Hansu kazał wzmocnić posterunki. Coś tu śmierdzi, i to nie tylko od futrzaków. Yorke'a nie ma już od dziesięciu godzin. Nie trzeba tyle czasu, żeby podpisać układ. Masz wszystko ze sobą?

Kana kopnął rulon przy nodze.

— Pewnie. Ale Hansu nie ruszy, dopóki nie dostanie wiadomości od Yorke'a.

— Chyba nie. A cóż to takiego?

Słońce nad Fronn było blade i w porównaniu z Sol ogrzewającym Ziemię dawało niewiele światła, jednak rozpraszało mrok. Teraz jego słabe promienie odbijały się od jakiejś lśniącej powierzchni poruszającej się na skraju zagajnika, za linią spacerujących Llorów.

Były to trzy litery przekazywane w języku Ziemian, wołanie o pomoc tak stare, że

jego pochodzenie ginęło w zamierzchłej historii planety wstrząsanej licznymi wojnami. Tylko Ziemianin mógł wysłać ten sygnał! Kana odłożył strzelbę.

— Przejmij posterunek! — Ruszył, zanim Mic zdołał go powstrzymać. Godziny spędzone na służbie na tym miejscu nie były stracone. Był sposób, choć niełatwy, aby zejść z urwiska bez przechodzenia przez otwarte pole patrolowane przez Llorów.

Kana opuścił się na rękach z krawędzi urwiska, wykopując płytkie stopnie czubkami butów. Jak mucha zszedł po ścianie na cienki pas piasku i żwiru, oddzielający podstawę klifu od nurtu rzeki. Przyklejony plecami do ściany, ukryty przed wzrokiem ewentualnych obserwatorów na górze urwiska, Kana przesuwiał się cal po calu w dół rzeki. Raz czy dwa razy woda obmywała mu stopy. Wbijał wówczas palce w ścianę, żeby zachować równowagę. Najgorszy był brak poczucia odległości. Co parę stóp musiał się zatrzymywać, wspinać na górę i szukać kępy zarośli, do której zmierzał.

Nie wiedział dokładnie, ile czasu mu to zabrało, ale wydawało się, że minęła godzina, zanim dotarł do kępy. Wydostał się na górę z pomocą korzeni wystających ze zbocza. Suchy pył gliniasty zasypywał mu oczy. Połamał paznokcie, wybrudził mundur mokrą gliną i kurzem, ale udało mu się niepostrzeżenie wczougać pod gałęzie krzewów.

— Ziemia? — starał się mówić jak najciszej. Kiedy jednak doszła go odpowiedź, śmiało ruszył przez kolczaste zarośla. Taki jęk mógł jedynie oznaczać prawdziwe cierpienie.

Potężnym susem znalazł się na zachodnim skraju zagajnika. Na obalonym pniu drzewa, ledwie osłonięte przed oczami pobliskich Llorów, leżało bezwładne ciało.

Kana z trudem zdobył się na odwagę, aby go dotknąć, widząc przez szarozieloną tunikę zakres osmalonych poparzeń. Rany od miotacza! Zdawał sobie sprawę, jaki ból musiał zadawać, podnosząc poranione ciało. Szerniały korpus wysliznął mu się z rąk z jękiem przepelnionym niehumanym cierpieniem. Kana zacisnął zęby i chwycił ciało jeszcze raz, nie reagując na słabe próby wyzwolenia się z jego uścisku. W końcu udało mu się odwrócić ciężką głowę do światła. Miotacz pozostawił twarz nietkniętą i, mimo że wykrzywiona była w potwornym grymasie bólu, Kana wiedział, kogo niesie.

— Deke! Co oni ci zrobili?

Rozdział VI

Jeśli słowo zostanie złamane...

Ciemne oczy z wysiłkiem próbowały złapać ostry obraz. Wyglądało to, jakby Deke Mills wracał niepewnie z dalekiej drogi pod wpływem przemożnego poczucia obowiązku.

— Wszyscy... zginęli... Hart Device... powiedz Hansu... Hart Device...

Kana skinął głową:

— Mam powiedzieć Hansu, że za tym stoi Hart Device? Mills potwierdził to spojrzeniem:

— Nie... nie sam. Agent... galaktyczny... z ukrycia... nas spalił. — Jakaś iskierka się wzmocniła mu głos. — Próbował... próbował przekabacić Yorke'a na swoją stronę. Kiedy ten powiedział nie... strzelił w plecy. Wszyscy zginęli. Myślał, że ja też. Agent podszedł, żeby się przyjrzeć. Dobrze go widziałem... agent... powiedz to Hansu... Centralna Kontrola stoi za Device'em. Czołgałem się... całymi godzinami. Mają jedynie miotacze... nic większego. Powiedz Hansu... miotacze.

— Jest z nimi agent galaktyczny i są uzbrojeni w broń Centralnej Kontroli — powtórzył Kana niemal beznamytnie.

Dłuższy moment Mills leżał spokojnie w jego ramionach, zbierając siły.

— Powiedz Hansu... Centralna Kontrola za tym stoi... zniszczą nas, jeśli im pozwolimy. Nie możemy dać się odciąć. Wracajcie na statki... powiedz to... Centralna Kontrola... powiedz...

Kikut jednej ręki poruszył się i opadł na kolano Kany.

— Powiem mu, Deke — przyrzekł.

— W plecy... Nie mieliśmy szans... Hart Device... — Mills mówił coraz ciszej, aż szept przestał być w ogóle słyszalny. Nagle znów się odezwał całkiem głośno i wyraźnie:

— Wykonaj akt łaski, towarzyszu!

Kana poczuł, jak zasycha mu w ustach. Na moment znalazł się znów w kaplicy na Ziemi, odległej o pół Galaktyki od tego frońskiego lasu. Szkolono go w odprawianiu obrzędu, wiedział, co trzeba zrobić. Jednak w głębi serca miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał spełnić ostatniego aktu łaski.

Wypełnione niezmiernym bólem oczy Deke'a nie odrywały się od niego, czekał na uwolnienie, na koniec agonii, która trzymała go w stalowych kleszczach. Mills zdawał sobie sprawę, jak ciężkie są jego rany. Nawet medycy na Secundusie nie mogliby mu pomóc. A i tak nie było sposobu, żeby go tam przetransportować. Powoli, aby niepotrzebnie nie powiększać cierpienia, Kana położył partnera na ziemi i rozpiął tunikę, żeby wyjąć niewielki nóż, który każdy żołnierz nosił na piersi. To był „akt łaski” wojowników. Nie rozstawali się z nim nigdy, we dnie ni w nocy, aby użyć go w jednym tylko celu.

Kana wyciągnął stalowe ostrze z pochewki. Uniósł prostą rękojeść w kształcie krzyża do warg i wypowiedział odpowiednie słowa. Własny głos brzmiał obco w jego uszach. Widział, jak usta Deke'a poruszają się z wysiłkiem, starając się wypowiedzieć tę samą prośbę.

— ...więc wysyłam cię do domu, towarzyszu broni! — zakończył Kana. Nie mógł dłużej odwlekać nieuchronnego.

Nóż wśliznął się w przepisane miejsce. Został sam. Musiał wsunąć mokre ostrze z powrotem do pochewki. Można je oczyścić dopiero na Ziemi. Pozostała jeszcze jedna rzecz do zrobienia — popalone ciało, które kiedyś było Deke Millsem, nie może

dostać się w ręce Llorów, a nie był w stanie przenieść zwłok do obozu.

Odpiął ładunek z pasa i położył na ciele. Ostrożnie uruchomił zapalnik i rzucił się pędem w stronę urwiska. Usłyszał wybuch, kiedy był już prawie na brzegu. Gdy ogień zgaśnie, nikt już nie znajdzie Deke Millsa.

Kana posuwał się w górę rzeki najszybciej jak mógł, starając się nie myśleć o niczym innym poza wiadomością, jaką Mills kazał mu przekazać Hansu. Po zamordowaniu Yorke'a i pozostałych mistrzów miecza, dowódcą hordy był Trig Hansu.

Znalazł koniec liny zwisającej ze skarpy pod posterunkiem i z jej pomocą dostał się do obozu. Na górze czekał na niego nie tylko Mic, ale i sam Hansu. Za nim wzbijał się w niebo cienki słup czarnego dymu, było też widać Llorów zgromadzonych na skraju zagajnika. Kana szybko złożył raport.

— Zaatakowali Yorke'a i resztę naszych od tyłu. Kiedy Yorke odmówił przyłączenia się do nich, użyli miotacza. Agent z Centralnej Kontroli przyglądał się temu z ukrycia. Dowódcą mechów jest Hart Device. Deke był śmiertelnie ranny, ale zdołał się doczołgać do tamtej kępy. Powiedział, że widział miotacze Kontroli, ale nic poza tym. Uważał, że chcą nas dopaść.

Hansu nie zmienił wyrazu twarzy nawet na dźwięk nazwiska przywódcy mechów i na wieść o agencie. Zanim jeszcze Kana skończył, zaczął wydawać rozkazy garstce weteranów, którzy znaleźli się w pobliżu.

— Dolph, przejmiesz zespół pierwszy, Horvath zespół drugi. Przygotujcie się do wymarszu. Przyślijcie tu Bogate'a.

Potem cichym głosem zadał Kanie ostatnie pytanie:

— Mills?

Kana nie odpowiedział. Wyciągnął jedynie nóż łaski i pokazał jego zaplamione ostrze. Usłyszał, jak Mic głośno wciąga powietrze do płuc, Hansu jednak nie odezwał się ani słowem. Nie pytał już więcej o nic.

Mic pomógł Kanie zarzucić strzelbę na ramię i nałożyć plecak. Zaprowadził go do tętniącego życiem obozu. Na rozkaz Bogate'a ze sprzętu odrzuconego poprzedniej nocy budowano mur między liniami lamp. Ludzie nie zatrudnieni przy jego budowie ustawiali się do wymarszu na zachód, w stronę gór.

— Gotowe, sir! — zameldował Bogate. Pięciu Ziemian stało w równych odstępach wzdłuż porzucanego sprzętu. Każdy trzymał w ręce ładunek zapalający, gotów do odpalenia.

— Zwierzęta przygotowane? — spytał Hansu. Drużyna, która przepędziła juczne gueny na odległy skraj obozu, potwierdziła gotowość gromkim okrzykiem.

— Żołnierze — Hansu zwrócił się twarzą do swych ludzi — wszyscy wiecie, co się stało. Jeśli dane słowo zostało złamane, to i nasz kontrakt jest już nieważny. Yorke i pozostali oficerowie zostali zamordowani. Strzelono im w plecy z miotaczy. Mills żył jeszcze na tyle długo, żeby nas ostrzec. Doskonale wiecie, że wojny wygrywa się nie przewagą liczebną czy siłą broni. To strona, która staje do walki z wolą zwycięstwa, ma przewagę nad przeciwnikiem. Kiedy stąd wyjdziemy, będziemy szli przez nieprzyjazną nam planetę. Każdy tubylec może skierować się przeciw nam. Jednak jeśli nie uda nam się dotrzeć do Tharc, nie mamy tu żadnych szans. Pamiętajcie więc, że chodzi o nasze życie. Ale pamiętajcie też, że wojownik, którego jedynym celem jest zachowanie życia, zwykle ginie przy pierwszym ataku. Umieranie nie jest nam obce, nikt nie ucieknie przed śmiercią, ale powinniśmy zginąć zgodnie z tradycją hord. Jesteśmy godni takiej śmierci.

— Oni sądzą, że nas osaczyli — mówił dalej — że nie wyrwiemy się z pułapki, jaką stanowią góry, rzeka i ich wojska. Ale pokażemy im, że mieczników nie wolno nie doceniać. Zacierając ślady ogniem, skierujemy się na zachód, w góry. Zanim

zginął Skura, mówiono nam, że gór należy się obawiać, że zamieszkujące je plemiona nigdy nie poddały się władzy gatanów i są niebezpieczne. Jeśli to prawda, to być może uda nam się pozyskać sprzymierzeńców, a przynajmniej będziemy szli we właściwym kierunku. Ktokolwiek myśli o przeżyciu, musi dążyć do zwycięstwa. Zwycięzcy zabijają, a przegrani są zabijani!

Horda powitała ostatnie słowa głośną wrzawą. Hansu dał znak ludziom stojącym przy porzuconym sprzęcie. Ryczące gueny popędzono w kierunku Llorów, którzy kręcili się tuż za granicami obozu. Llorowie zmuszeni byli ustąpić przed czeredą rozwścieczonych zwierząt, nie mogąc odpędzić ich od własnych linii. Obdarzone diabolicznym charakterem zwierzęta zjadły atakowały wierzchowce kawalerzystów.

Horda ruszyła w szyku „przemarsz przez wrogie terytorium”. Pióropusze ognia wystrzeliły ze stosów porzuconego sprzętu, tworząc gęstą zasłonę dymną maskującą ich poczynania. Żar pożaru powstrzyma też Llorów przed pogonią.

Trasa Ziemian wiodła wzdłuż rzeki, przez otwarty teren. Około pół mili od dawnego obozu koryto coraz częściej otoczone było wysokimi, czarno-białymi skałami. Kana ciągnął jeden z dwóch lekkich wózków z niezbędnym wyposażeniem, bez którego ich szansę zmalałyby niemal do zera.

Zapadał zmrok, kiedy zastąpił go zmiennik. Rozcierając obolałe dłonie, Kana dołączył do szeregu. Jak dotąd Hansu nie wydał rozkazu rozbicia obozu. Jedli w marszu, zapijając wodą z manierek. Nie było śladu pogoni, jednak dowódca wyraźnie chciał jak najbardziej oddalić się od ostatniego obozu.

Ponownie zatrzymała ich rzeka. Płynęła teraz w głębokim wąwozie, przecinając ich trasę. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko przedostać się na drugi brzeg lub zawrócić. Wykorzystując ostatnie promienie światła rozbili prowizoryczny obóz, rozwijając śpiwory za skałami. Hansu wezwał Kanę, kiedy ten szykował się do odpoczynku.

— Byłeś na samym brzegu. Czy prąd jest silny?

— Bardzo silny i szybki, sir. Myślę też, że jest dość głęboko. Tu będzie jeszcze głębiej.

— Hmm — Hansu ukląkł i wyglądał poza krawędź urwiska. Wyciągnął latarkę i opuścił ją na linie oświetlając ścianę klifu.

Wąwóz został wyrzeźbiony przez rzekę, która raz była szersza, raz węższa, ponieważ pozostawiła po sobie szereg stopni, jakby gigantyczną klatkę schodową, ślad po wrzynaniu się w głąb ziemi. Choć nie były zbyt szerokie i dość odległe jeden od drugiego, były to jednak jakieś punkty oparcia, które mogły pomóc im dostać się na dół. Latarka kołysała się nad pędzącym nurtem i głazami blokującymi jego bieg niemal na połowie szerokości koryta. Dodatkowo blokowała je osuwająca się ziemia niosąca ze sobą głazy zbyt wielkie, aby woda mogła porwać je ze sobą. Każda próba przebycia rzeki wpław musiała zakończyć się roztrzaskaniem o te przeszkody. Światło latarki było zbyt słabe, aby umożliwić dostrzeżenie tego, co czeka ich na drugim brzegu. Hansu starannie związał linkę wciągając lampkę.

— Cóż, będziemy musieli poczekać, aż się rozjaśni — powiedział ze zniecierpliwieniem. — Agent galaktyczny — jesteś pewien, że Mills to powiedział?

Kana mógł jedynie powtórzyć swą wcześniejszą relację. Na koniec dodał: — Llorowie są pewni siebie, sir. Zbyt pewni. Czy zwróciliby się przeciw nam, nie mając pewności, że ktoś ich wesprze?

Hansu wydał dźwięk, mający niewiele wspólnego z prawdziwym śmiechem.

— O tak, jesteśmy sławni. Wobec tego muszą mieć doradców, dla których taka sława jest raczej zabawna. Llorowie są wojownikami i gdy uznają, że przewaga jest po ich stronie, zrobią to, na co będą mieli ochotę. Skura zamordował swoich wrogów nawet pod białą flagą, teraz może być podobnie. Być może to stary froński obyczaj.

Jednak — jego głos przypominał pomruk rozgniewanego lwa — lepiej, żeby nie robili sobie zbyt wielkich planów na przyszłość, nawet działając za radą Kontroli Centralnej!

— Co wiesz o Cosach? — spytał dowódca w chwilę później, wrywając Kanę z natłoku czarnych myśli.

— To mieszkańcy tych gór, prawda? Kaseta o Fronn miała niewiele do powiedzenia na ich temat. Mam wrażenie, że należą do innej rasy niż Llorowie i że są zaprzysięzonymi wrogami ludów zamieszkujących niziny. Nie są to też Venturi.

— To rasa pigmejów, przynajmniej Llorowie tak ich nazywają. Stanowią śmiertelne zagrożenie dla każdego, kto wejdzie na ich terytorium. Używają zatrutych strzał i robią pułapki na ludzi. Nie wiem jednak, czy zmierzamy teraz w ich kierunku. Może też ich wrogość jest skierowana na Llorów — zawsze trzeba mieć nadzieję, że tak właśnie jest. Musisz zabrać się do roboty, Karr.

— Tak, sir?

— Będiesz teraz oficerem łącznikowym z tubylcami. Zastanów się, co będzie ci potrzebne do zgromadzenia pakietu pierwszego kontaktu i zbierz to jeszcze tej nocy. Rano nie będzie na to czasu, a ty musisz być przygotowany. Bogate!

Weteran wyłonił się z ciemności.

— Jutro przeprowadzisz zwiad. Karr będzie łącznikiem z tubylcami twojej grupy.

— Tak jest, sir. — Nie można się było domyślić, że Zapan Bogate kiedykolwiek wcześniej spotkał się z Kaną.

— Ilu ludzi?

— Nie więcej niż dziesięciu. Zwiad szeroki — teren wroga. Bądźcie w stałym kontakcie ze mną.

— Tak jest, sir! Stała łączność!

Jedynym źródłem światła w obozie były latarki ręczne osłonięte pajęczym jedwabiem. To wystarczyło, by Kana odnalazł Mica i Reya. Przysiadł, zarzuciwszy koc na ramiona, i starał się zebrać myśli. Jako łącznik grupy dalekiego zwiadu będzie musiał mieć jakiś towar dla tubylców. Handel zawsze był najłatwiejszą formą nawiązania kontaktu z nieznanymi plemionami. Jednak wiedział tak mało o cosach — pigmejach, odwiecznych wrogach Llorów, stosujących zatrute strzały i pułapki, żeby utrzymać swe terytorium. Zwyczajowe podarunki: żywność, ozdoby. Należało to przewidzieć przed spalaniem zbędnego sprzętu. Jeżeli żołnierze dokładnie wykonali rozkazy, dawno już wyrzucili wszystkie rzeczy, które mogłyby mu się przydać.

Żywność. Prawie wszyscy mieszkańcy odległych planet mieli wrodzoną ciekawość nowej żywności, szczególnie jeżeli u siebie rzadko mogli najeść się do syta. Spośród ziemskich produktów jeden zwłaszcza cieszył się zasłużoną sławą w innych światach. Żołnierze zawsze mieli go ze sobą podczas wypraw. Handlarze od lat usiłowali uzyskać prawo eksportu, lecz Ziemianie uznali go za składnik wyposażenia wojskowego i w ten sposób przejęli kontrolę nad produkcją przeznaczoną jedynie dla wojska i nielicznych szczególnych przyjaciół. Było to zbyt cenne, aby zostało spalone w poprzednim obozie. Na jednym z wózków, które pomagał ciągnąć, muszą być jakieś zapasy. Poprosi medyka o porcję.

Ozdoby. Weterani zdjęli swe bogactwo z mundurów paradnych. Każdy nosił je w specjalnym pasie. Kana będzie musiał wyprosić od nich najbardziej okazałe ozdoby. Cóż, nie ma czasu do stracenia. Ani Mic, ani Rey nie mieli nic cennego, ale trzeba przeczesać cały obóz.

Kana odrzucił koc i zabrał się do dzieła. Najpierw udał się do medyka. Crawford wysłuchał jego prośby i wyjął z najbliższego wózka jedno z małych pudełeczek. Kana pokwitował mu odbiór paczki nie większej od dłoni. Gdyby próbować sprzedać ją na którejś z planet, zysk wyniósłby połowę rocznej pensji zastępcy oficera kontrolnego.

Słyszając zaś drugą prośbę Crawford odpiął jedną z kieszeni własnego pasa i dał mu kamień słoneczny z Syriusza, który przyciągał światło zakrytej latarki tworząc małe ognisko w dłoniach właściciela.

— Bierz to. Moje życie jest więcej warte. Nie bój się prosić innych — wszyscy wiemy, co nam grozi. Tal, Kankon, Panoy — wezwał swoich asystentów i wyjaśnił im, w czym rzecz.

Opuszczając ich Kana miał już. paczkę cukru, kamień słoneczny, łańcuch z ziemskiego złota długi na stopę, pierścień w kształcie wodnego węża z Zacathan i kawałek kryształu z zatopioną w środku repliką pothiańskiego homara. Kiedy wrócił na swoje legowisko po pół godziny, miał za pazuchą błyskotliwy skarb, pierścienie na każdym palcu i bransolety na rękach. W słabym świetle latarki posortował łupy, odkładając na jedną stronę te, które od razu wpadały w oko i mogły być wykorzystane przy pierwszym kontakcie, na drugą zaś te, które mogły przydać się na podarki dla miejscowych wodzów. W środku leżały przedmioty, które mógł wykorzystać jako zachętę do dalszych kontaktów. Zanim zawinął się w koc przed snem, zapakował wszystko w trzy paczki, zgodnie z przeznaczeniem. Bez jasnego kręgu światła lamp obóz przytłoczony nieprzeniknionym mrokiem frońskiej nocy wydawał się olbrzymią pułapką z zatrzaśniętym wiekiem.

Kana wpatrywał się w niebo upstrzone gwiazdami — słońcami ogrzewającymi nieznanne światy. Gdzieś tam w dali, przytłumione przez inne, potężniejsze gwiazdy, jaśniało Sol, a w jego blasku krążyły planety, które znał najlepiej.

Zielona Ziemia. W kosmosie były jeszcze inne zielone planety, podobnie jak niebieskie, czerwone, białe, fioletowe, żółte — lecz żadna z nich nie miała barwy pokrywającej wzgórze ziemskie. Ziemia — ojczyzna człowieka. Ludzkość późno trafiła w kosmos i została odsunięta na boczny tor jego życia. Wszystkim rządziła Centralna Kontrola. Istniały również światy, na których życie nigdy nie osiągnęło inteligentnej formy. Co by się stało, gdyby ludzie mogli je opanować — skolonizować? Może stare legendy jego rasy mówiły prawdę i rzeczywiście Ziemię opuszczali podróżnicy, którzy nigdy już na nią nie powrócili? Gdzie znaleźć te światy, na których osiedlili się ziemscy koloniści? Gdzie mógłby odnaleźć swych pobratymców wolnych od jarzma Centralnej Kontroli, ludzi, którzy własnym wysiłkiem zwyciężyli gwiazdy?

Zasnął, marząc o tych światach. We śnie jednak ponownie znalazł się w zagajniku na Fronn z zakrwawionym nożem w dłoni.

— Wstawaj! — Kana odwrócił się. Świt był szary, a nad nim stał Bogate w pełnym rynsztunku, gotów do wymarszu.

Kana spakował się pospiesznie, wkładając przygotowane pakunki do kieszeni tuniki, skąd mógł je szybko wydobyć.

— Już ruszamy?

— Za chwilę. Pobierz swoje racje i dołącz do nas. Hansu z grupą żołnierzy wyposażonych w liny pracował na skraju urwiska. Trzech ludzi schodząc ostrożnie po półkach skalnych dotarło już na mikroskopijną plażę na brzegu rzeki. Powiązani linami brodzili w wodzie między głazami, starając się zbudować zabezpieczenia z dryfującego drewna, które mogłyby uchronić ludzi porwanych przez prąd przed roztrzaskaniem się o wystające skały. Było jasne, że Hansu postanowił przeprowić oddział przez rzekę.

Kiedy Kana ze zwiadowcami Bogate'a zaczął schodzić w dół, pracująca w wodzie trójka dotarła mniej więcej do połowy koryta. Zwiadowcy zapakowali swój sprzęt w nieprzemakalne płachty i opuścili go na plażę, zanim jeszcze zaczęli spuszczać się w dół. Kana wisiał na linie między kolejnymi półkami, kiedy doszedł go rozpaczliwy krzyk. Nie miał odwagi odwrócić głowy. Po chwili sąsiednia lina, dotąd naprężona

pod ciężarem człowieka, zwisała swobodnie.

Nawet po dotarciu na niższą półkę Kana nie spojrzął na plażę. Odpoczywał przywarty do skalnej ściany, z kropelkami potu na brodzie.

Po przejściu przez jeszcze trzy półki znalazł się na żwirze. Ludzie, którzy byli tam przed nim, wciąż patrzyli w nurt rzeki z przerażeniem w oczach. Nie było jednak czasu na żałobę. Bogate zsunął się po ostatniej linie i zaczął wykrzykiwać rozkazy:

— Zbierzcie sprzęt, liściojady! Przechodzimy przez rzekę i zaczynamy wspinaczkę, i to w kosmicznym tempie!

Dokonali tego. No, może nie w kosmicznym tempie, tracąc jeszcze jednego człowieka porwanego przez prąd i rzuconego o skałę. Powiązani linami, przewracani przez pędzącą wodę, przeskakujący z kamienia na kamień przeszli na drugą stronę. Kolejny zwiadowca został na brzegu, trzymając się za rękę złamaną przez uderzenie o głaz. Miał zająć się pilnowaniem lin mających pomóc w przeprawie reszcie oddziału.

Powoli wspinali się po ścianie od uchwytu do uchwytu, drżąc z wysiłku, dysząc ciężko, wpijając się spoconymi palcami w nieprzyjazną skałę. Jednak cały czas posuwali się w górę.

Kana koncentrował się na występie nad głową, potem na następnym i kolejnym. Wydawało się, że trwa to już wiele godzin i nigdy się nie skończy.

Wreszcie poczuł dłoń chwytającą go za nadgarstek i silne szarpnięcie przeciągnęło go poprzez krawędź urwiska. Leżał, z trudem łapiąc oddech, zbyt zmęczony, by sięgnąć po manierkę z wodą, do której tęskniło jego wysuszone gardło.

Usiadł, gdy zbliżył się do niego Bogate. Niósł zwój liny, którą trzeba było przywiązać do jeszcze jednej i zrzucić w dół, żeby zbudować drabinę linową dla hordy.

Kana napił się wreszcie; wykonał swe zadanie, pomógł wciągnąć ekwipunek i nie był ostatni na zbiorce przed wymarszem w ciemną przyszłość, kryjącą się w górach.

Rozdział VII

Bezdroża

Po przebyciu rzeki zwiadowcy rozproszyli się w szeroki wachlarz. Jedyne Kana szedł razem z Bogatem. Był niejako nadliczbowym żołnierzem w tej grupie i jego jedyne zadanie miało się zacząć, gdyby trafili na ślad inteligentnego życia. Ku jego zaskoczeniu, zamiast ignorować jego obecność, Bogate czekał na niego i spytał:

— Czego właściwie masz szukać?

— Hansu sądzi, że możemy trafić na Cosów — to pigmeje, którzy mogą zamieszkiwać te góry. Nienawidzą Llorów i są niezwykle niebezpieczni. Używają zatrutych strzał i zastawiają pułapki na ludzi.

Odpowiedzią Bogate'a było jedynie ponure mruknięcie. Wiatr przybierał na sile w podmuchach, gwizdząc między kałami i popychając kłęby kolczastych winorośli, które przemieszczały się w ten sposób, dopóki nie trafiły na wilgotne miejsce, gdzie mogły zakorzenić się na jeden sezon. Były sinozielonego koloru, a potężne kolce sprawiały, że Ziemianie ustępowali im z drogi. Zaczynała się frońska pora wietrzna i przechodzenie przez niedostępne góry właśnie teraz było wyczynem, na który zdobyłoby się niewielu Llorów.

Ponure wycie przeradzało się w przeraźliwy wizg, kiedy wiatr przeciskał się przez pęknięcia i szczeliny w skałach. Przed najsilniejszymi podmuchami chroniły jednak Ziemian wysokie granie.

Grunt stanowiła mieszanina żwiru i gliny, często poprzecinana rumowiskami kamiennych lawin. Znakowali ściany kanionów i wąskich wąwozów farbą fluorescencyjną, wyznaczając trasę dla podążającej z tyłu hordy. Wielokrotnie okrążali głowy wyższe od człowieka, aż wreszcie Kana zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, żeby tyle lawin zeszło stokami doliny żłobionej przez jedną sezonową rzekę, której wyschniętym korytem podążali. Niespodziewanie trafił na rozwiązanie tej zagadki. Nie nastrajało zbyt optymistycznie. Słabe promienie słoneczne odbiły się od czegoś na wpół zakopanego w ziemi. Przyklęknął i rozgrzebał żwir. Spod skały wystawał miecz Llorów ze szkieletem trzymającej go dłoni nadal zaciśniętym wokół rękocyfeli!

— Rozgnieciony jak robak — skomentował znalezisko Bogate. Dokładnie zlustrował przebytą drogę i przyjrzał się przymglonym zarysom piętrzących się nad ich głowami gór. Miał zbyt dużo doświadczenia w walce terenowej na kilku tuzinach planet, aby nie domyślić się, co się tu kiedyś stało.

— Spychali głowy i tak ich dopadli. To robota Cosów?

— Całkiem możliwe — odpowiedział Kana. — Ale to było dawno temu...

Przerwał mu krzyk, na który Bogate popędził naprzód.

Wąski kanion, którym maszerowali, rozszerzył się, tworząc coś na kształt areny, na której rozegrano i przegrano śmiertelne igrzyska. Kruszące z upływem czasu kości zaścieliły całą niemal jej powierzchnię. Czaszki Llorów, kształtem zdumiewająco podobne do ludzkich, mieszały się z podłużnymi czaszkami guenów uzbrojonymi w potężne kły, i pozostawały stosunkowo dobrze widoczne w masie szkieletów, z których żaden nie pozostał nienaruszony. Kana podniósł fragment żebra, noszący wyraźne ślady zębów. Najpierw odbyła się tu rzeź, a następnie uczta! Odrzucił kość daleko.

Ziemianie dokładnie spenetrowali teren w poszukiwaniu śladów walki — nie znaleźli nic; ani broni, ani pasów, ani nawet uprzęży guenów. Zabici zostali dokładnie ograbieni. Leżeli tu nie pogrzebani, a więc masakra nie została pomszczona.

— Kiedy to się stało? Jak sądzisz? — głos Bogate’a brzmiał ochryple.

— Może dziesięć lat temu, a może sto — odpowiedział Kana. — Trzeba by dokładniej znać klimat Fronn, żeby mieć pewność.

— Dopadli ich, kiedy szli w zwartym szyku — zauważył Bogate. Zwrócił się do najbliższego zwiadowcy: — Larsen, weź lornetę i wejdź na górę. Będziesz nas stamtąd osłaniał. Ja wejdę na drugą stronę. Reszta niech się powoli posuwa. Snoog, powiadom o tym horde. Dotychczas nie spotkaliśmy niczego żywego, ale nie chcemy chyba, żeby nasi zostali w ten sposób złapani!

W zółwym tempie dotarli do końca doliny śmierci, ostrożnie pokonując wąski przesmyk, jakby w każdej chwili mogła runąć na nich kamienna lawina. Mimo wszystko rozglądając się po jałowej pustyni Kana był przekonany, że Cosowie nie zamieszkiwali tego rejonu. Masakra mogła być pozostałością po jakiejś wojnie — o ile w ogóle to Cosowie byli jej sprawcami. Prześladowało go wspomnienie śladów zębów na kościach. Niektóre prymitywne ludy zjadały trupy pokonanych przeciwników, wierząc, że przejmują tym samym zalety wroga. Jednak kształt i rozmiar śladów wskazywały na to, że nie mogły być pozostawione przez humanoidy.

Na Fronn było wiele drapieżników: ttsorki — olbrzymie koty, horki — ptaki lub wysoko zorganizowane owady (kasety na Primie nie rozstrzygała tego ostatecznie); niektóre z nich niezbyt duże, bywały oswajane i wykorzystywane przez możnowładców do polowań, podobnie jak czynili to kiedyś dawni lordowie w jego własnym świecie z sokołami. Były też deetery, co do których wiadomości były jeszcze mniej pewne, działały bowiem wyłącznie pod osłoną nocy, kopiąc głębokie jamy, w które wpadał ich łup. Te jednak zamieszkiwały bagniste dżungle południowego kontynentu. Pozostawał więc jedynie byll! Sądzono jednak, że ten wysoce niebezpieczny ptak nielotny przebywał głównie na nizinach, gdzie dzięki niezwyklej szybkości łatwiej mógł zdobywać pożywienie. Bardziej niebezpieczne od ttsorów — które nie atakowały ludzi, jeśli nie były przez nich osaczone — bylle były olbrzymami o niezwyklej sile, wrednym charakterze i nieposkromionym apetycie.

Górzysta okolica pozbawiona była szaty roślinnej, nie licząc trawy o nożowatych liściach, zwiędłej i pożółkłej pod koniec pory spokojnej. Na równinach była ona bezlitośnie wypalana przez Llorów, lecz w wąwozach rosła bez przeszkód, tnąc tydki nieostrożnych wędrowców.

Od czasu do czasu zwiadowcy pozwalali sobie na godzinny wypoczynek, zjadali pastylki żywnościowe, zapijając je oszczędnie wodą z manierek, i szli dalej. Maszerując przez ten nieprzyjazny dla wszelkich form życia krajobraz mieli wrażenie, że znajdują się na księżycu swej rodzinnej planety. Dłuższy postój zarządził Bogate dopiero, kiedy doszli do rozwidlenia suchego koryta rzeki. Oba nowe kaniony wyglądały równie zachęcająco, choć jeden wiódł na południe, a drugi na północ. Stojąc w lodowatych podmuchach wiatru Ziemianie nie mogli się zdecydować, który wybrać.

Bogate spojrział na zegarek, ocenił jego dokładność po długości cieni rzucanych przez skały.

— Teraz na kwadrans się rozdzielimy. Po tym czasie znów się tu spotkamy. Wy — wskazał czterech zwiadowców — chodźcie ze mną. Larsen, weź resztę na południe.

Kana wdrapał się na zbocze pomocnego rozwidlenia. Zapan Bogate prowadził i znacznie wyprzedził pozostałych. Żołnierz idący tuż za Kana miał poważne kłopoty z pokonywaniem licznych rumowisk blokujących wyznaczoną mu trasę.

Zupełnie przypadkowo Kana dostrzegł, że za Wu Soongiem coś się rusza. Błyskawicznie złożył się do strzału i krzyknął ostrzegawczo. Soong rzucił się plackiem pod skałę i to uratowało mu życie. Ohydna śmierć, skradająca się za nim od jakiegoś czasu, zaatakowała właśnie w tym momencie i chwyciła jedynie powietrze.

Kana wystrzelił z nadzieją, że trafi to śmigłe czerwone ciało w jakiś ważny punkt. Jednak napastnik poruszał się z nieziemską szybkością, wywijając długą, pokrytą łuskami szyją jak rozjuszony gad. Był prawie pewien, że trafił go co najmniej dwukrotnie, lecz nie zdołało to powstrzymać szaleńczego pędu.

Wybuch białego ognia otulił bylla. Kiedy dym opadł, wielki ptak leżał na ziemi, bez głowy, lecz nadal przebierając nogami.

— Uważaj, Bogate — krzyknął Kana. — One często polują w stadach!

— Tak? Wystrzel racę, Harv — zwrócił się do jednego z oniemiałych żołnierzy. — To sprowadzi Larsena. Musimy trzymać się razem. Jeżeli jeszcze jakieś stwory czają się na nas, będziemy przygotowani w grupie, a nie rozproszeni tuż przed nocą.

Soong obszedł szerokim kręgiem martwego bylla, żeby przyłączyć się do reszty. Bogate kazał Kanie trzymać się z tyłu.

— Kryj nas aż do rozwidlenia.

Od tej chwili bacznie przyglądali się każdemu cieniowi, zaglądali do każdej szczeliny skalnej w ścianach kanionu. Bogate poczuł ulgę, kiedy dotarli do rozwidlenia, gdzie czekała już grupa Larsena. Zaraz też zagnał wszystkich do roboty przy budowie muru z głazów, który byłby zdolny powstrzymać ataki byllów.

— Czy one polują także w nocy?

— Nie wiem. Zgodnie z naszą wiedzą, w ogóle nie powinny się tu znaleźć. Są mięsożerne i zwykle żyją na równinach.

— To znaczy, że jeżeli tu przyszły, to mają na co polować?

Kana potwierdził skinieniem głowy. Mimo nieprzyjaznego wyglądu kraina, którą przemierzali, musi być siedliskiem zwierząt, i to w takiej ilości, żeby przyciągnąć bylle.

Ponieważ rozpalanie ogniska nie wchodziło w rachubę — bali się, że światło może zostać przez kogoś zauważone — zwiadowcy skulili się blisko siebie pod ścianą swego tymczasowego fortu. Góry odcięły ostatnie promienie zachodzącego słońca. W zapadającym półmroku Kana wyteżył słuch, nie wiedząc nawet, czego nasłuchuje.

Wiatr wył przejmująco, lecz Ziemianie zdążyli już przywyknąć do tego zawodzenia i nie zwracali na nie większej uwagi. W rzadkich chwilach względnej ciszy Kana wsłuchiwał się w ciemność. Czyżby coś usłyszał? Jednak za murem nic się nie poruszyło.

Spali z przerwami, czuwając na zmianę. Kana śnił właśnie o czymś przyjemnym, kiedy szturchnięcie w żebra przywróciło go do rzeczywistości, a świszczący szept Soonga ogrzało ucho.

— Spójrz!

Daleko w górze migotało blade światełko — to nie mogła być gwiazda! Drugie jarzyło się bardziej na lewo. Kana podniósł lornetę. Z całą pewnością był to blask ognia — światła sygnałowe. W sumie doliczył się pięciu. Światła na tej wysokości mogły jedynie oznaczać, że ktoś obserwował inwazję Ziemian na to górskie terytorium. Nie byli to rojaliści — pochodnie Llorów paliły się niebieskim światłem. Kiedy się im przyglądał, jedno mrugnęło, znikło na moment i znów się zapaliło. Powtórzyło się to kilkakrotnie w regularnych odstępach — sygnały! Czy ta wymiana informacji miała doprowadzić do jednostronnej bitwy, jaka kiedyś rozegrała się na arenie, którą dziś przebyli?

— Sygnały! — Bogate nie spał i również przyglądał się światłom. — Musieli nas zauważyć!

Kana bardziej usłyszał niż zobaczył, jak weteran przeszedł przez mur. Po chwili z ciemności doszedł pomruk, wyrażający jego niezadowolenie. Kana wspiął się na ogrodzenie, żeby spojrzeć na drogę, którą już przeszli. Zobaczył to, co tak poruszyło Bogate'a. Wysoko na skałach otaczających kanion także lśniło światełko. Ledwie

jednak je dostrzegł, natychmiast zgasło i więcej się nie pojawiło. Czyżby to była odpowiedź na poprzednie sygnały?

Weteran chrząknął donośnie. — Może to znaczy: „rozkazy przyjęte” — sparodiował oficjalny żargon wojskowy. — Soong, włącz nadajnik. Powiadom Hansu o tych sygnałach.

— Cóż — powiedział po chwili — wygląda na to, że na dziś przedstawienie skończone.

Miał rację, trzy światła z przodu już zgasły, a pozostałe dwa najwyraźniej dogasały. Kana zadrżał, kiedy lodowate palce wiatru przeniknęły przez kurtkę. Chyba zaczęły wchodzić w paszczę lwa.

— Obóz się odezwał — powiedział Soong w ciemnościach. — Zobaczyli ogień przed sobą, ale nie widzieli pozostałych. Powiedziałem też o byllu. Są już po naszej stronie doliny śmierci.

— No i dobrze. Zdrzemnijcie się. Jutro idziemy dalej. Rankiem Bogate wybrał południowe odgałęzienie dawnej rzeki. Ponieważ Tharc leżał na południe od nich, taki wybór wydawał się logiczny. Nikt nie wiedział, czy na tę decyzję wpłynęła również obecność bylla w drugiej dolinie oraz fakt, że dostrzeżone nocą światła były rozlokowane na północy.

Na nowym szlaku natknęli się na mniej gruzowisk niż wcześniej, a po przejściu około pół mili Kana zauważył, że idą pod górę. Nareszcie zaczęli się wspinać, zamiast grzebać się po dnie skalnej rozpadliny.

Po godzinie marszu natrafili na pierwszy ślad górali. Na szczęście przygoda z byllem uczuliła ich na wszelkie niespodzianki. Larsen, który szedł na czele, zatrzymał się na skraju szerokiej, gładkiej piaszczystej łachy. Wskazał Bogate'owi dziwne zagłębienie na środku.

Pamiętając przestrogi Hansu na temat Cosów, Kana odezwał się pierwszy:

— To może być pułapka.

Bogate spojrział na niego, potem znów na zagłębienie i odszedł na bok po spory kamień. Uginając się pod jego ciężarem, rzucił go na płaską powierzchnię piasku.

Rozległ się suchy trzask. Kamień i piasek zniknęły w ogromnej jamie. Kana przysunął się nieco, żeby do niej zajrzeć. Poczuł, jak kurczy się żołądek, kiedy zaczęła działać wyobraźnia. To była naprawdę pułapka — podstępna, śmiertelna pułapka na ludzi. Każdego, kto dałby się w nią złapać, czekała bolesna śmierć na ostrzach żerdzi starannie wbitych w jej dno.

Niemal bez słowa Ziemianie ostrożnie przeszli obok jamy. Na drugiej stronie Soong uruchomił radio, informując Hordę o nowym zagrożeniu.

Znów zwolnili tempo marszu. Szukali już nie tylko śladów bylli, każdy bardziej wygładzony fragment szlaku wydawał się podejrzany. Metodą Bogate'a sprawdzili trzy takie miejsca; ostatnie z nich również okazało się pułapką, z której wydobył się tak okropny fetor, że nikt nie miał ochoty sprawdzać, co się w niej kryje.

— Czyżbyśmy szli prosto pod czyjeś drzwi? — Soong przełożył radiostację z jednego biodra na drugie.

— Jeśli tak, to ten ktoś na pewno nie przepada za gośćmi.

Uwaga Kany koncentrowała się zarówno na skałach otaczających puste koryto strumienia, jak i na jego dnie: śmierć mogła niespodzianie zaatakować z obu tych miejsc. Jego zadaniem było nawiązać kontakt z przeciwnikiem, jednak żadne szkolenie nie przygotowało go na sytuację, w jakiej się znajdował — nagie góry bez śladów życia i podstępne pułapki działające bez ludzkiej pomocy. Nie można nawiązać kontaktu z niewidzialnym wrogiem. Cosowie — jeżeli oczywiście to byli oni — najwyraźniej wyznawali zasady walki słabszego lub mniej licznego z silniejszym i liczniejszym najeźdźcą, budując urządzenia do zabijania na odległość,

bez potrzeby bezpośredniego angażowania własnych wojowników. Gdyby tylko zdołał doprowadzić do spotkania i przekonać górali, że horda przedzierająca się przez ich zazdrośnie strzeżone terytorium nie tylko nie miała zamiaru walczyć z nimi, ale nawet mogła stać się cennym sojusznikiem w walce z ich odwiecznym wrogiem — Llorami!

Był przekonany, że jeśli Cosowie ich obserwują, na pewno robią to z góry, dlatego podczas krótkiej przerwy przedstawił Bogate'owi swój plan. Weteran nieufnie przyjrzał się szczytom skał.

— No nie wiem — wahał się. — Jasne, że jeśli nas widzą, to muszą gdzieś tam być, ale mogą to robić z daleka, a możemy tu siedzieć i tracić czasu, czekając aż zbadasz skały w poszukiwaniu czegoś, czego tam może nie ma. Zobaczmy później.

Kana musiał się tym zadowolić, jednak wkrótce sam teren dostarczył argumentu, sprzyjającego jego zamierzeniom. Minęli zakręt i stanęli wobec skalnej ściany, na której kiedyś rzeka musiała tworzyć wspaniałą wodospad. Bogate skinieniem dłoni przywołał Kanę do siebie.

— Ktoś i tak musi na to wejść. Możesz to być ty. Rozejrzyj się dokładnie i weź ze sobą Soonga.

Zsunęli z pleców torby i uzbrojeni w strzelby zaczęli wspinać się nie po wyslizganej przez wodę gładkiej ścianie wodospadu, lecz jego skrajem, gdzie postrzępione skały ułatwiały wejście. Wciągając się na kolejne występy Kana pomyślał, że po zakończeniu tej wyprawy będzie miał kwalifikacje potrzebne w hordach specjalizujących się w walce w górach.

Znalazłszy się na szczycie spojrzeli na zachód. Koryto strumienia ciągnęło się dalej, jednak było tu znacznie węższe niż poniżej. Kamienisty krajobraz tu i ówdzie rozjaśniały płaty żółtozielonej roślinności, niosące obietnicę znalezienia wody.

— Coś tu jest — Soong obracał się powoli, uważnie obserwując okolicę.

Kana wyczuł, co go niepokoiło. Sam również miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Razem przyjrzeni się każdej piędzi ziemi. Nic się nie poruszyło, jedynie wiatr szarpał ich odzież i spychał obłoczki kurzu z krawędzi wodospadu, byli sami w tym martwym świecie — a jednak byli pod obserwacją! Kana czuł wyraźnie, jak cierpnie mu skóra między łopatkami, czuł niepokój naprężający wszystkie mięśnie. Ktoś ich obserwował — z dziwną, nieludzką ciekawością.

— Gdzie to może być? — głos Soonga brzmiał jęklonie w zawodzeniu wiatru.

Kana przyklęknął i wyciągnął zza pazuchy pierwszy pakunek do kontaktu handlowego. Wybrał płaski kamień i rozłożył na nim artykuły, które uznał za najbardziej błyskotliwe i mogące wpaść w oko tubylcowi. Potem odciągnął Soonga daleko na bok, za głazy sterczące nad korytem strumienia.

Z upływem czasu Kana zaczął się obawiać, że nerwy go zawiodły. Złoty łańcuch i garść klejnotów skupiały światło słoneczne i migotały tak, że musiały zwracać uwagę i wyciągnąć z ukrycia każdego obserwatora, o ile należał do rasy znanej Ziemianom.

— Panie Kosmosu! — szepnął głośno Soong.

Coś się wreszcie poruszyło. Ciężki wyłonił się z kocim wdziękiem, przeszedł między dwiema skałami i zatrzymał przy ofercie. Kana wstrzymał oddech. Ttsor! To zielonkawe futro, tak cenione przez Llorów do ozdabiania uroczystych strojów, nie mogło należeć do nikogo innego. Okrągła czaszka, postrzępione uszy również nieomylnie wskazywały na ttsora. Zwierzę machnęło swym chwytym ogonem, wybrało złoty łańcuch i uniosło go do oczu. Potem obwachało pozostałe przedmioty, przesuwając je wielkim pazurem i porzuciło łańcuch. Najwyraźniej nie zainteresowały go rzeczy, których nie mógł zjeść.

Kana błyskawicznym ruchem przygniótł do ziemi lufę strzelby Soonga.

— Nie zaatakuj, nie strzelaj!

Ttsor zeszywniał, spojrzął w górę strumienia. Moment później już go nie było. Widzieli, jak wielkimi susami pędzi w górę po skałach.

Przez jęk wiatru usłyszeli głuchy pomruk, którego Kana nie potrafił zidentyfikować. Spojrzął tam, gdzie patrzył ttsor, gwałtownie chwycił Soonga, wciągając go na ścianę wąwozu powyżej koryta, które stało się teraz śmiertelną pułapką. Razem wbiegli coraz wyżej ponad krawędź wodospadu. Kana dostrzegł blade twarze zwiadowców w dole. Soong wystrzelił w powietrze krótką serię oznaczającą niebezpieczeństwo. Kana machał rozpaczliwie ramionami wskazując, żeby wspięli się na ściany kanionu. Musiało to do nich dotrzeć, rozbiegli się na boki. Nie widział, ilu udało się uciec, ponieważ czarna ściana wody przelała się przez krawędź wodospadu, zakrywając wszystko chmurą rozprysniętych kropli. Woda sięgała butów Kany. Wspólnie ze Soongiem wspięli się na wyższą skałę. Znów niewidzialni górale wykorzystali przyrodę do obrony swego kraju. Uwolnili rzekę, aby pozbyć się intruzów. Soong gorączkowo krzyczał do mikrofonu, ostrzegając horde przed zagrożeniem.

Rozdział VIII

Śmierć od wody, śmierć od ognia

Z chmury wodnego pyłu wyłoniła się głowa i ramiona człowieka wspinającego się w bezpieczne miejsce i pomagającego wejść drugiemu, słabszemu. Otwarte usta z wysiłkiem łapały powietrze, ręce obejmowały głowy zalewane strumieniami wody. Po drugiej stronie doliny Kana dostrzegł jeszcze jednego, który wydostał się z kipieli. Czyżby jedynie trójka przeżyła?

Wspólnie ze Soongiem pochylił się nad urwiskiem, pomagając Bogate'owi i na wpół przytomnemu Larsenowi wydostać się z wody. Drżąc z zimna cała trójka usadowiła się na wąskiej półce zawieszanej o stopę nad rwącym strumieniem, który wcale się nie zmniejszał. Bogate potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się mgiełki opryskujących ich drobin wody.

— Ktoś musiał wyciągnąć korek — powiedział Larsen między napadami kaszlu.

— Zobaczyłeś coś tu na górze? — spytał Bogate.

— Jedynie ttsora. Ostrzegł nas przed falą. Gdyby nie on, dalibyśmy się złapać.

— My zresztą też — Larsen naciągnął przemoczony kołnierz kurtki. — To była ostateczna pułapka. Co z chłopakami z tyłu?

— Wysłałem im wiadomość — odpowiedział Soong. — Czy dość szybko... — nie musiał kończyć.

Z drugiego brzegu dobiegł ich słaby okrzyk i zobaczyli machającą rękę. Bogate ostrożnie podniósł się na nogi.

— Heeej! — krzyknął potężnie.

Odpowiedziały mu w sumie trzy głosy. Nie było jednak sposobu przejścia przez rzekę i połączenia sił. Ruszyli z powrotem do rozwidlenia w dwóch grupach, rozdzielonych rwącą wodą. Kana i Soong ocalili strzelby, lecz ich plecaki zginęły. Mroźne powietrze usztywniało mokrą odzież na drżących z zimna ciałach. O zachodzie słońca wtulili się w zagłębienie między dwoma strzelistymi skałami, które przyjmowały na siebie najsilniejsze podmuchy wiatru, i tak spędzili noc. Raz ze szczytów rozbrzmiał powtórzony przez echo żalostny głos, który Kana wziął za krzyk ttsora. Obecność tego stworzenia w tak nieprzychylnym dla życia terenie dostarczała jednak kolejnego dowodu na to, że nawet tu życie zwyciężało. Ttsory żywiły się nie tylko mięsem, ale i owocami i ziarnem. Tu w górach mogły także atakować wioski Cosów.

Jeśli żołnierze w ogóle spali tej nocy, musiało to być spowodowane kompletnym wyczerpaniem. Kiedy Kana podniósł się o brzasku, nogi i ręce miał tak obolałe, że musiał szczypaniem i poklepywaniem przywracać im życie. Na drugim brzegu zwiadowcy również ruszyli w drogę powrotną.

Przedzierali się po najeżonej skałami krawędzi kanionu. Pod nimi rzeka nadal wiła się, omijając stare rumowiska. Na oczach Kany część klifu, podmyta rwącym nurtem, osunęła się w dół. Po tym ostrzeżeniu cofnęli się od krawędzi, gdzie na każdą milę pokonaną na wschód przypadała druga stracona na obchodzenie przeszkód. Posuwali się w tempie żółtwa, a na skałach zostawiali krwawe ślady poranionych dłoni. Nawet na niesłychanie mocnych podeszwach butów z syriańskich gadów pojawiły się pęknięcia i zadrapania.

Sił dodawał im strach, o którym nikt nie mówił. Kiedy rankiem Soong próbował połączyć się z hordą, nie zdołał nikogo wywołać. Na każdym postoju, gdy wszyscy z trudem łapali w płuca rzadkie powietrze, pochylał się nad upartą maszyną, energicznie naciskając klawisze, lecz nie usłyszał najsłabszej nawet odpowiedzi.

Wyobraźnia Kany wyraźnie malowała ponury obraz tego, co mogło się wydarzyć. Horda maszerowała w górę koryta, gdzie spadła na nią fala pędząca jeszcze szybciej po nachylonym terenie. W ten sposób podzieliła los armii Llorów, której szczątki widzieli po drodze.

Obraz ten był tak wyraźny, że gdy zbliżyli się do rozwidlenia, Kana zwolnił kroku, by nie zobaczyć smutnych śladów tragedii. Okrzyk Soonga skłonił go jednak do przyspieszenia.

Jeden z lekkich wózków wkleszczył się w skały tuż pod nimi. Bogate niebezpiecznie wychylił się poza krawędź urwiska, aby lepiej mu się przyjrzeć. Kiedy wpatrywali się w zmiądzony kształt niweczący cichą nadzieję, dziki wrzask zwrócił ich spojrzenia ku grupie wędrującej drugim brzegiem. Tamci w podnieceniu wymachiwali ramionami, wskazując na coś za swymi plecami, gdzie było drugie koryto. Bogate natychmiast się wyprostował, widać było, że wróciły mu siły.

— Może niektórym się udało!

Dwóch zwiadowców na drugim brzegu gdzieś zniknęło, lecz trzeci nie przestawał wymachiwać.

— Pozostaje jeszcze problem przejścia na drugą stronę — zauważył Larsen. — Nie możemy przepłynąć tej...

— Przecież przeszliśmy przez tamtą rzekę, prawda? — przerwał mu gwałtownie Soong. — Co raz się udało, musi udać się i drugi raz.

Czuli, że teraz mogą wszystko! Fakt, że część hordy przeżyła, dostarczył im bodźca do nowych poszukiwań. Zeszli na brzeg rzeki, gdzie Bogate zanurzył w wodzie kolbę strzelby, chcąc zbadać siłę prądu. Woda niemal wyrwała mu broń z ręki.

Na drugim brzegu pojawiła się grupka mężczyzn. Hansu był wśród nich. Nieśli zwoje lin i rozdzielili się na dwa zespoły: jeden ustawił się dokładnie naprzeciw grupy Bogate'a, drugi, z dowódcą, ruszył w górę rzeki rozwijając linę.

W tym miejscu luka, przez którą woda przedostawała się do szerszego koryta, była najwęższa na całej trasie od wodospadu. Ludzie Hansu przywiązali koniec liny do nieforemnego pakunku i rzucili go w nurt. Soong i Bogate ze strzelbami w rękach wyciągnęli się na brzuchach na brzegu. Pakunek śmignął porwany przez prąd. Strzelby poleciały do wody, by go złapać. Przez ułamek sekundy wydawało się, że zdoła im umknąć, wreszcie całej czwórce udało się go pochwycić i końcówka liny znalazła się w ich rękach, łącząc ich z grupą na drugim brzegu.

Przedarcie się przez tych kilka stóp rwącej wody wymagało koszmarne wysiłku. Kana został rzucony o na wpół zanurzony głąz z siłą, która niemal pozbawiła go przytomności. Czyjeś ręce wyciągnęły go na ląd. Wykaszliwując z płuc mętną wodę leżał na spłachetku żwiru, dopóki nie postawiono go na nogi. Dalsza wędrówka do sąsiedniej doliny była jedynie mechanicznym wykonywaniem rozkazów. Musieli go prowadzić. Pełna świadomość wróciła mu dopiero, kiedy zauważył, że leży na plecach z plecakiem pod głową, a Mic i Rey ściągają z niego przemoczoną odzież i nacierają go kocem.

Mic wyrzekął: — Coście tam zrobili na górze? Wyszadziliście tamę, czy co?

— Chyba uruchomiliśmy pułapkę. — Kana wykaszlał te słowa nad kubkiem z gorącym napojem, który Rey wcisnął mu w dłoń. Niedaleko płonęło ognisko i przemarzniętemu Kanie jego blask i ciepło wydawało się najwymyślniejszym luksusem.

— No cóż, jednego złapaliśmy.

Kana spojrział we wskazanym przez Mica kierunku. Po drugiej stronie ogniska dostrzegł przycupniętą postać, która nie była ani Llorem, ani Ziemianinem. Nie wyższe niż na cztery stopy stworzenie było całkowicie pokryte gęstym siwobiałym futrem. Biodra miał przewiązane krótką przepaską ze skóry ttsora, na szyi rzemienny

naszyjnik z pazurami jakichś kotów. Jeszcze bardziej bez wyrazu niż mniej futrzaści Llorowie, więzień wpatrywał się w płomienie i nie zwracał najmniejszej uwagi na otoczenie.

— Cos?

— Tak sądzimy. Złapaliśmy go przy ognisku sygnalizacyjnym dwie noce temu. Jednak nie udało się nic z niego wyciągnąć. Nie reaguje na język handlarzy. Hansu zna język Llorów, ale też nie dostał żadnej odpowiedzi. Ciągniemy go ze sobą. Jak tylko stajemy, on siada i nawet nie chce jeść.

Mic wydobyl z plecaka trochę zapasowej odzieży, Rey dodał resztę. Kana z wdzięcznością włożył suche rzeczy. Jego własne suszyły się przy ognisku.

— Dobrze, że nasze ostrzeżenie dotarło na czas. Mic nie patrzył mu w oczy.

— Strumień porwał pięciu ludzi; wóz zaczepił o skały, a oni starali się go uwolnić. Trzech straciliśmy przy przejściu przez pierwszą rzekę, no i paru, kiedy futrzaki nas dopadły.

— Llorowie szli za wami?

— Przez część trasy. Zniknęli, kiedy przeszliśmy tę dolinę ze szkieletami. Myślę, że dało im to do myślenia, na co mogą liczyć. Tak czy siak wiedzą, dokąd zmierzamy i nie możemy już wrócić, chyba że będziemy chcieli się bić z całym ich narodem. Rebelianci są teraz wzorowymi rojalistami i aż rwą się do walki z tymi wstrętnymi najeźdźcami z Ziemi. — W jego głosie pobrzmiwała nutka gorczy.

— A jak to wygląda tam z przodu? — dopytywał się Rey.

Kana opisał im pokrótce, co widział. Nie wyglądali na zachwyconych. Zanim skończył, podszedł do nich Hansu.

— Widzieliście jakichś Cosów nad wodospadem?

— Nie, sir. Nie widzieliśmy niczego oprócz ttsora i on nas ostrzegł. Rozłożyłem pakiet handlowy, bo czułem, że jesteśmy obserwowani. Zjawił się ttsor obejrzał to i wtedy...

Lecz Hansu wpatrywał się przez płomienie w złapanego Cosa.

— Wszystko, co chcielibyśmy wiedzieć, jest zamknięte w tamtej okrągłej czaszce. Gdybyśmy tylko mogli ją otworzyć. On nie chce naszego jedzenia, nie chce mówić, a my nie możemy go trzymać, aż umrze z głodu. Dalibyśmy im powód do ataku z zemsty.

Dowódca obszedł ognisko i stanął przy więźniu. Białowłosej pigmej ani drgnął. W ogóle nie było wiadomo, czy zdaje sobie sprawę z bliskości dowódcy. Hansu przyklęknął na jedno kolano, powtarzając powoli parę słów w śpiewnym języku Llorów. Cos nawet nie mrugnął okiem. Kana sięgnął po pakiety, szybko przejrzał zawartość i podał mu niewielką paczuszkę cukru i wysadzaną kamieniami bransoletę.

Hansu podniósł bransoletę do światła tuż pod nosem więźnia i poruszał nią tak, żeby klejnoty w pełni ujawniły swój blask. Z punktu widzenia Cosa podarunek mógł być całkowicie niewidzialny. Nawet kiedy podsunięto mu cukier do powąchania, nie uczynił najmniejszego ruchu. Dla niego Ziemianie oraz ich podarki po prostu nie istnieli.

— To kamienny mur nie do pokonania — powiedział Hansu. — Możemy jedynie...

— Wypuścić go, sir, i mieć nadzieję na najlepsze rozwiązanie? — Była to metoda, jaką Kana poznał na szkoleniu.

— Tak.

Hansu wstał i postawił Cosa na nogi. Wykorzystując swą siłę, dowódca doprowadził więźnia na skraj obozowiska i jeszcze dalej. Wreszcie puścił jego ramię i wycofał się.

Przez dłuższy czas Cos stał nieruchomo — nawet nie obejrzał się za siebie. Nagle

ruszył z prędkością, która wprawiła Ziemian w osłupienie, i zniknął w głębi kanionu. Słyszeli jeszcze grzechot spadających kamieni, ale nie wiedzieli dokładnie, w którą stronę się udał.

Horda została w tym miejscu na noc. Mimo prowadzonych obserwacji nie dostrzeżono już żadnych ognisk w górach.

— Być może — zastanawiał się głośno Mic — odkorkowanie tej rzeki było ich najsilniejszą bronią. Kiedy zobaczyli, że to nie poskutkowało, schowali się, żeby nas przepuścić.

— Nie mamy pojęcia o ich mentalności — przestrzegał go Kana. — Dla niektórych ludów, na przykład dla nas, taka porażka stanowiłaby jedynie impuls do dalszych starań. Dla innych może oznaczać, że ich Bogowie, Los, czy każda inna Siła, w którą wierzą, nie jest po ich stronie i powinni o całej sprawie zapomnieć. Nasza przyszłość może zależeć od tego, co powie im wypuszczony Cos. Musimy być przygotowani na wszystko.

Następnego ranka, wkrótce po rozpoczęciu marszu, trafili na miejsce, gdzie zabili bylla. Jego ścierwo było poszarpane i częściowo pożarte przez nieznane drapieżniki. Oderwana głowa z szeroko otwartym, uzbrojonym w ostre zęby dziobem stanowiła groźną przestrożę. Jednym z zadań straży bocznej było baczne obserwowanie terenu, aby w porę dostrzec groźnego ptaka szykującego się do ataku.

Około południa znaleźli niewielki stawek zasilany wodą ściekającą po lewej ścianie wąwozu, pochodzącą prawdopodobnie z rzeki płynącej drugą odnogą. Po oczyszczeniu wody napełnili nią manierki i zmyli kurz z dłoni i twarzy. Ten kurz niesiony przez wiatr nieustannie im towarzyszył, był w ich ustach, kiedy jedli, drażnił oczy i dostawał się pod odzież, ocierając skórę.

Przygotowani na niebezpieczeństwa, które mogły spaść na nich z góry, zwiadowcy zdołali ostrzec o kolejnym poważnym ataku, zanim jeszcze do niego doszło. Polegając na metodach, które dotąd przynosiły im korzyści, Cosowie zaczęli spychać głazy z krawędzi kanionu. Jednak żaden z tych prymitywnych pocisków nie doszedł celu, ponieważ napastnicy, próbujący w ten sposób zbombardować wijący się na dnie rząd Ziemian, zostali strąceni przez kule straży bocznej. Welniste ciała runęły w dół razem z kamieniami, pozostali zaś szybko zniknęli między skałami. Z przodu, na niewielkim płaskowyżu, wznosiła się prymitywna fortyfikacja, która na tyle dominowała nad wąwozem, że Ziemianie nawet nie próbowali iść dalej.

Tym razem Cosowie wyszli z ukrycia. Z zapadnięciem ciemności fort otoczył krąg ognisk, tworzący świetlną barierę podobną do tej, jaką żołnierze zbudowali wcześniej wokół nizinnych obozów. Na atak z dołu nie było szans. Ściana płaskowyżu była stroma, a na jej krawędzi stał potężny rząd głazów gotowych do strącenia. Hansu gwizdkiem dał sygnał zbiórki.

— Musimy zdobyć ten fort — zaczął niezbyt fortunnie. — Jest na to tylko jeden sposób: z góry. — Zdjął hełm i wrzucił do niego czarne i białe kamyki: — Losujemy.

Przystąpiono do losowania. Kana wyjął kamyk i trzymał go w zaciśniętej dłoni, dopóki nie usłyszał właściwego rozkazu. Wówczas zobaczył, że jego kamyk był czarny, podobnie jak Reya, natomiast Mic, ku swemu rozczarowaniu, wyciągnął biały los.

Hansu dokładnie zlustrował grupę, która miała się wspinać. Wybrańcy zdjęli wszystkie ozdoby, zostawiając jedynie pas. Przerzucili strzelby przez plecy, przytroczyli miecze i każdy otrzymał pięć wybuchowych ładunków zapalających.

Korzystając z głębokich ciemności otulających podnóże klifu, odłączyli się od głównej części oddziału i wycofali w głąb doliny do miejsca, w którym według zwiadowców ściana była możliwa do pokonania. Stamtąd, korzystając z ostatnich promieni zachodzącego słońca, rozpoczęli wspinaczkę. Kiedy znaleźli się na szczycie,

światła fortu nie tylko wskazywały im drogę, lecz również nieco rozjaśniały mrok. Posuwali się powoli i niezwykle ostrożnie. Spotkanie z wartownikiem Cosów mogłoby mieć fatalne skutki. Ziemianie liczyli na swój węch. Na szczęście mieli wiatr od przodu. Oleisty zapach Llorów rozpoznawalny bez trudu na dużą odległość, był niczym w porównaniu z ostrą wonią wydzielaną przez futra Cosów. Górale nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, jak łatwo Ziemianie mogli wyczuć ich obecność.

Złowieszczy odór uderzył w nozdrza Kany. Podkurczył nogi i poklepał Reya po ramieniu, wiedząc, że to bezgłośnie ostrzeżenie zostanie przekazane kolejnym żołnierzom. Cos znajdował się tuż przed nimi. Idąc za zapachem Kana ostrożnie poczołgał się naprzód. Na kostce poczuł dłoń Reya, który ruszył za nim. Wartownik musi być sprawnie i cicho usunięty z drogi, zanim zdoła zaalarmować fort.

Kana ustawił się w cieniu rzucanym przez pobliską skałę sterczącą nad światłami fortecy. Nos podpowiadał mu, że Cos siedzi za nią. Zresztą był to doskonały punkt umożliwiający obserwację zarówno samego fortu, jak i hordy obozującej poniżej.

Wkrótce zobaczył to, czego szukał: ciemny kształt oświetlony od tyłu ogniami fortu — pochylona głowa góralskiego wartownika. Kana przygotował się do skoku, odpinając pas karabinu. Przez większą część życia trenował wykonywanie takich skoków, toteż jednym precyzyjnym susem znalazł się za Cosem, zaciskając paskiem gardło strażnika. Jedno szarpnięcie w odpowiednim kierunku i przeciwnik osunął się bezwładnie na ziemię. Kana podtrzymał go drżącymi rękami. Sztuczka udała się, zgodnie z zapewnieniami instruktorów, jednak między ćwiczeniem na manekinie a uduszeniem żywej, oddychającej istoty rozpościerała się emocjonalna przepaść. Wyciągnął pasek spod ciała i wytarł dłonie o uda, starając się oczyścić ze wspomnienia dotyku tłustej wełny.

— W porządku?

— Tak — odpowiedział Reyowi i odebrał od niego strzelbę. Długo i starannie przypinał do niej pasek.

Nie natknęli się na innych strażników. W końcu znaleźli się na zaplanowanej pozycji — na zachód nad fortem.

Centralny budynek tego orlego gniazda wyglądał znajomo, choć był w kiepskim stanie. Kiedy Cosowie zdobyli tę twierdzę, wykorzystali wcześniejsze konstrukcje Llorów. Wokół na wpeł rozwalonej baszty skupiło się kilka nędznych kamiennych chat krytych chrustem. Zbudowali też mur z luźno ułożonych kamieni. Nie były to budowle świadczące o wysokich umiejętnościach budowniczych.

Z dołu dobiegał przeraźliwy świst bojowych gwizdków hordy. W blasku ognisk widzieli białe postacie Cosów siedzących na murze i przygotowujących swoją skalistą amunicję do odparcia czołowego ataku. Kana wyrwał zatyczkę jednego z ładunków zapalających i rzucił go na dach najbliższej chaty.

Do żółtego światła ognisk Cosów dołączyły oślepiające błyski białych kul ognistych rzucanych przez Ziemian, zmieniające fort w płonące inferno. Zaskoczeni Cosowie, złapani między atakiem hordy i nowym zagrożeniem, biegali w popłochu. Ta chwila paniki doprowadziła ich do zagłady, która przyszła jednak nie z rąk atakujących Ziemian, lecz z wnętrza ich własnej twierdzy.

Z morza płomieni wyłonił się nagle czarny cień unosząc się prosto w mrok nocy. Zawisł nad fortem i zarzucił go gradem czerwonej śmierci. Cosowie z płonącymi futrami rzucali się w przepaść z niesamowitym wrzaskiem bólu, bądź ginęli w ogniu. Dziwny aparat latający wzniósł się spiralnie i zboczył na dolinę, zrzucając bomby na hordę.

Ziemianie na wyżynie starali się uchwycić chybotliwe skrzydło w celowniki strzelb i bez opamiętania strzelali w ciemną sylwetę. Pod ich skoncentrowaną kanonadą skrzydło straciło na chwilę równowagę, próbowało ją odzyskać, a potem odleciało w

dal, zostawiając za sobą szkarłatną wstęgę zniszczenia, które ogarnęło nie tylko fortecę Cosów, ale i hordę w dolinie.

Rozdział IX

Pokaż zęby i zachowaj nadzieję

O świcie siły Ziemian zdobyły fort, lecz cena, którą zapłacili, była wysoka. Jedna czwarta wojowników hordy albo zginęła szybko podczas bombardowania przez nieznany samolot, albo dostała się do rąk łaski, kończącego cierpienia spowodowane śmiertelnymi ranami. Tak więc zwycięstwo miało posmak klęski.

— Skąd Cosowie wytrzasnęli to skrzydło? — Mic z lewym ramieniem spowitym w bandaż aż po bark nie był jedynym, który zadawał to pytanie.

Maszyna była dowodem, że w twierdzy Cosów ukrywali się obcy, którzy mogli skierować gospodarzy do walki przeciw Ziemianom lub być jedynie widzami tej walki. Żołnierze zbadali ruiny fortu, zanim jeszcze zgliszcza dogasły, poszukując śladów mogących zidentyfikować lotników, jednak płomienie zniszczyły wszystko.

— — To skrzydło solidnie oberwało — powtarzał każdemu Rey. — Musiało spaść gdzieś niedaleko. Zanim zniknęło, leciało przekrzywione!

— Tam, gdzie znajdzie się jeden egzemplarz czegoś takiego, muszą być i inne — mówił Mic. — Kosmiczne demony! Mając taką maszynę mogą nas dopaść, kiedy tylko zapragną! Ciekawe, dlaczego dotąd tego nie zrobili?

Kana podłożył plecak pod zdrowe ramię Mica i pomógł mu się na nim wesprzeć. — Może odpowiedzią jest brak zaopatrzenia. Nie mieli dość samolotów, żeby nas gonić. Ten zmusiliśmy do wyjścia z ukrycia, podpalając chaty. Myślę też, że Rey ma rację, musiał się gdzieś tu rozbić. A zresztą odtąd nie będziemy musieli maszerować, środkiem kanionu, stanowiąc dla nich idealny cel.

Było to najważniejsze odkrycie Ziemian — po zdobyciu fortu znaleziono całkiem niezłą drogę prowadzącą na zachód. Hansu był zdecydowany wydostać swój przetrzebiony oddział z kanionu, który mógł okazać się śmiertelną pułapką. Żołnierze lizali rany i badali teren, rozsyłając wszędzie grupy zwiadowców jeszcze przez większą część następnego dnia. Liczba ciał Cosów odnalezionych w obrębie twierdzy była mniejsza, niż przypuszczano. Nie było wśród nich przybyszów z innych planet.

— Tylna straż przeznaczona na stracenie — wywnioskował Hansu.

W końcu ściągnięto wszystkie zwłoki przeciwnika na centralny plac fortu i zapewniono im pochówek razem z poległymi hordy — całkowite zniszczenie w płomieniach. W podziemiach fortu wyłobionych w litej skale znajdował się spory zbiornik na wodę oraz rzędy naczyń wypełnionych ziarnem i suszonymi owocami. Medyk Crawford oznajmił, że ziarno nie nadaje się na pokarm dla Ziemian, lecz owoce były nieszkodliwe i stanowiły przyjemne urozmaicenie racji w pastylkach.

Trzeciego dnia przeorganizowali się, utworzyli nowe, mniejsze zespoły i w dobrym stanie podjęli dalszy marsz. Nie mówiono już jednak o rychłym powrocie na Secundusa. Niepisana umowa ograniczała rozważania o przyszłości do następnego dnia.

— Po prostu pokaż zęby i zachowaj nadzieję — podsumował to Mic ruszając w drogę. — Gdyby tylko udało się nam wyrwać z tych cholernych gór!

Jednak nie było widać końca skał, kiedy szlak prowadzący z fortu zaczął wspinać się pod górę. Na Kanę wypadła służba w grupie zwiadowców idących daleko przed głównym oddziałem. Wdrapali się na górę pochodzenia wulkanicznego. Zbocze jej tu i ówdzie pokrywały płyty śniegu. Kana zaryzykował przejście przez szczelinę w koronie stożka, miejsce, gdzie można było spodziewać się zasadzki. Jednak przesmyk okazał się bezpieczny. W towarzystwie Soonga stanął na skraju, wpatrując się w nieckę, której najniższy punkt leżał co najmniej ziemską milę pod ich stopami. Na

dnie dostrzegli jezioro. Żółtozielona roślinność frońska układała się w małe, regularne poletka otaczające grupę chat ze ścianami z kamienia i kopulastymi dachami, stojących na brzegu jeziora. Nic nie poruszało się na polach, a nad chatami nie unosił się dym. Wioska mogła zostać opuszczona równie dobrze godzinę, jak i wiek temu.

Zwiadowcy szeroką tyralierą zeszli na dno krateru przygotowani na wszelkie niespodzianki. Jednak jedynymi stworzeniami, jakie udało im się wypłoszyć z wysokiej trawy, były khaty, rodzaj pasiastych gryzoni, które były głównymi dostawcami mięsa na Fronn. Przeszedłszy przez pokryte szorstkim rżyskiem poletka, dotarli na brzeg jeziora.

Soong wskazał na plażę pokrytą głębokimi wyżłobieniami prowadzącymi do wody.

— Łodzie. I to całkiem niedawno.

— Nie widzę żadnej. Może popłynęły tam.

Długie pasmo rzeki wypływającej z jeziora skręcało do ściany krateru. Nie mogli dostrzec, czy przedostawało się na drugą stronę, ale łodzi nie widzieli. Dalsze poszukiwania pozwoliły im stwierdzić, że — nie licząc nielicznych khatów oraz czterech młodych guenów zamkniętych w zagrodzie — krater był pusty.

Horda spokojnie weszła do niecki. Rzeka na południu wrzynała się w ścianę wulkanu i sądząc po pewnych śladach Ziemianie uznali, że mieszkańcy wioski uciekli w tym kierunku.

Jednak najbardziej podniecającym odkryciem było odnalezienie tuż za wioską wraku latającego skrzydła. Nie było w nim niczego, co mogłoby sugerować, że jego pilot pochodził z innej planety. Jednak maszyna nie należała do ziemskich mechów, jak podejrzewali.

El Kosti posiadający największą w oddziale wiedzę o maszynach latających spędził kilka godzin pracowicie przedzierając się przez dżunglę przewodów i metalowych szczątków razem z pomagającą mu grupą żołnierzy.

— To jest z Syriusza Drugiego — powiedział do Hansu. — Ale są tam pewne przeróbki, których nie potrafię zidentyfikować. Powiedziałbym, że pierwotnie był to statek handlarzy, ale nie mógłbym na to przysiąc. Z całą pewnością jednak nie jest to sprzęt z Ziemi.

Spowodowało to powrót przypuszczeń o jakimś mrocznym spisku, podejrzeń, że Kontrola Centralna zwraca się przeciw nim. Ale dlaczego? Ponieważ byli najemnikami z Ziemi? Kana zastanawiał się nad tym. Czyżby horda Yorke'a została przez kogoś uznana za zbędną i skazana na zagładę w taki sposób, żeby jej koniec spowodował kłopoty na Ziemi? Czy miało to służyć wypędzeniu ludzkości z kosmosu? Obserwował Hansu fotografującego wrak, ze szczególną starannością uwieczniającego te fragmenty, które, zdaniem Kostiego, najlepiej świadczyły o prawdopodobnym pochodzeniu maszyny. Mistrz miecza zbierał dowody — jednak czy kiedykolwiek będzie mu dane przedstawić je władzom? Czy szczerze wierzył, że którykolwiek z nich dotrze na Secundusa, nie mówiąc już o sędzie w Primie, żeby poinformować o zdradzie?

Przetrzęsnęli wioskę chata po chacie. W pokojach znaleźli jedynie śmieci i meble zbyt ciężkie, aby można było je zabrać ze sobą. Wśród odpadków trafiono na trzy zestawy żywnościowe zespołów badawczych. Świadczyło to niewątpliwie, że przynajmniej jeden gość z innego świata bawił niedawno w wiosce. Były to jednak standardowe zestawy, nie mówiące nic o ich właścicielach, mogły pochodzić z co najmniej dwudziestu różnych planet.

Bez łodzi lub materiałów, z których można by zbudować tratwy, Ziemianie nie mogli skorzystać z wodnego wyjścia z krateru. Znaleźli jednak drugą drogę prowadzącą na południowy zachód i wyruszyli nią. Od tego dnia ich marsz przeistoczył się w prawdziwy koszmar. Dopadł ich sezon wiatrów i burze pędziły

przed sobą tumany śniegu, całkowicie zakrywającego szlak. Stracili paru ludzi, którzy zbczyli z szeregu i zginęli w białej pustyni, mimo wysiłków żeby utrzymać grupę w całości. Inni po prostu się poddali, nie reagowali na razy, które miały zmusić ich do dalszego marszu po postojach, zapadając w sen, oznaczający pewną śmierć. Gdyby nie byli najemnikami, od dzieciństwa zaprawionymi do ciężkiego wysiłku, prawdopodobnie żaden z nich nie zdołałby przeżyć. Zanim dotarli do zachodniego zbocza masywu, stracili w ten sposób ponad pięćdziesięciu ludzi. Teraz jednak fakt, że rozpoczęli schodzenie w dół, mając przed sobą równinę Tharc, przywrócił im ducha i siły do dalszego marszu na niepewnych nogach.

Obawiali się tylko jednego przeciwnika. Od czasu bitwy o fort nie dostrzegli Cosów. Górale musieli się gdzieś schować na czas burz.

W piątym dniu po wyjściu z krateru Kana walczący resztką sił, żeby się nie zatrzymać i zrezygnować, zszedł zlebem do głębokiego wąwozu, gdzie nie było śniegu, i z radością postawił stopę na ziemi zamiast na zlodowaciałym śniegu. Ściany niewielkiej doliny chroniły go skutecznie przed gwałtownymi podmuchami wichury. Oparł się o zbocze, żeby złapać oddech. U jego stóp niewielki strumyczek płynął spokojnie na południowy zachód.

— Na dole! — niemal krzyknął, rozkoszując się brzmieniem tych słów. Góry były już za nim, przed nim roztaczała się rozległa równina.

Jednak nie wyszli jeszcze zupełnie z niebezpiecznych terenów leżących po tej stronie masywu górskiego. Między płaskowyzami i dolinami o prostopadłych ścianach widział kolorowe płachty roślinności, rosnącej błyskawicznie na wilgoci niesionej wiatrem. Nie było tu śladu drogi ani też innych oznak cywilizowanego życia. Mogli jedynie maszerować na południe, kierując się ku równinie otaczającej Tharc. Na chwiejnych nogach Kana podążył w kierunku wyznaczonym przez strumyk tylko dlatego, że nie miał już sił, aby ponownie wspiąć się na górę. Rośliny rozwijały liście do słońca. Drobnie zielone kwiatki zwisały z delikatnych cienkich łodyżek pochylone nad lustrem wody.

— Heeej!

Kana wyszedł z zakola na czworakach, trzymając strzelbę w pogotowiu. Zobaczył, jak Soong wygrzebuje się ze strumienia, przeklinając tłuste błoto. Jego okrągłą twarz koloru kości słoniowej rozświetlał promienny uśmiech.

— Wyszliśmy z zimy prosto na wiosnę. Teraz wierzę, że przeżyjemy.

— Przynajmniej na razie — dodał Kana w zamyśleniu. Był potwornie zmęczony. Tak zmęczony, że pragnął paść na ziemię, tam gdzie stał, i odpoczywać, na zawsze.

— Tak. Żyjemy. To może rozczarować niektórych. Patrz, mamy tu rzekę. Prawdziwą rzekę!

Soong miał rację. Strumyk wpadał do rzeki. Jej wody były tak czyste, że Ziemianie dokładnie widzieli płaskie kamienie i żwir leżący na jej dnie. Nurt nie był też tak gwałtowny jak w górskich potokach, z którymi dotychczas mieli do czynienia.

— Niezbyt głęboka. Można ją przejść bez trudu. Nareszcie szczęście się do nas uśmiechnęło! — Soong przykucnął i wskazującym palcem badał temperaturę wody. Natychmiast go wyciągnął: — Cóż, to potok zrodzony przez śniegi. Oj, zmarzną nam nóżki!

Przeszli kawałek wzdłuż brzegu. Z uschniętych kęp zeszłorocznej trawy wyskoczył khat. Biegł wprost na rzekę, pośliznął się na mokrej glinie i wpadł do wody. Walczył o utrzymanie się na jej powierzchni.

Z przeciwnego brzegu ruszyły jakieś stworzenia, budząc falę zmarszczek na spokojnej powierzchni. Khat wrzasnął przeraźliwie, był to krzyk agonii przypominający niemal głos ludzki. Na powierzchni wody pojawiły się krwawe plamy, a kolejna fala zmarszczek przesuwała się z przeciwnego brzegu.

Żołnierze stali zdumieni, wpatrując się w to niesamowite zjawisko. Walka zakończyła się w kilka sekund po rozpoczęciu. Na kamieniach na dnie leżał oczyszczony z mięsa szkielet.

Leniwie, bez pośpiechu, na powierzchnię wody wypłynęły trzy zwierzaki. Miały po sześć nóg, głowy podobne do żabich, lecz ich szczęki kojarzyły się z gwałtownymi mięsożercami, a oczy, ustawione w dwóch rzędach po dwa, nadal wyglądały na wygłodniałe.

Kana zwilżył językiem wargi.

— Tify!

— Co? — zdumiał się Soong i rzucił kamieniem w małe potworki. Odsunęły się na stopę lub dwie, ale nie powróciły na przeciwny brzeg. Czaiły się przy brzegu wpatrzone w Ziemian, wyczekujące i obserwujące.

— Zła wiadomość — powiedział Kana nie czekając na pytanie Soonga. — Widziałeś, co się stało z khatem. To samo stanie się z każdym żywym stworzeniem, które będzie próbowało przejść przez rzekę, w której żyją tify.

— Ale przecież są tylko trzy i żaden z nich nie ma więcej niż stopę.

— Widzimy tylko trzy, a tam gdzie są trzy, musi być ich więcej. Podróżują całymi ławicami. Ta trójka może oznaczać, że gdzieś w pobliżu czają się całe setki gotowe do ataku, kiedy uznają, że jest dość mięsa!

Nie było sposobu, żeby się przekonać, ile żabopodobnych diabłów kryje się w nurcie rzeki. Praktycznie nie było też sposobu na przeprawienie się na drugi brzeg rzeki, tak starannie strzeżonej. Gdyby na kasecie o Fronn było więcej informacji! Albo gdyby Ziemianie byli w towarzystwie przyjaznych tubylców, którzy mogliby służyć im radą!

Wolno płynąca woda wyglądała nadzwyczaj spokojnie, lecz kiedy Ziemianie szli brzegiem rzeki, tify towarzyszyły im w wodzie. Tu i ówdzie dołączały do nich nowe straszdełka, bezgłośnie wyłaniające się spod ocienionych skarp.

Bacznie obserwowały przybyszów, jakby oceniały ich rozmiary i ilość pożywienia, którego mogli dostarczyć, po czym chowały się w nadbrzeżnych jamach.

— Roznosi się wieść: mięso w zasięgu zębów — Kana zatrzymał się.

Płytka rzeka rozszerzała się ku południu i coraz częściej napotykali głązy wystające ponad poziom wody i tworzące dość zachęcające, choć poprzerywane pomosty. Zwiadowcy oglądali je dokładnie. Czy można by się po nich przeprawić? A może udałoby się założyć między nimi jakąś sieć zdolną powstrzymać krwiożercze tify? Paru ludziom mogłoby się udać przedostać po nich na drugą stronę, jednak cała horda obarczona rannymi na pewno nie dałaby rady. Eksperci w sztuce przetrwania, zahartowani na wielu wyprawach, musieliby się wypowiedzieć, czy coś takiego byłoby możliwe.

Niespodzianie wiatr przyniósł znajomy zapach. Kana nie czuł go od nocy, kiedy zaatakowali fort Cosów. Padł na brzuch za krzakiem, a Song wylądował obok ułamek sekundy po nim. Prawie równolegle do nich na przeciwległym brzegu pojawił się postawny Llor — bez lancy, lecz z wiatrówką kołyszącą się na siodle, co świadczyło, że należał do regularnych sił rojalistów, a nie do jakiejś drużyny przybocznej możnowładcy. Wojownik zsiadł z wierzchowca i zbliżył się do brzegu rzeki, uważnie przyglądając się zmarszczkom na jej powierzchni. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę z możliwej obecności tifów.

Rozsiadł się wygodnie na piaszczystej plaży i wyciągnął kawałek purpurowej trzciny do zucia. Ziemianie prawie wciskali się w grunt za każdym razem, gdy omiatał spojrzeniem teren przed sobą. Nie mieli szansy na wycofanie się z ukrycia za rzadkimi gałązkami krzewu.

Llor wypluwał przeżute kawałki trzciny do wody i raz po raz rzucał kamieniem w

gromadzące się stadka tifów. Coraz więcej tych stworzeń gromadziło się u jego stóp. Patrząc na nie Llor czasami wydawał z siebie gardłowe dźwięki, które w jego rasie uznawano za śmiech. Kana zauważył jednak, że starannie unikał kontaktu z wodą.

Gardłowy okrzyk sprawił, że zerwał się na równe nogi. Z lasku wyjechała grupa jeźdźców. Prowadzący miał na sobie krótki płaszczyk oblamowany paskami futra ttsora, a na dźążku z przodu siodła siedział oswojony hork. Była to oznaka mówiąca, że należał do świty getanu.

Wśród pozostałych jeźdźców Kana wypatrzył zakapturzoną postać Venturiego.

Przodownik nie zsiadł z wierzchowca, lecz jego towarzysze zsunęli się z siodła, ciągnąc za sobą Venturiego. Wyglądało na to, że był ich więźniem, co samo w sobie było zaskoczeniem. Llor rozmawiał chwilę ze swym orszakem. Jeden z jeźdźców podjechał aż na skraj rzeki i ciekawie przyglądał się jej nurtowi, podczas gdy pozostali popychali więźnia na brzeg.

Po chwili, ku przerażeniu obserwujących całe zdarzenie Ziemian, spokojnie podnieśli związanego handlarza i rozkołysawszy go w powietrzu wrzucili do wody, spienionej przez kotłujące się tify.

Pierwszy strzał Kany zrzucił przodownika z siodła — wpadł głową do rzeki. Ziemianie metodycznie wystrzelali morderców na drugim brzegu. Pięciu padło, zanim pozostała trójka ruszyła w stronę lasku, szukając schronienia. Nikomu się to jednak nie udało.

Woda kotłowała się, kiedy tify rozkoszowały się niespodziewanym łupem. Kana nie miał odwagi spojrzeć w miejsce, gdzie wpadł skępowany Venturi. Śmierć na polu bitwy była czymś zwyczajnym — szkolono go, by uwierzył, że taki będzie jego własny koniec. Jednak bezduszne okrucieństwo, jakiego był przed chwilą świadkiem, poruszyło go do głębi.

— Na Klema i Kola — Soong szarpnął go za rękaw, pokazując coś w nurcie rzeki.

Toczyły się tam zmagania, utrudnione przez nasiąkła woda szatę i związane ręce. Wokół unoszącego się na powierzchni Venturiego rozszerzał się krąg bezwładnych i martwych tifów. Kana wskoczył na nadbrzeżny głaz, potem na drugi w głębi rzeki. Odsunął ogołoconą z mięsa czaszkę Llora i podtrzymał Venturiego, który stanął na nogach i brodził ku brzegowi. Kiedy dotarli na plażę, Kana wyciągnął nóż.

— Przetnę to — powiedział w języku handlarzy wskazując na rzemieńskie więzy kępujące ręce Venturiego.

Ten gwałtownie cofnął się o krok. Walka o dotarcie na brzeg nie pozbawiła go kaptura. Nie mogąc dojrzeć wyrazu jego twarzy, Kana nie ruszył za nim.

— Przyjacielu — Kana włożył w to słowo wszelkie przyjazne uczucia, na jakie było go stać. Pokazał przepływające w pobliżu ciało przywódcy Llorów: — Nasz wróg, twój wróg.

Venturi zastanowił się nad tym przez moment. Nagle dał krok do przodu i odwrócił się ku Ziemianom, wyciągając związane ręce. Kana ostrożnie przeciął nasiąkniętą wodą więzy.

Mając wolne ręce, Venturi pochwycił lejce stojącego obok guena. Należące do przywódcy zwierzę było wyjątkowo dobrze wyszkolone i łagodne, dlatego nie protestowało, kiedy dość niezgrabnie wgramolił się na jego grzbiet. Venturi odwrócił się od rzeki i spojrzał na ciała Llorów leżące na plaży, potem na szkielety tych, którzy wpadli do wody, skąd tify wybałuszały oczy w oczekiwaniu na dalsze ofiary.

Jedną ręką sięgnął pod szatę, skąd wyciągnął wilgotny woreczek. Palcem przypominającym szarozielony pazur wskazał na leniwie pływające drapieżniki, a następnie na ciała tych, które próbowały go zaatakować. Ręka wykonała ruch, jakby rozrzucając coś wydobytego z woreczka na wodę. Kana skinął głową ze zrozumieniem i chwycił w powietrzu rzucony mieszek. Venturi piętami popędził

guena, który galopem ruszył między drzewa.

— To coś ma wykończyć tify? — spytał Soong. — Myślisz, że Llorowie wiedzieli, że ma to przy sobie, kiedy wrzucali go do rzeki?

— Nie sądzę, inaczej by mu to odebrali. Może to ma długotrwałe działanie. Te, które pływają do góry brzuchem, nie przyszły jeszcze do siebie.

Stworzenia pływały na powierzchni wody z szeroko rozwartymi paszczami. Kana zauważył też, że pozostałe trzymają się od nich z daleka. Torebka, którą trzymał w dłoni, mogła zapewnić hordzie bezpieczną przeprawę na drugi brzeg. Tak też się stało. Gruboziarnisty biały proszek schowany w jej wnętrzu i rozrzucony w górze rzeki odstraszał tify, dopóki Ziemianie nie znaleźli się po przeciwnej stronie. Nigdy nie dowiedzieli się, jak długo trwa działanie tej trucizny, ponieważ gdy straż tylna opuszczała plażę, ciała tifów nadal obijały się o nadbrzeżne głazy.

Hansu zidentyfikował insygnia zabitego przywódcy oddziału Llorów: należał on do królewskiej straży przybocznej. Bardziej jednak interesował go zatarg między Venturim a strażnikami. Niezwykła ostrożność Llorów względem Venturich obserwowana wcześniej podczas przemarszu oddziałów Skury świadczyła dobitnie, że Llorowie unikali jak ognia konfliktu ze swymi cichymi specjalistami od transportu. Teraz jednak przywódca Llorów wydał z zimną krwią wyrok śmierci na jednego z nich. Od czasu, kiedy horda straciła kontakt z dawnymi sprzymierzeńcami, musiało nastąpić znaczne przesunięcie sił w obozie Llorów. Na tyle znaczne, że czuli się na siłach wykazać się arogancją wobec tych, których szanowali od pokoleń. Wszystko wskazywało na to, że Llorowie cieszyli się tak silnym poparciem, iż uwierzyli, że wszystko im wolno. Czyżby to wsparcie było czymś więcej niż legion zdradzieckich mechów?

Maszerując przez doliny rozszerzające się na rozległe równiny, Ziemianie zwiększyli czujność. Uzbrojone ruchome fortece mechów stanowiły śmiertelne zagrożenie na tych terenach. Każdego dnia zwiadowcy wypatrywali oczy w poszukiwaniu samolotów na niebie. Jednak od czasu potyczki z grupą Llorów nad rzeką tifów nie stwierdzono obecności przeciwnika. Wydawało się, że rozległe równiny znajdują się w całkowitym władaniu ttorów, bylli i dzikich khatów, na których dwa pierwsze polowały.

Drugiego dnia po przejściu rzeki zwiadowcy Ziemian wypatrzyli wioskę. Był to niewielki fort graniczny otoczony zagrodami, w których przetrzymywano dzikie gueny z północnej wyżyny. Raz do roku okoliczni mieszkańcy urządzali polowanie, po którym złapane zwierzęta segregowano, a dwulatki po pospiesznym przeszkoleniu, sprzedawano w głąb lądu. Teraz zagrody były przepełnione. Hansu zdecydował, że jako kawaleria będą mieli większe szansę, kombatanci skierowali się więc na wieś szeroką tyralierą.

Rozdział X

Nad morze

Kiedy horda zbliżała się półkolem do zabudowań, dostrzeżono pierwszy ślad życia, nie licząc guenów zgromadzonych w zagrodach. W ich kierunku zmierzała grupa Llorów. Część z nich jechała wierzchem, inni biegli z tyłu. Jeździec na czele gorączkowo wymachiwał sporządzoną naprędce białą flagą.

Pamiętając los Yorke'a i jego oficerów, ani Hansu, ani nikt z jego ludzi nie kwapił się do opuszczenia kryjówek, które zajęli na widok grupy. Najwyraźniej zaskoczony tym przywódca Llorów zatrzymał swego guena i usiadł na ziemi, nie przestając wymachiwać flagą w kierunku nielicznych widocznych krzewów i drzew. Pozostali przysiedli za nim, starając się obserwować na raz wszystkie strony.

— Panowie, wojownicy z Terry — krzyknął przywódca, zwracając się ku pustemu krajobrazowi. Charakterystycznie przeciągał słowa, tak że „Terra” zabrzmiała jak „terror”.

Nie podnosząc się z ziemi Hansu odpowiedział mu:

— Czego pragniesz, corbanie? — używając honorowego tytułu nadawanego burmistrzowi miasta.

— Czego pragniecie wy, wojownicy z Terry? — odkrzyknął Llor. Przekazał flagę jednemu ze swych towarzyszy i usiadł na skrzyżowanych nogach z rękami na udach, zwrócony twarzą w kierunku, skąd dobiegł go głos Hansu. — Czy przynosicie nam wojnę?

— Prowadzimy walkę jedynie, kiedy zostaniemy do niej wyzwani. Tam, gdzie w otwartych dłoniach nie ma mieczy, my również mamy puste ręce. Chcemy wrócić do naszych domów.

Llor porzucił wierzchowca i pieszo ruszył w kierunku linii Ziemi. Jeden z jego ludzi starał się go powstrzymać, ale został odepchnięty. Fronianin szedł naprzód z ostentacyjnie uniesionymi w górę rękami.

— Moje dłonie są otwarte, panie. Nie stoję na waszej drodze do domu.

Hansu powstał, żeby się z nim spotkać. On także uniósł w górę ręce.

— Wobec tego czego chcesz, corbanie?

— Słowa honoru, że moja wieś nie zostanie wdeptana w błoto, że krew moich ludzi nie będzie ściekała z waszych mieczy, wojowniku.

— Czyż to nie wy wypowiedzieliście nam wojnę?

— Panie, cóż wspólnego mają maluczcy jak my ze sprawami możnych panów i gatanu? Ten, kto zasiada na skrzydlatym tronie, niewiele ma wspólnego z nami. Zawsze znajdzie ludzi, którzy zbiorą należną mu daninę, kimkolwiek będzie. Naszym jedynym życzeniem jest żyć i nie odchodzić przedwcześnie do krainy ciemnych mgieł. Wiele słyszeliśmy o was, przybysze z innych światów. Wiemy, że niszcycie ogniem tych, którzy odmawiają wam, czego pragniecie. Dlatego wyszedłem paktować z wami i błagać o zmiłowanie dla tej wioski. Wasze jest ziarno i owoce naszych pól i wszystko, czego zapragniecie. Również gueny, jeśli wolą waszą jest opustoszenie naszych zagród. Bierzcie, co chcecie, i odejdźcie w pokoju!

— A co będzie, jeśli zjawią się tu ludzie gatanu i powiedzą:

„Nakarmiliście wrogów naszych i daliście im gueny. Czyżbyście trzymali ich stronę?” Corban potrząsnął głową.

— Jakże mogliby coś takiego powiedzieć? Przecież to wy stanowicie armię wyszkoloną do dziwnej i straszliwej walki. Cała Fronn wie, że nic nie może się wam przeciwstawić. Walczycie przecież nie tylko mieczem, zgodnie z naszym zwyczajem,

ale i ogniem, który niszczy z dużej odległości, a także ogniem zrzucającym z nieba. Niektórzy z was poruszają się w ogromnych fortecach z metalu, leżąc bezpiecznie w ich brzuchach, przemierzając pole bitwy i miażdżąc przeciwnika. Wszyscy to wiedzą! Tak więc ludzie gatanu nie wierzą, że wiejska straż mogła przeciwstawić się waszej sile i odmówić wam czegokolwiek. Dlatego błagam cię, panie, bierzcie co chcecie i odejdźcie, zostawiając nas przy życiu!

— Widziałeś fortece Ziemiaków, które pełzną przez pola, i maszyny latające po niebie?

— Nie na własne oczy, panie. Jestem bowiem człowiekiem z prowincji, choć jestem też corbanem ludzi, którzy nie boją się pieszo polować na ttorę ani wypędzać gueny z hal. Jednak na południu wszyscy widzieli te cuda i wieści o nich dotarły aż do naszych uszu.

— Więc można je spotkać w okolicach Tharc?

— Tak, panie. Jest tam teraz wiele waszych wspaniałych maszyn. Czy chcesz do nich dołączyć? To dobrze. Błagam cię jednak, bierz co chcesz i odejdź.

Hansu opuścił ręce.

— W porządku. Nie napadniemy na twoją wioskę, corbanie. Przyślij nam zaopatrzenie i sto guenów przygotowanych pod wierzch. Nie myśl też, że można nas oszukać i dać dzikie zwierzęta. Gdybyś tego próbował, sami przyjdziemy i wybierzemy odpowiednie.

Corban uniósł dłonie do piersi, a potem do czoła w pozdrowieniu, jakie wasal składa swemu panu.

— Wojownik, będzie, jak każesz. Złożymy ci kontrybucję i dziękujemy za wspaniałomyślność.

Grupa Llorów wróciła do wioski. Hansu przedstawił hordzie sytuację.

— ...i tak to w sumie wygląda. Zgodnie z tym, co usłyszałem od tego faceta, w Tharc musi stacjonować cały legion mechów. Mają ciężką broń i skrzydła.

— A co z prawem rozejmu — krzyknął ktoś z szeregu.

— Spójrzmy prawdzie w oczy. Prawo rozejmu zostało złamane, kiedy zabili Yorke'a i pozostałych. Mechowie nie działają sami, nie mogliby sprowadzić tu ciężkiego sprzętu bez pomocy, i to w takiej ilości. Wierzą, że w każdej chwili mogą nas zniszczyć. Nie obchodzi mnie, jak silne poparcie mają ci zdrajcy — boją się, żeby wiadomość o ich czynach nie dostała się do Primi. Dlatego przede wszystkim będą się starali odciąć nas od statków w Tharc.

Odcięci od Tharc, zabutelkowani na Fronn, zatrzymani tu na zawsze. Kana obserwował, jak niepewność malująca się początkowo na twarzach otaczających go żołnierzy zaczyna zamieniać się w inny wyraz: ponure zdecydowanie. Przez pokolenia słabeusze byli eliminowani z rodu wojowników. Najemnicy byli z natury rzeczy fatalistami. Niewielu dożywało emerytury czy nawet przejścia do służby administracyjnej w bazie. Do końca walczyli o wiele przegranych spraw. Tym razem jednak stanęli wobec zupełnie nowej sytuacji: reguły, które traktowali jak wyznacznik wiary, zostały brutalnie pogwałcone. Ktoś musi za to zapłacić!

— Dopadniemy ich! — słowa zginęły w ogólnym pomruku poparcia.

Hansu uciszył ich gestem.

— Nie jesteśmy sami — przypomniał im. — Kiedy zasady walki zostaną tutaj złamane, co się dalej stanie? Inni zaczną również wystawiać mechów przeciw archom.

Nie musiał mówić nic więcej. Wszyscy wiedzieli, co to może oznaczać — zabójczą wojnę domową prowadzoną na setkach planet, oddziały Ziemiaków walczące przeciw sobie, wybijające się nawzajem, wykrwawiające swój własny świat...

— Trzeba to powstrzymać tu i teraz. Jedna wiadomość do centrum operacyjnego i

tak się stanie!

— Nie mamy szans przeciw ciężkiej broni! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Nawet nie będziemy próbować, ale musimy wysłać posłańca na Secundusa lub do Primy. Reszta musi się tu gdzieś zaszyć i czekać na akcję z zewnątrz.

— W górach? — pytanie nie zabrzmiało zbyt entuzjastycznie. Naprawdę mieli już dość frońskich gór.

Hansu potrząsnął przecząco głową. — Mamy inne wyjście. Najpierw musimy się dokładnie przekonać, co się tu dzieje. Teraz rozbijcie obóz. Mistrzowie miecza, zwiadowcy, zgłóście się do mnie.

Ruszyli do obowiązków. Kana dołączył do grupy wywołanej przez dowódcę. Hansu czekał na nich przy wozie. Rozłożył na nim podniszczoną mapę i wpatrywał się w błękitne linie przecinające jej powierzchnię we wszystkich kierunkach.

— Bogate — zwrócił się do dowódcy zwiadu — kiedy corban przybędzie tu z zaopatrzeniem, przyprowadź go do mnie. Ci łowcy guenów na pewno doskonale znają teren w zasięgu wielu mil. Potrzebne będą wszelkie informacje, jakie uda się od nich zdobyć. Mechowie nie mogą działać na wyżynach, więc my musimy się ich trzymać.

— Ale wokół Tharc są tylko otwarte przestrzenie — sprzeciwił się jeden z oficerów.

— Wcale nie pójdziemy do Tharc. Oni tylko na to czekają.

— Jedyne port kosmiczny...

Hansu natychmiast go poprawił — Jedyne wojskowy port kosmiczny jest w Tharc. Nie zapominaj o Venturich!

Wargi Kany ułożyły się do bezgłośnego gwizdnięcia. Dowódca miał rację: Venturi! Jako dziedziczni handlarze na Fronn mieli oni własne ośrodki także na starym lądzie. Niedaleko od wybrzeża morza zachodniego było niewielkie lądowisko statków kosmicznych, wykorzystywane przez nielicznych obcych handlowców, którym udało się nawiązać z nimi kontakty i ograniczoną wymianę towarów — głównie egzotycznych nowości — które frońscy kupcy sprzedawali z ogromnym zyskiem. Dotarcie tam i opanowanie jednego ze statków handlowych dawało większą szansę powodzenia niż próba przebiccia się do kosmodromu w Tharc, który zamienił się w śmiertelną pułapkę.

— Niedaleko terenów Venturich przy Po'ult jest port kosmiczny — wyjaśnił Hansu. — Nie ma tam regularnego rozkładu lotów, ale handlarze z kosmosu czasem tam lądują. Może uda nam się zawrzeć układ z Venturimi i dadzą nam schronienie. Jeśli ruszymy prosto na zachód, dojdziemy do morza niedaleko Po'ult.

Corban chętnie służył wszelkimi wskazówkami, które mogły pomóc w wyprowadzeniu niebezpiecznych Ziemian z jego terytorium. Klęcząc nad mapą w towarzystwie swych dwóch najlepszych łowców guenów, zadał wreszcie pytanie, na które Hansu musiał szybko znaleźć przekonującą odpowiedź.

— Dlaczego, panie, musicie poszukiwać drugi przez ten dziki rejon? Trakt na południe jest szeroki i gładki, a tam oczekują was wasi bracia.

— Naszym życzeniem jest złożyć wizytę Venturim z wybrzeża. Nie chcemy iść tam utartymi szlakami.

Niewielkie okrągłe usta Llora ułożyły się w coś na kształt frońskiego uśmiechu.

— Ha! Więc to prawda, co przekazywały plotki, że nadchodzi dzień rozrachunku z nimi? Kapturowcy przestaną dominować na szlakach i przestaną być jedynymi kupcami i sprzedawcami, przenoszącymi towary od wioski do wioski! To bardzo dobrze, panie. Zniszczcie forty Venturich nad morzem, jeśli potraficie, a wszyscy Llorowie będą wychwalać was przed władcą wichrów. Kiedy one padną, każdy dostanie swój łup.

Zwrócił się do mapy z nowym entuzjazmem:

— Tędy wiedzie ścieżka między zachodnimi górami, gdzie mogą być Cosowie. Czymże jednak są dla was Cosowie, możecie zmieść ich ze swej drogi jak my zmiotamy żuki fas-fas z naszych podłóg. Ta ścieżka zaprowadzi was bezpośrednio nad morze przy Po'ult. Udanych łowów, wojownika!

— Oby takie były — odpowiedział mu Hansu. Podniósł palce w potrójnym znaku, odwołując się do duchów powietrza, ognia i wody, z którymi na Fronn trzeba się konsultować przed każdym poważniejszym przedsięwzięciem.

Corban rozkrochmalił się jeszcze bardziej i osobiście obejrzał gueny, które jego ziomkowie przypędzili z wioskowych zagród. Ku zdumieniu swych podwładnych odrzucił dziesięć zwierząt, na których jego ludzie chcieli sporo zarobić, licząc na ignorancję Ziemian, gdyż Hansu uparł się, że nie weźmie wierzchowców za darmo. Wieczorem corban wydał ucztę z przepychem godnym chortwy prowincji. Przyszłym pogromcom Venturich nie mogło niczego zabraknąć. Przydzielił też hordzie grupkę przewodników spośród najsilniejszych i najdalej zapędzających się łowców, którzy mieli towarzyszyć Ziemianom do podnóża zachodnich gór.

Wierzchem była to półtoradniowa podróż, zwłaszcza że Hansu wyciskał z nich ostatnie poty i narzucił niesamowite tempo, pragnąc jak najszybciej opuścić równinę, gdzie łatwo mogli zostać dostrzeżeni przez patrol mechów.

Trzeciego dnia rankiem, kiedy weszli głęboko w góry, zauważyli zniknięcie przewodników. W oddali za nimi w powietrze wznosiły się kłęby dymu. Łowcy podpalili równinę, zapędzając dzikie gueny w pułapkę. Hansu przyglądał się temu z zadowoleniem — ogień zatrze ich ślady; może również dlatego Llorowie go rozpalili.

Rozpoczęła się kolejna mordercza wspinaczka i ciągła ostrożność, gotowość do odparcia zaskakującego ataku. Chociaż łowcy guenów twierdzili, że szlak wiedzie granicą terytorium Cosów i że górale niezwykle rzadko niepokoiłi przechodzące nim karawany, nie mogli być pewni, że nie zostaną znieścacka zaatakowani. Llorowie nie wiedzieli, czy Venturi mieli jakiś układ z Cosami, który gwarantował im bezpieczeństwo. Mimo wszystko Ziemianom nie pozostawało nic innego, jak iść naprzód.

Szlak był oznakowany wąskimi kamiennymi słupami postawionymi przez Venturich z nieczytelnymi dla postronnych piktogramami. Przeznaczony był dla karawan guenów. Noc spędzili bez ognisk, w małych grupkach strzeżonych przez warty. Godziny nocne minęły jednak bez alarmów, nie dostrzegli też żadnych świateł na szczytach.

Przez większość tego dnia Kana trzymał się blisko Hansu i teraz, zawinięty w koc, ułożył się pod skałą starając złapać nieco snu, podczas gdy dowódca siedział niedaleko, przyjmując raporty zwiadowców.

— ...żadnych paktów z mechami?

— Absolutnie. — Zdecydowany ton głosu dowódcy obudził go całkowicie. — Mills powiedział, że dowodzi nimi Hart Device.

— Device! Stale myślę, że Deke musiał się pomylić. Device by nie zdradził.

— I w tym rzecz, Bogate. Jeżeli Device dowodzi w Tharc — a nie widzę powodu, żeby nie wierzyć informacji, którą Mills przekazał nam takim kosztem — to nie chodzi tu o zdradę pojedynczego legionu. Hart Device jest nowym przywódcą, podobnie jak i Yorke. Jego legion jest niewielki, lecz mocny, dobrze wyposażony, a Hart ma opinię zwycięzcy. Założę się o połowę rocznego żołdu, że ma wielu weteranów, zresztą jak i my. Zastanawiam się tylko... — nie dokończył.

Mimo zmęczenia Kana domyślił się, co Hansu chciał powiedzieć. Legion i horda złożone ze świetnie przygotowanych do walki ludzi w śmiertelnej walce przeciw sobie. Bez względu na to, kto będzie ostatecznym zwycięzcą, krew poleje się szerokim strumieniem. Wielu weteranów zostanie wyeliminowanych. Wszystko

zaczynało się układać w pewną całość, która nie należała do najpiękniejszych.

— Kiedy reguły są łamane — powiedział Bogate w zamyśleniu — cena jest wysoka! Archowie nie mają szansy!

— Nie, jeśli chodzi o tradycyjną walkę. Trzeba zacząć walczyć inaczej.

— Jednak jesteśmy żołnierzami, Hansu.

— Oczywiście. Tyle że żadna zasada nie mówi, z kim lub z czym mamy walczyć — zabrzmiało to, jakby dowódca głośno się zastanawiał.

— Tak czy siak, mamy teraz jedno zadanie — Bogate wstał. — Wydostać się z tych cholernych gór i spotkać z Venturimi. Będziemy z nimi walczyć, sir?

— Nie, jeśli nie będzie to konieczne. Może powitają nas z otwartymi ramionami, jeżeli to, o czym wspominał corban, jest prawdą i Llorowie rzeczywiście zwrócili się przeciw nim. Ich terytorium jest zbyt górzyste dla mechów. Po'ult zbudowali na wyspie — to niedosiężna skała wyrastająca prosto z wody. Mają własne sposoby, żeby dostać się na brzeg, i nie można go zdobyć ciężkim sprzętem.

— Dobre miejsce dla nas na kryjówkę, jeżeli się na to zgodzą.

— O to właśnie musimy się postarać, Bogate. Jeśli uda nam się ich przekonać, że mamy wspólnego wroga, może przyłączą się do wojny. Rano jak zwykle wyjdź na zwiad.

— Tak jest, sir.

O świcie rozpoczęła się dalsza podróż. Wzdłuż szlaku zalegały płaty śniegu, które z czasem zaczęły łączyć się w śnieżne pole i zakrywać drogę zaspami na tyle głębokimi, że ludzie musieli przecierać trakt dla szczupłonogich guenów. Tracili niektóre zwierzęta, bowiem dzikie, świeżo złapane wierzchowce nie były zahartowane do takich trudów. Stracili też ostatni wóz, a z nim jednego z medyków, który nie zdążył wypłatać się z uprzęży i został pociągnięty w głęboką rozpadlinę.

— Alarm! — przeraźliwy świst gwizdka bojowego automatycznie zmusił skostniałe dłonie do chwycenia strzelb w gotowości do strzału. Był to pierwszy alarm od czasu bitwy o fort. Tym razem jednak nie mieli przeciw sobie Cosów, lecz grupę uciekających Llorów, desperacko starających się przedrzeć przez ich szeregi z powrotem na niziny w bezpieczne miejsce. Z powodu tej desperacji atakowali bez żadnych środków ostrożności.

Walka była krótka, a tylna straż hordy nie miała nawet okazji do oddania strzału. Wszyscy Llorowie zostali wybici.

Wyczerpani zmaganiem i marszem przez zasy śniegu Ziemianie zatrzymali się wcześniej na noc tuż na skraju pobojowiska. Niesiony wiatrem śnieg zakrył ciała poległych, a żołnierze, którzy mieli dość sił, by utrzymać się na nogach, starali się nie dopuścić do zamarznięcia swoich rannych.

— Banda napastników została przepędzona do domu — ocenił Mic dziki atak Llorów. — Wygląda na to, że idziemy prosto w ogień, który ktoś inny rozniecił. Musimy mieć nadzieję, że Venturi nie uznają nas za ich sprzymierzeńców. Rey natarł policzki garścią śniegu. — Ani chwili nudy. — Kaszel wstrząsał całym jego ciałem. — Kiedy następnym razem będę miał jakieś przecucia w związku z zaciągami, na pewno ich posłucham! Koszary rekrutacyjne to prawdziwy raj. Po cholerę w ogóle wyleciałem z Secundusa? Kana rozcierał dłonie, żeby je choć trochę rozgrzać. Secundus — wydawało się, że to było daleko i dawno. Czy naprawdę kiedykolwiek objadał się pysznościami w komnacie, na której ścianach trzepotały skrzydłami płomieniste ptaki? A może to był tylko sen, a ten koszmar to twarda rzeczywistość?

— Będziemy się przez to gramolić — Mic kopnął zaspę — aż zagrzebiemy się po same czubki głów. Potem odnajdą nas czyściutkich i sztywnych i wyeksportują jako okazy tutejszej sztuki.

— Czy ci Llorowie uciekali po potyczce z Venturimi? — zastanawiał się Rey

głośno. — Wyglądali, jakby mieli niezłego pietra. Pamiętacie tę sprawę ze szpiegiem tuż po wyjściu z Tharc? Nie pozwolono nam nawet dotknąć handlarzy. Nawet kiedy został wykryty, Llorowie nie mieli do karawaniarzy najmniejszych pretensji.

— Llorowie są teraz przekonani, że będą dominować na Fronn — powiedział Kana. — Musieli od dawta nienawidzić Venturich i teraz chcą się im odplącić. Idziesz jutro na zwiad, Rey?

— Idę. Musiałem kiedyś nieźle nagrzeszyć. A ty?

— Podobnie.

Mic rozcierał gojące się powoli ramię. — Te góry dają nam nieźle popalić. Za każdym razem, kiedy się na nie drapiemy, mamy pecha. Najpierw straciliśmy pięćdziesięciu, teraz dwudziestu, no i ilu jest rannych.

— Nie jest tak źle, jak wtedy, gdy zbombardowało nas skrzydło — przypomniał mu Rey. — Mielśmy z kim walczyć twarzą w twarz.

— Wiem, wiem. Poczekajmy, co powiesz po powrocie ze zwiadu, ty długonogi byllu!

— To jest jakiś pomysł — Rey przestał nacierać szczękę śniegiem. — Gdyby dało się złapać, powiedzmy, ze dwadzieścia tych ptaków i odpowiednio je wyszkolić, tak jak futrzaki wyszkoliły swoje horki. Atakują bezgłośnie, prawda? — zwrócił się do Kany jako autorytetu w tych sprawach. — Można by postawić je na tropach wroga i wio! W tym terenie to lepsze od ciężkich czółgów mechów.

— A kto je będzie łapać i szkolić? — zaczął Mic, kiedy z ciemności wyłonił się jakiś arch.

— Karr?

— Tutaj!

— Zgłoś się do dowódcy.

Kana ruszył do półotwartej groty pod przewieszoną skałą, gdzie ulokował się Hansu. Błękitna poświata zdobyczej pochodni Llorów nadawała niesamowity wygląd twarzom zgromadzonych wokół niej ludzi. Jedna z postaci w ogóle pozbawiona była twarzy — zakrywał ją czarny kaptur Venturich.

— Siadaj, Karr — Kana wcisnął się pod skalny okap a dowódca znów zwrócił się do zakapturzonej istoty.

— Czy ten się nada?

Otulona tkaniną głowa poruszyła się. Dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Kana czuł na sobie badawcze spojrzenie oczu schowanych za maską. Potem handlarz wykonał gest przypominający bardziej gwałtowne szarpnięcie niż ziemskie skinienie głową.

— Ten Venturi był więźniem oddziału Llorów — wyjaśnił Hansu. — Wraca teraz do swoich i ty będziesz mu towarzyszył, żeby nawiązać kontakt. Potrzebujemy bazy, szansy ukrycia, do czasu, aż uda nam się powiadomić Secundusa. Rób, co uznasz za najwłaściwsze, Karr. Jesteś jedynym przeszkolonym do nawiązywania pierwszych kontaktów, jaki nam pozostał. Zawrzyj z nimi możliwie najlepszy układ. Przekonaj ich, że Llorowie są do nas równie wrogo nastawieni jak do nich i przekaz ich przywódcom, co powiedział nam corban.

— Tak jest, sir.

Hansu zerknął na zegarek.

— Weź racje żywnościowe i dodatkową amunicję. Nie mamy pojęcia, ile jeszcze drogi pozostało nam do Po'ult, mapa nie jest dokładna. I pamiętaj — zawahał się, wpatrując się głęboko w oczy Kany — że musimy mieć tę bazę!

— Tak jest, sir.

Rozdział XI

Wietrzny rozejm

Szlak prowadził szeroką półką skalną, z której nocne wiatry zwiały śnieg. Poniżej ciągnęło się zbcze porośnięte szarozielonymi powykręcanyimi drzewami i szare skały, o które rozbijały się potężne fale morskie zachodniego wybrzeża.

Kana zwalniał kroku wpatrując się w bezkresny ocean. Ponad wąską cieśniną kołowały w powietrzu skrzydlate stworzenia, co raz to nurkując i wrzeszcząc przeraźliwie w poszukiwaniu kąsków wyrzucanych przez fale. Poza tym krajobraz wydawał się zupełnie pozbawiony życia.

Słońce kryło się za ciężkimi chmurami, nadającymi okolicy jeszcze bardziej ponury i niedostępny wygląd.

— My iść.

Kana ruszył szybszym krokiem. Od pięciu godzin, które upłynęły od wymarszu, były to pierwsze słowa wypowiedziane przez Venturiego. Teraz kupiec pochylał się niecierpliwie na krańcu półki, gotując się do zejścia na poziom morza. Na ścieżce widoczne były ślady ucieczki Llorów sprzed dwudziestu paru godzin, lecz nie było nic, co sugerowałoby pogoń.

Mimo że po drodze mijali miejsca jakby stworzone do obrony, nikogo nie spotkali. Można było odnieść wrażenie, że handlarze nie mieli wcale zamiaru bronić swego terytorium.

Kana z wysiłkiem zszedł po stoku na szeroką gładką drogę wijącą się wzdłuż brzegu. Po paru minutach trafili na strażnika Venturich.

Przez chwilę strażnik konferował z przewodnikiem, a Kana starał się trzymać z boku, nie zakłócając prywatności tej rozmowy. Dołączył do nich dopiero zachęcony gestem ręki w rękawicy wskazującym wejście do małego budynku. Venturi wypchnęli z niego pojazd mechaniczny, pierwszy jaki Kana zobaczył na Fronn. Była to zaledwie trójkątna metalowa płyta z kołami na rogach, bez widocznego silnika. Przewodnik usiadł na jej czubku i kazał Kanie zająć miejsce na szerszej części za sobą. Ledwie Ziemianin zdążył oderwać nogi od ziemi, kiedy pojazd ruszył. Nie poruszali się tak szybko jak w ziemskich pojazdach, prędzej jednak, niż mogliby maszerować.

Nigdzie nie było śladu wojskowych patroli. Wyparłszy Llorów w góry Venturi czuli się bezpieczni, co mogło świadczyć, że dysponują jakąś siłą, której całkowicie ufają.

Droga wiła się zgodnie z naturalnym kształtem linii brzegowej. Za jednym z niezliczonych zakrętów pojawił się port Venturich.

W tym miejscu morze wdzierało się w ład półkolistą zatoką, tworząc naturalny port, w którym kupcy wybudowali kilka przystani. Na brzegu tłoczyły się wysokie pozbawione okien budynki wyglądające na magazyny i składy handlowe. Kiedy zbliżyli się do nich, Kana dostrzegł pierwsze oznaki niedawnej bitwy, jednak wszyscy widoczni Venturi bez pośpiechu i nerwowości zajmowali się swoimi zadaniami. Z dziwnych statków zacumowanych przy nabrzeżach płynął równomiernie strumień towarów, a może odwrotnie?

Kiedy pojazd zatrzymał się, Ziemianin mógł lepiej przyjrzeć się kopulastym nadbudówkom statków, które upodabniały je do gigantycznych zółwi. Jednak ładunki transportowano na statki, a nie wyladowywano z nich! Sunęły spokojnie na płaskich platformach i ginęły w ładowniach. Handlarze opróżniali magazyny. Nosiło to wszelkie znamiona uporządkowanej ewakuacji.

— Chodź.

Ponownie jego venturiański towarzysz popędzał go. Szli przez labirynt uliczek między budynkami, czasami odskakując pod ściany, żeby przepuścić wózki wyładowane pakunkami. Wreszcie doszli do mniejszej budowli położonej tak blisko morza, że fale obmywały jej zewnętrzne mury. Dzień był mroczny i szary, lecz we wnętrzu budynku było jeszcze ciemniej. Kana zmrużył oczy i poczuł, że ktoś chwyta go za rękę. Dał się zaciągnąć na koniec korytarza. Kiedy Venturi zatrzymał się przed solidną ścianą, ta rozsunęła się, wpuszczając na korytarz zielonkawą poświatę.

Kana rozglądał się wokół siebie z ciekawością, której nie próbował skrywać. Ściany sali zbliżały się do siebie hakowate, tworząc kopułę. Grube materace stanowiły siedzenia dla trzech Venturich, przed którymi stały niskie stoliki. Jedna ze ścian, ta po lewej stronie, była zastawiona różnymi aparatami, przy których demontażu uwijało się kilka zakapturzonych postaci. Kiedy Ziemianin znalazł się wewnątrz, przzerwali pracę i bezgłośnie opuścili pomieszczenie, pozostawiając go sam na sam z siedzącą trójką.

Ci również byli zajęci sortowaniem stosów cienkich matowych płytek, wybierając niektóre do dalszego przechowywania w metalowej skrzyni, resztę odrzucając na podłogę. Kana domyślił się, że są to rachunki.

Kupiec, który sprowadził go z gór, złożył raport. Odbywało się to niemal bezgłośnie, jak gdyby Venturi nie komunikowali się między sobą wyłącznie za pomocą głosu. Kiedy skończył, wszystkie zakapturzone głowy zwróciły się ku Kanie. Wahał się, nie wiedząc, czy wypada mu przemówić pierwszemu. Tyle zależało od dobrego wrażenia. Gdyby tylko mógł dostrzec ich twarze.

— Nie jesteś z tego świata?

Potrzebował sekundy, żeby zorientować się, do której z zamaskowanych postaci należał ten głos. Uznał, że do siedzącego pośrodku, i do niego się też zwrócił.

— Jestem z Terry. Żołnierz z Terry.

— Dlaczego znalazłeś się tutaj?

— Llor Skura sprowadził nas tu, żebyśmy dla niego walczyli. Skura zginął. Teraz chcemy jedynie powrócić do naszego świata.

— Wojna Llorów. — Nie był pewien, czy tylko to sobie wyobraził, czy też rzeczywiście w głosie wyczuł chłód.

— Już dla nich nie walczymy. Walczymy przeciw nim. Chcą nas zniszczyć.

— Czego oczekujecie od nas?

— Miejsca, gdzie moglibyśmy się schować, zanim znajdziemy jakiś statek kosmiczny.

— W Tharc jest ich dostatek.

— W Tharc są również nasi wrogowie. Nie pozwolą nam wejść na te statki.

— Ale ci, którzy są w Tharc, również przybyli z Terry. Walczyście z istotami z waszej rasy?

— To złoczyńcy, którzy złamali nasze prawa. Chcą zachować to w tajemnicy przed naszymi władcami. Gdybyśmy mogli wrócić z dowodami ich zdrady, zostaną ukarani.

— Tylko w Tharc są takie statki — upierał się Venturi.

— Słyszeliśmy, że w pobliżu Po'ult jest miejsce, gdzie lądują gwiazdne statki obcych kupców — przekonywał Kana z rosnącą desperacją. Hansu sam powinien był starać się ich przekonać. Czuł, że on nie wywiera na nich najmniejszego wrażenia.

— Kupcy nie przewożą wojowników, kupcy nie walczą.

— A jednak spotkaliśmy w górach Llorów uciekających po bitwie z kupcami, których nie chcą już widzieć na swych równinach. O nie, mistrzu, nadchodzi chwila, kiedy nawet wy zostaniecie zmuszeni do obnażenia mieczy i wykorzystania strzelby we własnej obronie. Rozmawialiśmy z corbanem Llorów, który zapowiedział zdobycie waszych stanic na stałym lądzie, wierzył, że nadejdzie dzień, kiedy Venturi przestaną władać szlakami karawan. Ci, którzy do tego dążą, będą chcieli osiągnąć to

mieczem. Oni są również naszymi wrogami! Jesteśmy wojownikami, od dzieciństwa zaprawionymi w walce. Ci, którym służą nasze miecze, śpią spokojnie w nocy. Panie, jeżeli plotki niosą choćby cień prawdy, będziecie potrzebować sojuszników.

Zakapturzona postać nieznacznie zmieniła pozycję, jakby próbowała odpowiedzieć na to wzruszeniem ramion.

— Jesteśmy istotami morza. Llorowie nic o nim nie wiedzą. Jeśli zachowamy swe siedziby, po cóż nam miecze? Wkrótce mieszkańcy kontynentu przekonają się, że popełnili błąd.

— Gdybyście mieli do czynienia jedynie z Llorami, miałbyś panie rację, jednak oni korzystają z pomocy innych. Ziemianie, którzy zdradzili, nie walczą tak jak my: strzelba przeciw strzelbie, miecz z mieczem. Mają potężne maszyny, które robią to, co oni zechcą, walczą także z nieba, zrzucając ogień na tych, których chcą zniszczyć. Nie ma sposobu, żeby powstrzymać atak z powietrza. Powiedz sam, mistrzu, czyż nie ma przybyszów z innych planet, którzy z radością przyjęliby upadek waszego handlowego monopolu na Fronn? Oni wesprą w walce każdego, kto obieca spełnić ich żądania.

Nie mieli gotowej odpowiedzi na to pytanie, toteż w sercu Kany zatliła się iskierka nadziei. Jeżeli Venturi opuściliby swe bazy na kontynencie i przygotowali się do wycofania do swych wyspowych twierdz na czas nieokreślony, wówczas horda znalazłaby się na wybrzeżu w kolejnej pułapce. Jedyne, co mu pozostało — jedyne co im pozostało — to uzyskanie choćby niechętnego wsparcia kupców, zanim zdążą zaszyć się w swych kryjówkach.

— Słyszeliśmy już o rzeczach, które nam przedstawiasz. Widziano powietrzne maszyny. Uważasz, że mogą nas śledzić nawet na otwartym oceanie, gdzie żaden Llor nie odważy się skierować swego statku?

— Jestem o tym przekonany, mistrzu. Pokój opuścił Fronn i nadszedł czas, kiedy wszyscy jej mieszkańcy zostaną zmuszeni wybrać wojownika, pod którego skrzydłami będą walczyć. Te samoloty i czołgi zostały tu sprowadzone wbrew prawu. Kiedy ludzie decydują się łamać to prawo, które jest na tyle silne, żeby można je wyegzekwować, robią to, rozważając wszelkie za i przeciw, tak jak wy to robicie, wążąc ryzyko względem spodziewanych zysków. Teraz chcą zdominować ten świat. Jeżeli im się to uda, któż będzie się martwił o Venturich? Zostaniecie zniszczeni i wszyscy zapomną o waszym handlowym imperium!

Środkowy Venturi podniósł się. Zaszeleściły szaty, wykonane z innego materiału niż ubiory karawaniarzy.

— My nie jesteśmy z tych, którzy zawierają układy lub zadają się z władcami — powiedział stanowczo — lecz słowa, które tu wypowiedziałeś, dotrą do naszej starszyny w Po'ult. Możemy zgodzić się najwyżej na jedno — sprowadźcie swoich ludzi tutaj, do przystani Po'ult. Niech tu przeczekają czas wielkich burz, aż nasi starsi zdecydują co dalej, ponieważ my dziś opuszczamy ten rejon. Powiedział to Falt'u'th i niech tak zostanie to zanotowane.

Pomruki pozostałych świadczyły, że w pełni zgadzają się z przywódcą. Przewodnik Kany dał mu znak, żeby się wycofał. Podniósł rękę w pozdrowieniu i Kana uczynił to samo. Przywódca Venturich skinął głową. Kiedy Ziemianin wychodził z komnaty, ludzie rozbierający ścianę z aparatami natychmiast powrócili do pracy.

Gościnność Venturich nie była zbyt nachalna. Kana został natychmiast odtransportowany poza przystań Po'ult i kiedy trójkątny wózek wyjechał poza osadę, zauważył, że jeden z żółwiastych statków opuścił port. W połowie zatoki zanurzył się powoli, aż na powierzchni pozostał jedynie czubek półkulistej nadbudówki, który zwrócił się ku otwartemu morzu.

O zmroku Kana i jego venturiański przewodnik dotarli do wartowni, gdzie Ziemianin z wdzięcznością zauważył, że kupiec zamierza spędzić tu noc. Żołnierz został wprowadzony do pomieszczenia bez okien, jedna jego ściana świeciła zielonkawym światłem. Pomieszczenie wyposażone było w maty, które mogły służyć równie dobrze za łóżka, jak i za siedzenia. Kana zjadł swoją rację żywnościową i zwinął się w kłębek na macie, czując jak ogarnia go znużenie.

Rano dano mu wyraźnie do zrozumienia, że posterunek był uznawany za granicę ich terytorium i odpowiedzialności za niego. Odtąd miał wracać do hordy samodzielnie. Lecz teraz blade światło słoneczne rozjaśniło krajobraz i w miarę zbliżania się do obozowiska hordy, Kana czuł się coraz lepiej. W końcu nawet jeżeli kupcy nie udostępniliby Po'ult Ziemianom, pozwolili im skorzystać z portu na wybrzeżu. Leżał on niezbyt daleko od lądowiska, o którym mówił Hansu. Musieli teraz oczekiwać przylotu statku kosmicznych handlarzy.

Optymizm Kany wzrastał ze zbliżaniem się do hordy i ubarwił raport, jaki złożył Hansu jeszcze przed południem.

— Czy dali ci do zrozumienia, kiedy możemy spodziewać się ostatecznej decyzji?
— przyszpilił go dowódca.

— Nie, sir. Ewakuowali się z portu wycofując do swych morskich twierdz. Wydaje się, że chcą przeczekać w nich kłopoty.

— Jeszcze nie widziałem, aby neutralny naród coś dla siebie wygrał, zwłaszcza jeśli posiada coś potrzebnego wrogowi. Nie możemy jednak z nimi dyskutować. Na razie skorzystamy z portu lądowego.

Kiedy' szpica hordy dotarła do pierwszego posterunku portowego, wartowników już w nim nie było. Sam port był również zupełnie opustoszały. Na wąskich uliczkach między magazynami nie było nikogo prócz Ziemian. Żółwiaste statki zniknęły, kopuła ostatniego przecinała wodę przy wyjściu z zatoki. W porcie nie został ani jeden Venturi. Zniknęły też wszelkie ślady po ich towarach.

Hansu rozstawił strażę, choć solidne ściany budynków mogły przeciwstawić się nawet ciężkiemu sprzętowi mechów. Na swą kwaterę dowódca wybrał dom stykający się z morzem, w którym Kana spotkał się z przywódcami Venturich. Ze ściany zniknęła cała aparatura, lecz stoliki i materace pozostały na miejscu.

Pierwszy raz od opuszczenia Tharc żołnierze spali pod dachem. Stało się to akurat na czas, gdyż narastająca wichura niosła zapowiedź potęgi frońskich burz.

Grube ściany dzielnie stawiały czoła uderzeniom wiatru, lecz kiedy przyłożyło się do nich rękę, czuło się, jak drżą, atakowane z furią nie znaną Ziemianom. W takiej pogodzie nie musieli obawiać się ataku wroga.

Ciekawość skłoniła ich do dokładnego przeszukania nowej kwatery. Znaleźli parę porzuconych przedmiotów, zastosowania połowy z nich nie mogli się domyślić. Kana w towarzystwie Mica i Reya uzbrojeni w silne latarki otworzyli drzwi w podłodze, które odkryli w odległym korytarzu, i zeszli w dół stromymi schodami. Znaleźli się w piwnicy będącej w gruncie rzeczy grota, na której dnie woda falowała w rytmie fal na zewnątrz.

Latarka Kany oświetliła linę przywiązaną do haka w kamiennej podłodze; drugi jej koniec nikał w wodzie. Lina była naciągnięta, jakby podtrzymywała spory ciężar.

Szarpnął ją na próbę. Coś na pewno było na drugim końcu. We trójkę ciągnęli linę ze wszystkich sił, zapierając się nogami, szarpiąc, aż w kilka sekund później wyciągnęli niezwykły pojazd. Był okrągły, kopulasty jak statki Venturich, tyle że bez wieżyczki na szczycie.

— A może to bomba? — zastanawiał się Mic.

— Nie, bomby nie przywiązywaliśmy w ten sposób. — Kana przeszedł na drugi koniec. — Bardziej przypomina jednoosobową łódź ratunkową

— Odplynęli i zapomnieli o niej?
— Nie — znów zaprzeczył Kana. — Była ukryta, a więc chyba mamy tu gościa.
— Który został, żeby nas obserwować. — Mic rozejrzał się podejrzliwie po nierównych ścianach grotu. — Może też ma zastawiać na nas pułapki.
— Nie sądzę, żeby Venturi mieli taki charakter — bronił kupców Kana. — Powiedziałbym, że pozostawili obserwatora, który może nawet być naszym łącznikiem z Po'ult, jeżeli dobrze się spisujemy. Chyba jednak powinniśmy tego pilnować — kopnąć łódź. Ktokolwiek miał nią podróżować, musiał liczyć się z niezwykle ciasnotą. Na pewno nie zmieściłby się w niej żaden Ziemianin, nawet gdyby siedział nieruchomo.

Poinformowali Hansu o znalezisku i łódź została przeniesiona do górnych pomieszczeń. Jeszcze raz przeszukano wszystkie budynki portu, lecz bez rezultatu.

Rano burza nie tylko nie ustała, ale nawet się wzmogła, więc przejście z jednej budowli do drugiej stało się niemal niemożliwe.

Z jednej strony uniemożliwiało to wrogowi przeprowadzenie jakiegokolwiek ataku, z drugiej zaś nie pozwalało Ziemianom na poszukiwanie lądowiska kosmolotów, które, o czym Hansu był przekonany, musiało znajdować się gdzieś niedaleko.

Kosti zbadał znaleziony pojazd i udało mu się go otworzyć. Znalazł wąską wyściełaną kabinę, mogącą pomieścić nawigatora.

— Któż mógłby się tu zmieścić? — dziwił się Sim.

— Chyba nie człowiek — odpowiedział Kosti.

— He?

— Nikt z nas nie widział żadnego Venturiego bez szat. Skąd możemy wiedzieć, jak oni wyglądają, czy są podobni do Llorów, czy do nas? Ta kabina może być zupełnie wygodna dla niehumanoida.

Kana dokładnie obejrzał kabinę. Wyglądało na to, że była przygotowana dla niezwykle szczupłej istoty. Nie odczuwał żadnych emocji na myśl o gadach. Dawne przesady stawiające barierę między ciepło- i zimnokrwistymi istotami zanikły w erze lotów międzyplanetarnych, kiedy po konfliktach atomowych świat zaroił się od przeróżnych mutantów. Zniknęła starożytna nietolerancja dla „odmieńców”. W kosmosie żyły tysiące inteligentnych stworzeń przyrodzianych w najbardziej wymyślne ciała. Włochaci Llorowie i Cosowie mieli „ludzkie” kształty, ale mogli dzielić planetę z innym gatunkiem, który ewoluował z form pokrytych łuskami.

Może przodkiem Venturich były jaszczurki czy węże? Istniały rasy, których protoplastami były koty i inne, które porzuciły skrzydła ptasie, aby rozwinąć inteligencję i cywilizację, a jednak zarówno Yabanu, jak i Trystianie byli równoprawnymi partnerami na międzygwiazdnych szlakach. Jeśli zaś idzie o gady, istnieli przecież Zacathianie, których niesamowita wiedza zdumiewała wszechświat i którzy wydali spośród siebie najbardziej pokojowych i przestrzegających prawa uczonych.

Znając i podziwiając Zacathianów Kana przyglądał się wyściełanej kabinie bez awersji, jedynie z ciekawością. Bez znaczenia był fakt, czy ciało pokrywała gęsta sierść, łuski, czy delikatna skóra wymagająca odzieży. Venturi, z którymi miał do czynienia, nie zrobili na nim wrażenia strasznych czy obrzydliwych istot, kiedy już przyzwyczaił się do ich maskujących szat. Chciał się teraz przekonać, jak naprawdę wyglądają i dlaczego tak starannie się maskują.

Jednak właściciel łodzi ratunkowej, jeśli krył się gdzieś w zakamarkach portu, nie uczynił żadnego kroku, aby zdradzić się ze swoją obecnością. Burza ciągle trwała. Rankiem drugiego dnia Hansu pokonał niewielki dziedziniec dzielący dwa budynki i wracając został niemal przewrócony przez potężny podmuch. Kana chwycił go za

połę płaszcz i wciągnął do środka. Dowódca ciężko dyszał, zanim zdołał coś powiedzieć.

— Nic nie możemy teraz zrobić. To wiatr zachodni.

Kana przypomniał sobie wiadomości o Fronn. Wiatr zachodni to nazwa paralizującego okresu pory wietrznej, kiedy wszystko co żyło szukało schronienia, a podmuchy niosły ze sobą śmierć. Na otwartej przestrzeni nikt nie miał szans na przeżycie. Każda istota, która spróbowałaby opuścić schronienie w porcie, zostałaby porwana przez wiatr i roztrzaskana o najbliższą skałę. Mieli szczęście — w górach zginęliby na pewno.

— Teraz żaden statek z kosmosu nie próbowałby tu lądować — zauważył Kana. — Dostaliby ostrzeżenie.

Hansu skinął potakująco. Było jednak widoczne, że bezsilność działa mu na nerwy.

— Chciałbym móc spotkać się z tymi Venturi — rozejrzał się po sali, jakby chciał siłą woli sprowadzić z ukrycia obserwatora.

— Musimy być gotowi do wymarszu, jak tylko się uspokoi. Ich przyszłość zależała od pośpiechu. Gdyby dowódcy udało się umieścić posłańca w kosmolocie, zanim Hart Device zdoła ich wytropić i wysłać śmiercionośne skrzydła, mieli szansę. Tymczasem jednak wszystkie karty znajdowały się w rękach Venturich.

Rozdział XII

Do Po'ult

Bezczynność zaczęła się dawać we znaki żołnierzom. Z początku byli zadowoleni, mogąc wyspać się do woli, odbudowując zapasy energii, wyczerpane marszem przez góry. Teraz jednak snuli się po budynkach, przebiegając między nimi w momentach względnego spokoju, bądź walcząc między sobą w bezsensownych kłótniach. Hansu był przygotowany na taki rozwój wydarzeń. Wprowadził szkolenie w walce bez broni i prowadzeniu zwiadu, w podchodach, kiedy to garstka weteranów gdzieś się ukrywała, a młodszy członkowie zespołów mieli ich odnaleźć.

Odkąd burza zasnęła niebo gęstą pokrywą chmur, rozróżnienie dnia od nocy sprawiało znaczne trudności. Kiedy Kana wspinał się po niebezpiecznie stromych schodach prowadzących pod dach magazynu, nie wiedział, czy robi to w południe, czy w nocy. Dawno już przyzwyczał się do zielonkawej poświaty sączącej się ze ścian i pewnie sunął ku niewielkiej platformie tuż pod dachem. Z niej będzie mógł dokładnie obserwować pustą przestrzeń magazynową zajmującą centralną część budowli. Miał złapać Sima. Każdy rekrut uważał za punkt honoru znalezienie tropionego weterana, nawet kosztem snu.

Ze wzrostem wysokości światło stawało się coraz słabsze. Kana wymacał dłonią niewielkie stopnie, żeby się nie potknąć. Kiedy nie więcej niż trzy dzieliły go od szczytu, przywarł do ściany. Czuł, że nie jest sam. Z dołu wydawało mu się, że platforma nie ma więcej niż pięć stóp kwadratowych. Nad nią w suficie były drzwiczki, niewątpliwie prowadzące na dach. Przy takiej wichurze nikt nie był w stanie utrzymać się na dachu nawet przez sekundę. Dach!

Ocierając się o ścianę starał się przypomnieć sobie sylwetkę magazynu widzianą z kwatery głównej nie dalej jak dwie godziny temu. Nie różniła się niczym od innych — zaokrąglona kopuła nie stawiająca zbytniego oporu wiatrowi. Dach!

Ostrożnie wspiął się na ostatnie stopnie. Wyprostował się na całą wysokość, unosząc ramiona do sklepienia nad głową. Nie znalazł jednak tego, czego szukał.

Dwukrotnie już podczas podchodów wspiął się pod sufit magazynu i za każdym razem czuł delikatną wibrację dachu pod wpływem uderzeń wiatru. Tym razem powierzchnia była spokojna, jakby odizolowana od zewnętrznego świata. Nadal też uważał, że nie jest sam.

Czubkami palców zbadał sufit, odnajdując niewielkie drzwiczki, które powinny prowadzić na dach. Dotykając zawiasów wyczuł różnicę: od wewnątrz nie było zasuw — musiała znajdować się po drugiej stronie!

Wyciągnął zza pasa latarkę i włączył ją na najmniejszą moc. Nie obchodziło go już, czy Sim go dostrzeże, czy nie. Platformę pokrywał gruby kurz nieustannie pędzony wiatrem w czasie burz. Jego buty pozostawiały na nim wyraźne ślady. Jednak były tam także inne tropy, bezkształtne zagłębienia, których nie mógł pozostawić Ziemianin, chyba że celowo by je zniekształcał. Bezpośrednio pod drzwiczkami w suficie dostrzegł ślady, których nie był w stanie zidentyfikować.

Oświetlił latarką drzwiczki. Były doskonale dopasowane; linie wyznaczające ich kwadratowy kształt były ledwie dostrzegalne. Zawiasy lśniły połyskliwie. Kana zbadał je delikatnie. Smar — jakieś mazidło nałożone na tyle niedawno, że było jeszcze ciepłe i wydzielalo wyraźny zapach. Ktoś z pewnością korzystał z tych drzwi. Jednak trudno sobie wyobrazić, aby można było wyjść nimi na zewnątrz!

Kana skierował strumień światła na sufit, oświetlając obszar poza platformą. Po dokładnym zbadaniu był pewien, że między sufitem a właściwym dachem musiała

być wolna przestrzeń. Zakrzywienie sufitu było łagodniejsze niż zewnętrznej kopuły, kąt między ścianą a kopułą ostrzejszy. Idealny schowek! Żaden Ziemianin nie odważyłby się badać dachu podczas burzy. Był gotów przysiąc, że znalazł schronienie venturiańskiego szpiega! Wystarczy, że Hansu postawi tu strażnika i...

Doszedł go ledwie słyszalny szelest. Natychmiast wyłączył latarkę i ponownie przywarł do ściany po lewej stronie schodów. Część zielonej poświaty przedostawała się na górę, ale była tak słaba, że niemal nic nie widział. Będzie musiał polegać na swoich uszach i nosie.

Czuł obcy zapach. W dole, gdzie mieszały się różnorodne wonie składowanych niegdyś towarów, trudno było się w nich połapać. Często były mdlące dla Ziemianina. Ten zapach był jednak inny, korzenny i świeży, przypominający kasyno na Secundusie. Nie było w nim nic nieprzyjemnego i stawał się coraz silniejszy.

Potem rozległo się stłumione młaiście. Kana zamarł, ledwie ważąc się oddychać. Uszy podpowiadały mu, że coś spadło na platformę. Trzymał latarkę przed sobą, jakby był to miotacz.

Doszły go inne odgłosy — jakby coś się poruszało.

Przycisnął latarkę do biodra, nastawiając ją na pełną moc. Włączył ją nagle, skupiając promień światła na stworzeniu, które schodziło właśnie z ostatniego stopnia sznurowej drabinki. Schwyciło wyższy stopień i zamarło, wyprostowane i spokojne, gotowe uznać fakt, że ucieczka jest już niemożliwa.

Wyściełana kabina znalezionej łodzi stanowiła dobrą wskazówkę co do wyglądu jej właścicieli, lecz rzeczywistość przerosła wszelkie oczekiwania. Jeżeli był to Venturi — a Kana nie miał powodu, by sądzić inaczej — druga duża rasa istot zamieszkujących Fronn miała niewiele wspólnego z Llorami, przynajmniej fizycznie.

Niezwykła szczupłość nadawała mu wrażenie wyższego niż był w rzeczywistości, ponieważ był zdecydowanie niższy od Kany. Ramiona wyrastały prosto z korpusu, a gruba szyja była niewiele węższa od klatki piersiowej. Nogi były długie i cienkie jak u guenów, zakończone płetwiastymi stopami. Stworzenie miało cztery ręce kończące się sześciopalczystymi dłońmi.

Głowa najmniej przypominała humanoida, czworo oczu — dwoje po każdej stronie — szerokie usta rozwarłe w niemym zaskoczeniu, brak brody. Kana uświadomił sobie nagle, że widział już coś takiego, w pomniejszeniu. To był tif, tif, który zamieszkał na lądzie, z większą czaszką i ciałem, odróżniającym go od zagorzałych myśliwych z rzeki.

Na wspomnienie tifów Kana poczuł chłodny dreszcz przebiegający po plecach. Spojrzał prosto w oczy mrużące się w blasku latarki. Nie były to czarne paciorki nienawiści, grożące nagłą śmiercią ze strumienia. Oczy, w które zaglądał, nie były czarne. Miały barwę żółtą, były inteligentne, pokojowe. Arch domyślił się, że przeciwnik był równie podniecony jak on sam. Mógł wyglądem przypominać tify, jednak nie był równie krwiożerczy jak one.

Żadne z czterech ramion nie sięgnęły po nóż, który tkwił na biodrze. Dreszcz poruszył wąską szarozieloną przepaską zakrywającą pas niezwyklej istoty. Kana wyłączył latarkę.

Z kolei on musiał przymknąć oczy przed zielonym światłem, które oblało go od stóp do głów.

— Tylko jeden? — pytanie zadane z ciemności nie wydawało się pochodzić z szeroko rozwartych warg i grubego gardła.

— Tak jest.

Światło przesunęło się ku rękojeści miecza przy pasie. Zatrzymało się przy nim na moment, jakby Venturi chciał przyjrzeć się broni, jakby chciał znaleźć tam odpowiedź na swoje pytanie.

— Pójdiesz ze mną? — zielone światło skierowało się na zwisającą drabinę. Kana nie wahał się ani chwili, wsadził latarkę za pas i ruszył do przodu.

Wspiął się po niewielkiej drabinie i przecisnął przez drzwiczki. Było ciasno. Zobaczył małe pokój. Jedną trzecią powierzchni wyściełała gąbka. Usiadł na jednym końcu, umożliwiając gospodarzowi wciśnięcie się do środka i rozjaśnienie pomieszczenia. Oprócz materaców Kana zauważył niewielki palnik, wydzielający korzenny zapach. Pomieszczenie było nieduże, jednak zapewniało Venturiemu dostateczny komfort. Żabia istota usadowiła się na końcu materaca, spychając pod ścianę swoją szatę.

— Obserwowałeś nas? — spytał Kana.

— Obserwowałem ciebie — niesamowita głowa z czworgiem oczu skinęła pojednawczo.

— Dla swoich przełożonych?

— Dla mojego narodu — poprawił go przybysz. — Wy handlujecie śmiercią. Takie układy mogą być zarzewiem zła.

— Przemawiasz w imieniu wielu?

— Uczę się, żeby móc mówić w ich imieniu. Jednak jestem jeszcze zbyt młody i nie dość mądry. Czy ty jesteś dowódcą wielu wojowników?

Teraz Kanie wypadało zaprzeczyć:

— Ja również jestem jedynie czeladnikiem. To moja pierwsza wyprawa.

— Powiedz mi, dlaczego skradacie się, szukając się nawzajem? — spytał Venturi z nutą szczerzego zdumienia w głosie.

— Szkolimy się, uczymy się, jak skrycie dopaść wroga. To część naszych umiejętności.

Czworo oczu wpatrywało się w niego.

— Teraz czaicie się na Llorów, a czy to nie oni sprowadzili was na tę planetę? Dlaczego zwróciliście się przeciw nim?

— Przyjechaliśmy, aby służyć chorthcie Skurze. To on zawarł układ z naszymi przełożonymi. Zginął w pierwszej bitwie. Zgodnie ze zwyczajem wycofaliśmy się z dalszej walki i chcieliśmy wrócić na naszą planetę. Jednak Llorowie zaprosili naszych dowódców, żeby rozpatrzyć tę sprawę, i kiedy wszyscy się zgromadzili, Llorowie zdradziecko ich zgładzili. Wtedy zorientowaliśmy się, że Llorowie mają popleczników z naszego rodzaju, którzy chcą nas zniszczyć, zanim wrócimy do naszych przełożonych i powiemy im, co się naprawdę wydarzyło. Nasi wrogowie rządzą teraz w Tharc, gdzie lądują nasze statki. Przybyliśmy do Po'ult w nadziei, że znajdziemy statek, który przewiezie naszego posłańca i zawiadomi dowódcę.

— Ci, którzy tu lądują, nie mają statków wojennych.

— To jest zupełnie bez znaczenia. Jest w nich dość miejsca, żeby zabrać jednego lub dwóch naszych ludzi. Kiedy nasi mistrzowie dowiedzą się, co tu się dzieje, zaraz wyślą statki, które nas zabiorą.

— Więc nie zamierzacie pozostać na Fronn? Przy waszych umiejętnościach wojennych moglibyście zawładnąć tym światem.

— Pochodzimy z Terry. Dla nas to świat, który nazywamy domem. Jedyne, czego pragniemy, to opuścić Fronn w pokoju.

Venturi pochylił się, żeby zaciągnąć się dymem z paleniska. Potem, bez słowa, otworzył okrągłe pudełko i wyjął dwie miseczki czy filiżanki bez uszek. Miały kształt delikatnych spiralnych muszli wydzielających ametystową poświatę. Do obu wlał złoty płyn z małej karafki, równie pięknie wyrzeźbionej jak czarki. Podał jedną Kanie, podnosząc drugą w toaście i śpiewając jakieś zaklęcie we własnym języku.

Kana ostrożnie przyjął miseczkę. Nie mógł odmówić poczęstunku ofiarowanego z takim namaszczeniem, choć obawiał się, jakie mogą być skutki trunku, który gładko

prześliznął się po języku. Nie poczuł gorąca wywoływanego zwykle przez ziemskie napoje, jedynie chłód przenikający do koniuszków palców i na powierzchnię skóry. Odstawił próżne naczynie. To, co czuł teraz, wiązało się w dziwny sposób z paleniskiem i zieloną poświatą emanującą ze ścian, jakby smak, dotyk i zapach nagle zespoliły się w jedność. Czuł, jak wyostrzają się jego zmysły. Venturi zarzucił szatę na ramiona.

— Chodźmy teraz do twojego mistrza miecza.

Kana nie był pewien, czy usłyszał te słowa, czy też dotarły do niego bez pomocy słuchu. Wstał, zdając sobie sprawę z uporczywej jasności zmysłów, i patrzył, jak jego towarzysz opuszczał sznurową drabinę w otwór pod drzwiczkami. Na platformie Venturi zatrzymał się, żeby nałożyć kaptur, chowając za nim swoją dziwną twarz.

— Jest w innym budynku — przestrzegł go Kana, pamiętając o burzy.

— Oczywiście — zakapturzona postać sunęła bezgłośnie, niemal niewidoczna dla tych, którzy nie wiedzieli o jej obecności. Kana zrozumiał, dlaczego żaden z żołnierzy go dotąd nie zauważył.

Podeszli do drzwi magazynu i wyszli na zewnątrz, przebiegając niewielką odległość do drugiego budynku. Wystarczyło to, żeby poczuli wilgoć przenikającą aż do skóry.

Kana zauważył, że nie tylko jego zmysły zostały wyostrzone — również jego reakcje były szybsze. Był świadom tylu rzeczy, których wcześniej nie dostrzegał, na przykład dostrzegał subtelne różnice między zielonym oświetleniem poszczególnych pomieszczeń, słyszał dźwięki dotąd tłumione przez ryk huraganu.

— A to co? — krzyknął żołnierz na widok Venturiego.

— Posłaniec do Hansu — wyjaśnił Kana, przyspieszając kroku.

Hansu i dwaj inni mistrzowie miecza podnieśli głowy, kiedy wszedł do pokoju. Widok Venturiego zaniepokoił ich.

— Gdzie... — zaczął dowódca, przerwał i uprzejmie zwrócił się do gościa: — Co jest twoim życzeniem?

— Chodzi raczej o to, co jest twoim życzeniem, mistrzu miecza — odpowiedział Venturi. — Chcesz spotkać się z naszymi mistrzami handlu. Nie mam prawa mówić w ich imieniu. Twój człowiek — skinieniem wskazał Kanę — wyjaśnił mi, dlaczego tu jesteście i czego chcecie. Daj mi — tu rzucił nazwę frońskiego odcinka czasu — a dostarczę ci odpowiedź.

Hansu nie wahał się ani chwili: — Dobrze! Jak jednak skontaktujesz się ze swoimi w tej burzy?

Kana miał wrażenie, że dostrzegł pobłażliwy uśmiech Venturiego.

— Czy wy, Ziemianie, nie potraficie porozumiewać się na odległość? Rasy z innych światów uznają nas za istoty prymitywne, ale jeszcze nie pokazaliśmy im, do czego jesteśmy zdolni. Chodź ze mną, jeśli chcesz to zobaczyć. W tym, co zrobię, nie będzie żadnych sztuczek. Skorzystam z urządzeń zbudowanych przez inteligentne stworzenia dla własnego bezpieczeństwa i wygody.

Kana i Hansu przeszli do skrytki Venturiego, który zrzuciwszy z siebie szatę otworzył cienkie pudełko i wyjął z niego okrągłe lustro z rzędem niewielkich przycisków. Wcisnął je kolejno w określonym porządku, z wielką starannością, jakby uruchamiał jakąś skomplikowaną kombinację.

Lustro pokryło się mgiełką, na której widok Venturi wyciągnął z pudełka niewielki rysik. Zaostrzonym końcem wykreślił na nim kilka falistych linii. Zniknęły z lśniącej powierzchni. Nastąpił moment oczekiwania, zanim mgiełka pojawiła się znowu i kolejny rząd linii został na niej zakreślony. Powtarzało się to ze cztery razy. Potem kupiec odłożył swoje pióro.

— Musimy teraz poczekać — poinformował żołnierzy. — Musimy czekać na

odpowiedź moich mistrzów. Ja jedynie opisuję im sytuację, oni podejmują decyzje.

Hansu chrząknął. W kąciakach jego ust widać było zmarszczki świadczące o ogromnym zmęczeniu. Również w oczach czaiło się znużenie. Było widać, że Hansu dochodzi do kresu wytrzymałości. Trapiła go nie tylko przyszłość hordy, którą dowodził, lecz coś niewspółmiernie ważniejszego. Walczył nie tylko o wydostanie się z Fronn, lecz również o cel znacznie bardziej istotny niż życie wszystkich archów we wszechświecie. Venturi zaciągnął się dymem wydobywającym się z paleniska, nie spuszczać jednak złotych oczu z towarzyszących mu Ziemian.

— Mistrzu — zwrócił się do dowódcy — mogę ci jedynie powiedzieć, że od dawna żaden statek z innego świata nie wylądował na naszym lądowisku.

— Czy dawniej bywało inaczej?

— Tak. Nie interesuje nas zbyt handel międzyplanetarny, więc nie zwracaliśmy na to większej uwagi. Teraz to może nabrać innego znaczenia. Co zrobicie, jeżeli nikt nie przyleci? Wasi wrogowie skrzętnie pilnują portu w Tharc.

— Najpierw najważniejsze. Daj mi porozmawiać z waszymi panami, a później zobaczymy.

Z pudełka dobiegło cichutkie brzęczenie. Venturi spojrzął na lusterko. Choć Ziemianie nic na nim nie dostrzegli, gospodarz przekazał im wiadomość.

— Mistrzowie wzywają was do Po'ult na naradę. Ponieważ doświadczyliście już zdrady na Fronn, przybędą tu dostojnicy, którzy będą waszymi zakładnikami na czas rozmów. Zgadza się?

— Zgadza się. Kiedy mam wyruszyć?

— Pierwszy atak burzy ucichnie dzisiaj nocy. Przyślą tu statek, ale będziesz musiał być gotów do natychmiastowego powrotu, ponieważ cisza nie potrwa długo.

— Mam jechać sam?

— Możesz zabrać jednego człowieka, jeśli masz takie życzenie. Ten tu chyba się nada — pazurem wskazał Kanę. — Dobrze mówi językiem handlarzy.

Hansu się nie sprzeciwiał.

— Niech tak będzie.

Zgodnie z przepowiednią Venturiego, wkrótce nastąpiła cisza. Ziemianie towarzyszyli gospodarzowi do grotu, gdzie zjawił się statek. Wynurzył się z głębiny i perfekcyjnie przycumował przy nabrzeżu. Właz na wieżycze otworzył się i cztery zakapturzone postacie zeszły na ląd. Trzy przesunęły się w stronę Ziemian, czwarta pozostała przy statku.

— To mistrz Roo'uf, podmistrz Rr'ol i podmistrz Rs'ad — oni zostaną z twoimi ludźmi.

Hansu przedstawił przybyszy swoim mistrzom miecza. Potem razem z Kaną wspiął się na drabinkę prowadzącą do włazu. Wewnątrz była druga drabinka, opadająca do wnętrza statku. Ziemianie zeszli w dół zanurzając się w dziwnych zapachach i dźwiękach. Szpieg Venturich złapał Kanę za rękaw i odciągnął na bok.

— Kapitan statku sądził, że będziecie zainteresowani, w jaki sposób podróżujemy. Tędy.

Przecisnęli się przez korytarz niemal za wąski, by pomieścić potężnych Ziemian, i znaleźli się w okrągłym pomieszczeniu, pod którego ścianami leżał wygodny materac. Przed sobą mieli szklaną ścianę, za którą widzieli oddalające się budynki portu.

Venturi bez szaty siedział pod drugą ścianą, wpatrując się uważnie w krajobraz za szybą. Powitał ich niedbałym gestem i skupił się na stojących przed nim przyrządach. Statek zawrócił i wybrzeże zniknęło im z oczu. Rozpoczęła się podróż na Po'ult.

Rozdział XIII

Transakcja życia lub śmierci

Po'ult wyłonił się z morza nagle: poszczerbiona skała stercząca pionowo z otchłani bez skrawka plaży. Na jej wierzchołku nie było śladu budowli.

Zanim pasażerowie zdążyli dobrze przyjrzeć się wyspie, statek wszedł w zanurzenie. Sprowadzono ich w głąb okrętu, blisko kilu, gdzie wsiedli do mniejszej łodzi w towarzystwie dwóch Venturich. Ściany łodzi zadrżały, ale nie licząc tego nie czuli nic, co wskazywałoby na to, że łódź opuściła macierzysty statek.

Kana był spięty. Nie czuł się pewnie w zamkniętej kapsule, głęboko pod powierzchnią wody. Podróż jednak szybko się skończyła, otworzył się luk i znaleźli się w pomieszczeniu podobnym do grotu w porcie na lądzie, tyle że o wiele większym. Idąc korytarzami wykutymi w litej skale niewiele widzieli z miasta Venturich. Wprowadzono ich do pokoju pod szczytem skały, którego jedna ściana była przezroczysta. Przewodnik wycofał się z pomieszczenia, a Kana podszedł do ogromnego okna, ciesząc się ponownym poczuciem wolności, jakie dawał mu rozległy widok.

— Krater wulkaniczny — zauważył Hansu. Środkowa część wyspy była olbrzymim zagłębieniem z tarasowo opadającymi ścianami. Tarasy były starannie obsadzone drzewami, które gęstniały przechodząc w niewielki las na samym dnie krateru. Nie było jednak widać żadnych budynków.

— Ale gdzie...

Dowódca przyglądał się malowniczej panoramie roślinności porastającej nieckę:

— Właśnie jesteśmy w ich mieście — wyjaśnił. — Wydrążyli skałę.

Kana sam znalazł potwierdzenie: regularne otwory w stoku musiały być oknami podobnymi do tego, przez które patrzyli[^]

— Cóż za wspaniały plan — zachwycił się. — Nawet bombowiec miałby kłopoty z unieszkodliwieniem tego, chyba że użyłby...

Kąciaki ust dowódcy ściągnął bolesny wyraz.

— Kiedy raz złamię się prawo, łamię się je dalej.

— Broń atomowa? — pełne przerażenia zdumienie Kany nie było udane. Mógł ostatecznie pogodzić się z wystąpieniem mechów przeciw nim, nawet z myślą o tajemniczej walce o władzę, wspieranej skrycie przez Centralną Kontrolę, lecz powrót do broni atomowej! Ziemia dostała zbyt gorzką naukę w Wielkim Wybuchu i wojnach, które po nim nastąpiły. Choć było to już tysiąc lat temu, przez cały czas tkwiło w pamięci ludzkości. Nie potrafił wyobrazić sobie Ziemianina zrzucającego bombę atomową — było to tak nieprawdopodobne, że poczuł zawrót głowy.

— Mamy dość dowodów, by sądzić, że to nie jest spisek samych mechów — ciągnął nieubłaganie Hansu. — Nasza historia nauczyła nas, że tym nie można wygrać żadnej walki; inni mogą jeszcze tego nie wiedzieć. Nie wolno nam wykluczać jakiegokolwiek możliwości.

Była to maksyma wojskowa, o której powinien był pamiętać. Nie pominąć żadnej możliwości, być przygotowanym na każdą zmianę w równowadze ścierających się sił.

— Wojownik — jeden z gospodarzy bezszelestnie zjawił się za ich plecami. — Mistrzowie chcą z tobą rozmawiać.

Nieco zaniepokojony Kana uświadomił sobie, że od pierwszych chwil nie spotkali się z żadnym objawem gościnności, z gestem, który można by odczytać jako wyraz życzliwości. Szedł tuż za dowódcą i stanął na baczność, kiedy weszli do pokoju, w którym oczekiwało ich czterech Venturich, pozbawionych maskujących szat.

Delikatna tkanina ich krótkich tunik lśniła purpurą, na pasach i szerokich bransoletach na każdej z czterech rąk błyszcząły klejnoty. Z tyłu na ziemi przykucnął piąty z pisakiem i lusterkiem w dłoniach.

Przed mistrzami leżał jednoosobowy materac. Hansu zasiadł na nim, z Kaną stojącym za plecami.

— Poinformowano nas o waszych życzeniach — zaczął od razu Venturi z tajemniczym symbolem wyszytym na piersi tuniki. — Chcecie znaleźć schronienie dla waszych ludzi, dopóki nie skontaktujecie się ze swoimi przełożonymi w kosmosie. Dlaczego miałoby nas interesować, co stanie się z intruzami, nie z naszej winy sprowadzonymi na Fronn? Jesteście ścigani przez Llorów i ich nowych sprzymierzeńców, a więc kiedy udzielimy wam schronienia, ściągniemy na siebie gniew władców Tharc.

— Czyż nie jesteście już w stanie wojny z Tharc? — odparł Hansu. — Przechodząc przez góry spotkaliśmy grupę Llorów uciekających po nieudanym ataku na wasz port. Uwolniliśmy z ich rąk jednego z waszych.

Na twarzach Venturich nie pojawił się żaden wyraz czytelny dla Ziemiaków.

— Venturi nie prowadzą wojen, oni handlują. Kiedy na lądzie wybucha wojna, kiedy nie czas jest na handel, wycofujemy się na nasze wyspy i tu przeczekujemy, aż wróci porządek. Zdarzało się tak w przeszłości i taki system zawsze przynosił nam korzyści.

— Czy w przeszłości Llorowie sprzymierzali się z tymi, którzy potrafią walczyć z powietrza? Być może Po'ult nie da się zdobyć od morza, cóż jednak się stanie, mistrzu wielu statków, jeżeli zostanie zaatakowany z chmur?

— Wy nie macie maszyny, która potrafi latać, czy to znaczy, że ci drudzy są potężniejsi od was?

— Szkolono ich do prowadzenia wojny inaczej niż nas. To wbrew naszym zasadom walczyć ich sposobem na takiej planecie jak Fronn. Mają broń, dzięki której bez trudu mogą zostać panami tego świata. Czy sądzicie, że wasze wycofanie się tu wystarczy, jeżeli zechcą to osiągnąć? Jedną po drugiej odnajdą wasze twierdze na wyspach i zarzucą je ogniem z powietrza. Mogą nawet wykorzystać palącą śmierć, której użycie jest absolutnie zakazane na wszystkich planetach, a która jest bronią tak potężną, że kiedyś zniszczyła nasz świat i na wieki uczyniła z nas barbarzyńców. Kto raz złamał prawo, jest zdolny do wszystkiego. Ci renegaci złamali prawo samym swym przybyciem na Fronn i są gotowi na najgorsze.

— Jeżeli nie potraficie walczyć tak jak tamci, to w jaki sposób mielibyście się nam przydać?

— To proste. — Hansu siedział sztywno, skupiony, jakby gotował się na odparcie szturm nieprzyjaciela. — Wiadomość o tym, co się tu wydarzyło, musi zostać przekazana naszym mistrzom najwyższej rangi. Tylko oni posiadają moc zdolną pokonać tych wyrzutków. Tę wiadomość musi przekazać ktoś, kogo zechcą wysłuchać. Dajcie ochronę moim ludziom, a ja zrobię to osobiście. Obiecuję wam, że gdy zostaną wysłuchani przez naszą tajną radę, nadejdzie dzień rozrachunku i Fronn zostanie oczyszczona. Wówczas nie będą tu mogli lądować przybysze z innych planet — jak to się stało gdzie indziej — i będziecie mogli żyć po swojemu. Czyżbyście nie wiedzieli, że są tacy, którzy nie chcą, żeby cały handel na Fronn był w waszych rękach? Pomogą oni Llorom złamać was, jak łamie się suchą gałąź na ognisko, a ponieważ Llorowie nie znają się na tajnikach waszej sztuki, przybysze bez trudu przejmą waszą rolę. Na zawsze! Nigdy nie witaliście chętnie handlarzy z innych światów, teraz nie będzie dla nich żadnych ograniczeń.

Kana nie mógł się domyślić, czy słowa dowódcy wywierały na Venturich jakies wrażenie. Niemal stracił nadzieję na dźwięk słów przedstawiciela kupców:

— Wiele mówisz i będziemy musieli rozważyć to w spokoju. Życzę spokojnej nocy na naszych wodach.

To ostatnie życzenie można było jednak uznać za przejaw pewnej gościnności. W praktyce oznaczało to przejście do innego pomieszczenia z oknem wychodzącym na krater i dwoma, tak cenionymi przez gospodarzy paleniskami, z których wydobywał się korzenny dym. Jeden z mistrzów wszedł z nimi, a za nim niższej rangi kupiec wniósł tacę z trzema czarkami i karafką. Mistrz rozlał niewielkie porcje płynu, którym Kana został już poczęstowany w ukrytym pokoju w porcie, i własnoręcznie podał czarki Ziemianom. Kana ponownie wypił chłodny napój i poczuł, jak rozchodzi się w jego żyłach, powodując zaostrzenie zmysłów, poprawiając sprawność ciała i umysłu. Ceremonialny napój został wyniesiony, a w pokoju zjawiły się niskie stoliki zastawione półmiskami z niewielkimi porcjami różnorodnych potraw.

— Ta żywność została importowana z kosmosu — zapewnił ich mistrz — i wasza rasa może spożywać ją bez obawy.

Ziemianie zaczęli jeść, wdzięczni za odmianę po długim czasie obywatelstwa wojskowymi racjami. Smak potraw był intrygujący. Venturi byli mistrzami w przyrządzaniu jedzenia, starającymi się osiągnąć najdziwniejsze efekty — dania były jednocześnie gorące i zimne, po kwaśnych następowały słodkie, całość tworzyła niezwykle kombinację, jakiej Kana nigdy dotąd nie kosztował.

— Wasze miasto jest dobrze ukryte. — Hansu wskazał na sielankowy krajobraz wulkanicznej niecki.

— Naszym zamiarem nie było ukrywanie się — poprawił go mistrz. — Kiedy nasi przaprzodkowie przenieśli się z wody na ląd, mieszkali w grotach skał nadbrzeżnych tych wysp. Dlatego przyzwyczailiśmy się drążyć skały, zamiast budować na powierzchni lądu. Mamy w charakterze pragnienie, aby mieszkać w zamkniętych pomieszczeniach, i to jak najbliżej wody. Ze wzrostem naszej inteligencji i cywilizacji nasze miasta stawały się takie jak Po'ult. Nie czujemy się zbyt dobrze na suchych równinach wielkich kontynentów. Choć każdy z nas musi na nich przepracować jakiś czas, jesteśmy szczęśliwi, kiedy możemy wrócić na nasze rodzinne wyspy. Czy wy pochodzicie z rasy żyjącej na otwartych przestrzeniach jak Llorowie?

Hansu potwierdził i zaczął opisywać Ziemię, jej błękitne niebo, zielone wzgórza i otwarte, zmienne morza.

— Powiedz mi zatem, albowiem wyglądasz na istotę myślącą nie tylko o swych codziennych obowiązkach, dlaczego sprzedajecie swe zdolności walce? Nie jesteście barbarzyńcami jak Llorowie, którzy są rasą młodą. Musicie pochodzić od starych ludów, może nawet starszych od nas. Dlaczego nie rozumiecie, że to, co robicie, to zagłada, zaprzeczenie rozwoju i dobra?

— Rodzimy się z wolą walki, pragnieniem, żeby zmierzyć swą siłę z innymi. Plemię czy naród, które wytlumia w sobie ten wewnętrzny popęd, giną. Wdarliśmy się w kosmos. Była to walka i cel, do którego dążyliśmy od pokoleń: chcieliśmy znaleźć się wśród gwiazd. Odkryliśmy jednak, że kosmos nie należy do nas, że inni patrzą tam na nas jak na młodą i barbarzyńską cywilizację, tak jak wy patrzycie na Llorów. Przed nami znalazło się tam wiele ras i gatunków, które ustanowiły przepisy prawa i porządku, żeby kontrolować przybyszów. Ci, którzy sprawują kontrolę, uznali, że ze względu na nasz temperament nie nadajemy się do kosmosu i narzucili nam granice, których nie możemy przekroczyć, i zadania, jakie musimy wykonywać. Ponieważ walka leży w naszej naturze, mieliśmy dostarczać żołnierzy innym planetom. Zostaliśmy wyszkoleni do takiej służby. Jesteśmy jedynie małym trybikiem ich maszynierii. Taką właśnie cenę płacimy za wejście między gwiazdy, ponieważ kosmiczne szlaki są dobrze strzeżone.

— Nie wydaje mi się, aby to była uczciwa transakcja — skomentował gospodarz.

— A kiedy transakcja jest nieuczciwa, nadchodzi dzień, kiedy zostaje unieważniona, a ten, który został oszukany, szuka handlu w innych miejscach. Czy nadejdzie taki czas, kiedy i wy, Ziemianie, polecicie gdzie indziej?

— Być może. To, co stanie się tu, na Fronn, może o tym zdecydować.

— Oby wasz handel był dobry, a zysk duży!

— Oby wasze statki zawsze wracały pełne z podróży! — odpowiedział uprzejmie Hansu, po czym mistrz ich opuścił.

Tego dnia nie wzywano już Ziemian na rozmowy. Wkrótce nadszedł kolejny atak burzy i okno, przez które przyglądali się kraterowi, zakryła morską pianą i szczątki roślin niesione przez potężne podmuchy.

Kana odważył się przerwać ciszę, gdy Hansu dłuższą chwilę stał w zamyśleniu, usiłując dostrzec coś po drugiej stronie szyby.

— Sądzisz, że mamy jakąś szansę?

— Przynajmniej zaczęli traktować nas jak gości. Karmią nas, uznali nas za równych sobie. Kiedy zdobyłeś jakiś punkt, to znaczy, że się posuwasz. Jednak ich logika jest inna niż nasza. Nie możemy domyślać się, co uczynią, zastanawiając się, co my zrobilibyśmy na ich miejscu. Na szkoleniu w kontaktach z obcymi musiałeś o tym słyszeć. To twoja pierwsza wyprawa?

— Tak jest, sir.

— Dlaczego zgłosiłeś się na to szkolenie?

— Spodobał mi się kurs podstawowy. Był tam instruktor z Zacathan, przez niego zacząłem wiele rozmyślać. Zafascynował mnie sposób jego myślenia. Dzięki niemu poznałem innych przybyszów. Dlatego zgłosiłem się na kurs i zdałem egzamin wstępny. To nie jest zbyt popularny kurs — za wiele dodatkowych godzin, jednak dla mnie nie była to ciężka praca. Przesiadywanie w kwaterze przybyszów ciekawiło mnie bardziej niż wyjście na przepustkę do miasta. Wolałem to, chociaż nie zachęcano nas do...

— Zawierania przyjaźni z istotami spoza Ziemi. Mieliśmy nauczyć się niezbędnego minimum, żeby móc sobie poradzić na innych planetach, wiem — Hansu przerwał na chwilę. — Oczywiście dla Kontroli Centralnej jesteśmy najdziwniejszymi istotami w kosmosie!

— Deke powiedział kiedyś coś takiego, sir — przypomniał sobie Kana. — Mówił, że Centralna Kontrola wytworzyła sobie pewien obraz Ziemian, który tak się utrwalił, że nie widzą nas takich, jakimi jesteśmy naprawdę.

— Mills dobrze wiedział, o czym mówi. Właśnie w tej chwili łamiemy prawo i zwyczaj, ośmielając się pertraktować samodzielnie z Venturimi. Czas już, żebyśmy zaczęli to robić częściej.

Kiedy Kana ułożył się do snu na materacach, dowódca nadal tkwił pod oknem. Na zewnątrz szalała wichura, lecz w pokoju słychać było jedynie cichutki pomruk.

Rano pokazano im miejsce do kąpieli z basenem morskiej wody głębokiej na tyle, że mogli popływać. Później znów ugoszczono ich wspaniałym posiłkiem. Dopiero koło południa zaproszono ich na spotkanie z radą.

— Rozważyliśmy ten problem — oznajmił główny mistrz, kiedy dowódca usiadł. — Znaleźliśmy w twoich argumentach wiele punktów, z którymi musimy się zgodzić. Jednak nikt nie wie na pewno, co przyniesie przyszłość. Nie możemy przewieźć tu waszych ludzi. Mamy ograniczone zapasy i nie dość miejsca, żeby trzymać tu tylu przybyszów przez nie wiadomo jak długo. Do czasu zakończenia pory sztormowej nie jesteśmy zresztą w stanie wykorzystywać naszego transportu, nie licząc krótkich przerw w wichurze. Z drugiej jednak strony wasi wrogowie nie mogą was teraz zaatakować. Dlatego macie około dziesięciu dytli na przestudiowanie swojej sytuacji i poczynienie planów. Na koniec tego okresu, jeżeli zobaczycie szansę na wydostanie

się z naszego świata i przekazanie wiadomości przełożonym, przewieziemy waszych ludzi — nie tu na Po'ult, lecz na większą wyspę na południu, dalej od lądu, gdzie wypasamy nasze gueny podczas pory sztormów. Dostarczymy im też zaopatrzenia i wyszkolimy w łowieniu zwierząt morskich, którymi mogą się bezpiecznie żywić.

— Czego pragniecie w zamian?

— W zamian oczekujemy twego słowa, że będziesz nakłaniał waszych mistrzów, aby wydali zakaz przybyszom z innych światów zabraniający im lądowania na Fronn, żeby walczyć w naszych wojnach. Będą mogli tu przylatywać jedynie ci, którzy dokładnie podadzą cel wizyty i uzyskają od nas zgodę. Nie chcemy, żeby Fronn stała się częścią jakiegoś innego świata lub dostała się we władanie jakiegoś koncernu handlowego z odległych gwiazd.

— Zgadzam się na to nie tylko jako na transakcję, ale i dlatego, że głęboko wierzę, że tak właśnie powinno się stać! — odpowiedział Hansu z przekonaniem. — Czy teraz wrócimy do portu?

— W ciągu dwóch jasnych okresów tego dytła nastąpi druga cisza. Wówczas wrócić, zabierając ze sobą naszego przedstawiciela, który będzie łącznikiem między nami. Pomyślnych wiatrów i dobrych zysków, mistrzu wielu mieczy.

— Tobie zaś, mistrzu dziesięciu tysięcy statków, życzę gładkiego morza.

Cisza, która umożliwiła ich powrót do portu, była dłuższa od poprzedniej. Trwała tak długo po ich przybyciu na kontynent, że gdyby nie rady doświadczonego łącznika Venturich, Ziemianie mogliby popełnić błąd i ruszyć na poszukiwanie kosmodromu. Jego ostrzeżenia zatrzymały ich jednak w pobliżu bezpiecznych budynków, a przewidywania wkrótce się spełniły: nowy atak nawałnicy runął na nich upiornym gwizdem wiatru i hukem fal roztrzaskiwanych o brzeg.

— Nie otrzymaliśmy żadnych sygnałów od statku międzygwiazdowego. — Venturi pociągnął łyk napoju zrobionego z ziemiańskich tabletek pokarmowych rozpuszczonych w wodzie. — Mistrzowie uważają, że żaden z nich może nie chcieć już tu lądować. Po co? Jeżeli Tharc jest gotowe przyjąć je w każdej chwili, a Llorowie zapewniają, że w przyszłości nie będą już musieli handlować z nami — po co mieliby przyjeżdżać tutaj?

— Całkiem możliwe — zgodził się Hansu, popijając ciepły bulion.

— Czy jeśli nikt się tu nie zjawi, spróbujecie inaczej?

— Pewnie będziemy musieli udać się do Tharc.

Na żabiej głowie nie było brwi, które mogłyby się unieść w geście zdumienia, ale i tak na twarzy malowało się uprzejme niedowierzanie. Tylko grzeczność powstrzymała go od zadania pytania o sposób, w jaki można by tego dokonać. Lecz Hansu nie kwapił się z odpowiedzią.

Burza nie trwała tak długo jak poprzednia i Kana wiedział, że seria wściekłych nawałnic miała się ku końcowi. W południe następnego dnia Venturi oznajmił, że można już wyjść w teren. Żołnierze rwali się do opuszczenia budynków, wciągnięcia w płuca słonego powietrza i przejrzenia dziwnych śmieci naniesionych przez wiatr w załomy budynków.

Krzyk, dochodzący z najbardziej oddalonej grupy ściągnął wszystkich, którzy go usłyszeli. Między dwoma budynkami nie zajętymi przez hordę znaleziono zmiażdżony wrak maszyny.¹ Wyglądała, jakby jakieś gigantyczne dłonie wykręciły ją jak tunikę po praniu.

— To czołg, to jest czołg — powtarzał zdumiony znalazca. Choć nikt nie zamierzał się z nim spierać, wszyscy patrzyli na wrak, nie wierząc własnym oczom.

Czołg, choć nie tak potężny jak lądowe fortece, zniszczony i rzucony jak żdźbło słomy!

Siła uderzenia oderwała zewnętrzny luk. Kosti wspiął się na wrak, żeby zajrzeć do

środku. Kiedy wrócił na zewnątrz, jego twarz była pod opalenizną zielona i konwulsyjnie połykał ślinę.

— Tam... tam jest cała załoga — wykrztusił. Nikt nie miał już ochoty iść w jego ślady.

— Ilu? — spytał Hansu, wspinając się na wrak. Kosti niechętnie zajrzał do wnętrza, licząc głośno:

— ...czterech, pięciu, sześciu. Sześciu, sir.

Hansu krzyknął przez ramię:

— Larsen, Bogate, Yedic, pomóżcie. Trzeba ich wyciągnąć. Kosti znów przełknął ślinę. — Oni... oni nie żyją, sir.

— A więc są martwi. Mimo to trzeba ich wyciągnąć.

Wezwani niechętnie weszli na wrak, kiedy dowódca zniknął w jego czeluści. Nawet kiedy zakończyli swą ponurą pracę i sześć trupów znalazło się w najbliższym budynku, Hansu nie wydawał się zadowolony.

Pięciu czołgistów było mechami. Dowódca dokładnie obejrzał ich naramienniki. Szósty jednak, choć w mundurze mecha weterana, nie był Ziemianinem. Po starannym przeszukaniu jego podartego i poplamionego stroju Hansu stał jeszcze dłuższą chwilę w zadumie nad ciałem.

— Veganin — powiedział wreszcie tak cicho, że Kana ledwo go usłyszał.

— Veganin!

Każdy Ziemianin zareagowałby na tę wiadomość z równym zdumieniem. Spośród wszystkich narodów zamieszkujących Galaktykę właśnie Vegan najmniej można by podejrzewać o współpracę z Ziemianami, których mieli w najgłębszej pogardzie. Uważali ich za prymitywnych barbarzyńców i zamiast otwarcie okazywać im niechęć, tak jak to czynili Arcturianie czy Polarianie, po prostu ich ignorowali. A jednak leżał tu przed nimi Veganin w mundurze mecha, prawdopodobnie dowódca czołgu.

— Sir...

Głos Kostiego, który wychylił się z luku, wyrwał Hansu z transu.

— Co?

— Czołg ma ładunek, sir. To wygląda na broń.

Na moment wszyscy zapomnieli o martwym Veganinie i popędzili na powrót do wraku. Larsen wyciągnął z niego pudło, które Kosti ostrożnie złożył na jezdni. Ustawili się wokół Hansu, który mieczem podważał wieko skrzyni.

W jej wnętrzu znajdowały się podłużne zawiniątka starannie opakowane w naoliwioną tkaninę. Dowódca pospiesznie zerwał wewnętrzne opakowanie. Po chwili trzymał w rękach miotacz, model galaktyczny.

— Ile jest jeszcze tych skrzyń? — spytał Kostiego.

— Trzy, sir.

Hansu podniósł się. Na jego twarzy pojawił się wyraz ponurej determinacji, która zdominowała inne uczucia.

— Czy jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, gdzie był ten czołg przed burzą? — spytał Kostiego. — Czy jest sterowany programem jak statki kosmiczne?

— Nie sądzę, sir. Ma ster ręczny. Sprawdzę jeszcze. — Zniknął we wraku.

— Dość daleko od Tharc, sir — przerwał ciszę Larsen. — W dodatku zwiadowcy nie przewoziliby ładunku.

— No właśnie. — Hansu odwrócił się do Venturiego, który ciekawie przyglądał się całej scenie z progu sąsiedniego magazynu. — Jesteś pewien, że żaden statek nie lądował w pobliżu?

— Na pewno nie na miejscu, z którego korzystaliśmy. Nasze kamery by nam o tym powiedziały.

— Czy nie ma tu innego miejsca, gdzieś w zasięgu dnia marszu? Ten czołg

przewoził ładunek. Nie mógł go wieźć z Tharc, nie o tej porze roku. Mógł jednak tam zmierzać ze statku, który gdzieś tu wylądował.

Venturi przyznał mu rację skinieniem głowy:

— To ciężka i dobrze pomyślana maszyna. Ci, którzy nią jechali, jeśli nie znali siły naszych wiatrów, mogli wierzyć, że są w niej bezpieczni. Dlatego pewnie jechali do Tharc. Ci z Tharc — gdzie Llorowie znają siłę burzy — zostaliby przez nich ostrzeżeni i nie ruszaliby w drogę. Pozwól, że skontaktuję się z moimi mistrzami. To całkiem prawdopodobne, że jakiś statek tu przyleciał.

Zniknął wewnątrz budynku. Po chwili z wraku wyłonił się Kosti z niepomysłną wiadomością.

— Byli na sterowaniu ręcznym, kiedy wiatr ich roztrzaskał, sir. Żadnych programów. Nie sądzę jednak, by prowadzili zwiad. Ciężkie działa są jeszcze nie rozłożone, w położeniu magazynowym. Wygląda, jakby dopiero co zjechali ze statku.

— Dlaczego nie wylądowali w Tharc? — zastanawiał się Hansu na głos. Pięścią uderzył w zerwaną gąsienicę pojazdu. — Chcę dostać cały ładunek, wszystko, co można znaleźć przy ciałach, wszystko, co naprowadziłoby nas na jakiś ślad. Natychmiast przynieście to do mojej kwatery!

Rozdział XIV

Ukryty statek

Chociaż znaleźli dowody, świadczące, że czołg musiał niedawno przybyć na Fronn w ładowni statku kosmicznego i że prawdopodobnie zmierzał do Tharc, nie było nic, co wskazywałoby na miejsce lądowiska. Dopiero Venturim udało się zdobyć brakujące ogniwo zagadki.

Ich łącznik precyzyjnie się przez grupę otaczającą Hansu i niezwłocznie przekazał mu informację otrzymaną od przełożonych:

— Sześć gormeli na południe stąd stoi jakiś statek międzyplanetarny!

Kana zaczął natychmiast przeliczać „gorme” na ziemskie mile, lecz nie bardzo sobie z tym radził.

— Jest ukryty między skałami na wybrzeżu — ciągnął dalej Venturi — więc wiatry nic mu nie zrobiły.

— Jaki duży? — spytał Hansu.

Venturi górną parą rąk wykonał ruch, który można było uznać za odpowiednik ziemskiego wzruszenia ramionami:

— Nie potrafimy dokładnie rozpoznawać wielkości waszych statków, panie.

Gdybyśmy przypadkowo nie mieli w pobliżu niewielkiego punktu... — przerwał na moment. Kana podejrzewał, że był to bardziej posterunek szpiegowski niż punkt handlowy. — Ale ten statek jest mniejszy od tych, które zwykle tu lądowały.

Przyleciał potajemnie podczas pierwszej przerwy w burzy.

— Pięćdziesiąt mil — Hansu był szybszy w obliczeniach. — Jak wygląda okolica?

Venturi znów wzruszył ramionami. — Głównie pustynia, a jeszcze trochę powieje.

— Czy małej grupie może się udać tam dotrzeć? A może twoi dadzą nam jakiś transport morzem?

Ostatnie pytanie pierwsze doczekało się odpowiedzi: gwałtownego zaprzeczenia. Silne prądy przybrzeżne wykluczały podróż morską o tej porze roku. Co do wędrówki lądem, Venturi nie miał zdania, choć uprzejmie powstrzymywał się od wyrażania swojej prawdziwej opinii o stanie umysłowym stworzeń, które w tym okresie planowały coś podobnego.

Zgodził się jednak sporządzić rozkład burz i okresów spokoju na najbliższych kilka dni. Hansu przekazał też drugą wiadomość dla mistrzów z Po'ult.

Wkrótce otrzymał odpowiedź zapewniającą, że podczas najbliższej ciszy zjawia się statki, które zabiorą większą część hordy, zostawiając jedynie niewielką grupę, która spróbuje dostać się do ukrytego kosmolotu. Był to niebezpieczny plan, lecz nie tak niebezpieczny jak wcześniejszy, który byłby ostatecznością — konieczność przebicia się do Tharc.

Oficer łącznikowy Venturich przyszedł na ostatnią odprawę z mapami.

Porównywał je z pobieżnym planem wybrzeża sporządzonym przez Hansu i zaznaczył na nim miejsce, gdzie musiał znajdować się obcy statek.

— Mistrzowie życzą wam powodzenia — powiedział na koniec. — Ruszacie tej nocy?

— Zaczekamy, aż horda odpłynie — odpowiedział Hansu z roztargnieniem, rozglądając się po tłumie żołnierzy w hali oczekujących na jego rozkazy. Nie wszyscy mogli tu przybyć, wielu było chorych bądź rannych. Kto zostanie wybrany do grupy wyruszającej na południe? Kana zdawał sobie sprawę, że to pytanie nurtowało wszystkich obecnych.

W głębi duszy wybrał już swoich kandydatów. Kosti, mały szczupły mężczyzna,

pójdzie na pewno. Jako jedyny z hordy znał się na maszynach — potrafiłby uruchomić statek, gdyby udało się go opanować. Hansu na pewno również będzie chciał iść. Lecz ilu ludzi jeszcze zechce zabrać, i kogo?

W końcu zdecydowały o tym dość makabryczne względy. Mundury mechów podróżujących w czołgu ocalały i teraz zostały oczyszczone. Na wyprawę mieli wyruszyć ci, na których one najbardziej pasowały. Jeden z nich idealnie leżał na Kanie. Chłopak sam nie wiedział, czy się tym cieszyć, czy martwić. Zresztą ostateczna decyzja zapadła dopiero, kiedy do portu przybyły statki transportowe Venturich i — przeczekawszy krótką nawałnicę — ruszyły ponownie w morze, pozostawiając jedynie Hansu i piątkę żołnierzy na nabrzeżu. Gdy zniknęły z zasięgu wzroku, dowódca sięgnął po wodze gotowego do drogi guena.

— Musimy znaleźć schronienie przed kolejną burzą. Ruszamy!

Tuż przed początkiem wichury dostrzegli okrągłą kopułę prowizorycznego kosmodromu. Schronienie, które ten niewielki budynek im mógł ofiarować, nie mogło się równać z tym, co dawały potężne ściany magazynów w porcie. Szóstka Ziemiaków razem z guenami leżała na podłodze, ogłuszona wyciem wiatru, zastanawiając się, czy kopuła oprze się jego potężnej sile. Gueny wtulały w podłogę swe kościste ciała, zawodząc z przerażenia. Ich monotony ryk dodatkowo szarpał ludziom nerwy.

Po paru godzinach — które wydawały im się dniami — usłyszeli, że wichura słabnie.

— Wstawaj! — Hansu walił pałką w zad swego guena, który warcząc ze złości obnażał potężne kły.

Po pięciu minutach posuwali się dalej, zmuszając wierzchowce do sztywnego truchtu, który boleśnie obtłukiwał ciała jeźdźców, ale zapewniał największą szybkość marszu. Jak dotąd szczęście ich nie opuszczało, jednak kiedy wał ciemnych chmur ponownie zaczął nasuwać się nad ich głowy, nie zauważyli w pobliżu żadnego budynku, w którym mogliby się schronić przed kolejną nawałnicą.

Cień nadziei dawała jedynie kępa drzew, choć wiele z nich było już połamanych przez poprzednie ataki wichru. Hansu skierował tam swój niewielki oddział. Solidnymi linami dostarczonymi przez Venturich specjalnie na takie okazje przywiązali zwierzęta i siebie samych do najmocniej wyglądających pni. Ponieważ wiatr wiał z zachodu, ulokowali się po wschodniej stronie kępy i zaczęli się dodatkowo okopywać. Kiedy burza rozszalała się na dobre, nie pozostało im nic innego jak zakryć głowy rękami i wtulić się ze wszystkich sił w nieprzyjazny grunt.

Jeżeli pobyt pod niewielką kopułą wydawał im się gehenną, to to, co teraz przeżywali, było nie do opisanego. Rozpaczliwie walczyli o każdy oddech. Kana zupełnie zatracił poczucie czasu, zapomniał niemal, kim jest, rozpaczliwie starając się chwycić choć łyk tlenu w płuca. Niemał zupełnie stracił świadomość do czasu, kiedy poczuł na sobie czyjeś ręce i bezwładnie dał się obrócić na plecy. Poczuł siarczyste uderzenie w twarz.

— Dalej, wstawaj! — rozkazał mu stanowczy głos.

Zebrał resztkę sił i niezgrabnie usiadł. Stało nad nim trzech mężczyzn, jeden z nich podtrzymywał jego krwawiącą głowę. Sześciu Ziemiaków wjechało do kępy, opuściło ją czterech, prowadząc wolnego guena. Nikt nie widział jednego z pozostałej dwójki. Drugiego znaleźli pogrzebanego pod zwałonym pniem, który miał go chronić.

Utrzymując się w siodle jedynie siłą woli, Kana zastanawiał się, czy ktokolwiek z nich dotrze do celu wędrówki. Jak długo wytrzymają jazdę w szaleńczym tempie, narzuconym przez Hansu?

Zanim nadszedł następny atak burzy, trafili na rzekę. Na spłachetce żyznego gruntu w jej delcie przycupnęła niewielka wioska Llorów. Zgodnie z panującym na Fronn zwyczajem, zapukali do najbliższych drzwi, prosząc o schronienie w pokoju

gościnnym.

Wewnątrz padli na cienkie materace i zasnęli, ledwie zdążywszy przełknąć racje żywnościowe. Kiedy się obudzili, było już po nawałnicy i wioska zaczynała wracać do życia. Hansu przyszedł z rozmowy z gospodarzem w niemal radosnym nastroju.

— To był już ostatni z wielkich huraganów; następne nie będą silniejsze od tego, co mamy na Ziemi. Jedziemy też w dobrym kierunku! Niedawno przejeżdżały tędy dwa czołgi. Oba kierowały się na Tharc.

— A co sądzą o nas? — spytał Larsen, z trudem zakładając mechowski hełm na obandażowaną głowę. Wskazał kciukiem wewnątrz domostwa. — Nie byli ciekawi, co tu robimy?

— Myślą, że jesteśmy ze statku. Powiedziałem im, że złapała nas burza i uszkodziła czołg, że próbujemy wrócić na statek. Dla nich wszyscy Ziemianie wyglądają jednakowo, więc nie mieli żadnych zastrzeżeń. Musimy obawiać się jedynie spotkania z mechami.

Po godzinie byli już na drugim krańcu delty. Przed nimi rozpościerał się krajobraz pokryty skałami ogołoconymi z roślinności przez wichurę. Jechali kierując się jedynie wskazaniem kompasu (któremu nie mogli w pełni wierzyć) oraz mapy Venturich. Musieli obchodzić głębokie wąwozy o ścianach tak stromych, że nie mogli się po nich wspinać. Noc spędzili w rozpadlinie, wsłuchując się w zawodzenie wiatru, które poznali w czasie marszu przez góry. Brakowało jedynie zagrożenia ze strony Cosów.

Następnego dnia dwukrotnie zostali zmuszeni do chronienia się przed falami podmuchów, które mogły zepchnąć ich w przepaść. Szerokim obejściem dotarli do miejsca, z którego zaczęli powolne schodzenie w dół ku morzu, przedzierając się przez stopy śliskich wodorostów wyrzucanych masowo przez wzburzoną wodę.

Hansu ledwie zdołał utrzymać się w siodle, kiedy jego guen stanął na tylnych łapach, wydając z siebie świst przerażenia i machając przednimi łapami w obronie przed kształtem leniwie brnącym w płytkiej wodzie. Rozwarła się paszcza tak wielka, że zdawało się, iż zdolna jest pochłonąć zarówno jeźdźca, jak i jego wierzchowca. Kana instynktownie podniósł strzelbę i wypalił w otwartą gardziel.

Głowa potwora odskoczyła do tyłu jakby w przewrocie, a woda zakotłowała się wokół płetwiastych łap. Było to jakby połączenie krokodyla, węża i wieloryba zarazem. Druga celna kula pochodziła ze strzelby dowódcy.

Miotając się gwałtownie, zwierzę wycofało się na głębszą wodę, Ziemianie zeszli z bagnistej plaży i zwiększyli odstęp między sobą, z trudem panując nad przerażonymi guenami. Larsen pierwszy znalazł przejście między skałami, przez które wydostali się z zatoczki i stracili potwora z oczu. Mieli teraz przed sobą rozległą łachę piasku, upstrzoną kłębami wodorostów i innych morskich śmieci, łącznie z roztrzaskanym metalicznym obiektem, przypominającym małą łódź Venturich. Otoczony był wianuszkami padlinożerców, więc Ziemianie nie kwapili się z podejściem. Starali się dorównać kroku swemu dowódcy pędzącemu ze wszystkich sił na południe. Pierwszy raz od przejścia przez deltę teren pozwalał na rozwinięcie większej szybkości.

Kolejny podmuch wichury dopadł ich w wąskim wąwozie. Morskie fale lizały stopy guenów, lecz Hansu uparcie parł naprzód. Jego wytrwałość została nagrodzona widokiem kamienia skruszonego gąsienicą czołgu. Podniesiony na duchu ustąpił i zgodził się przeczekać burzę.

Stalowoszarze niebo wisiało nad ich głowami przez większość dnia, a zapadnięcie zmroku oznaczało jedynie zwiększenie natężenia ponurej szarości. Tym razem jednak ciemności okazały się ich sprzymierzeńcem. Mieli wrażenie, że wrogowie rozpalili dla nich ognisko sygnalizacyjne, precyzyjnie naprowadzające na cel wędrówki. Nie był to błękitny płomień pochodni Llorów, lecz silne żółte światło obozowych lamp Ziemian.

Pozostawiwszy gueny pod opieką Larsena, Kosti, Kana i Hansu ruszyli ostrożnie w jego kierunku, momentami czołgając się, czujni na najmniejszy ślad wartowników, których mogli rozstawić ci, do których należało to obozowisko. Wreszcie dotarli na skraj wąwozu wpatrując się w jasną plamę światła, w której blasku wyraźnie widzieli stateczniki niewielkiego statku kosmicznego Na dole nikt się nie poruszał. Całe obozowisko wyglądało jak wymarłe.

— Zostańcie tutaj — szepnął Hansu. Zanim zdążyli się sprzeciwić, zniknął bezszelestnie w ciemności.

Leżeli skuleni, drżąc w zimnych podmuchach wilgotnego, słonego powietrza. Poza jego delikatnym poświstem słyszeli jedynie niedaleki pomruk fal uderzających w plażę. Przy statku nic się nie ruszało.

Wydawało się, że minęło sporo czasu, zanim Hansu zjawił się ponownie. Kazał im wycofać się do miejsca, gdzie został Larsen z guenami. Siedzieli ukryci za głazami, a on nakreślił im sytuację.

— To mały statek, wygląda podobnie jak te, których używa patrol. Jest strzeżony. W ciemnościach trudno coś zobaczyć. Będziemy musieli poczekać do świtu, zanim coś postanowimy.

Kana podsypiał momentami i sądził, że pozostałym też się to zdarzało. Mimo niewygody dawno już nauczyli się łapać sen w każdej wolnej chwili, bez względu na warunki. Świt był jaśniejszy od poprzednich, kolejny znak, że pora burz dobiegała końca.

Gueny umieszczono w odnodze wąwozu, chociaż Kana nie kazał wiązać ich zbyt mocno. Nie musiał tego wyjaśniać: ruszali w drogę bez powrotu, albo zdobędą statek i odlecą stąd, albo — los guenów i całej Fronn nie będzie ich dłużej obchodził.

Wspięli się na krawędź wąwozu, skąd nocą obserwowali obozowisko. W dziennym świetle blask lamp przygasł nieco, a na tle czarno-białych skał wyraźnie rysowała się sylwetka statku. Został precyzyjnie posadzony ręką świetnego pilota na samym środku niewielkiego kanionu o niemal płaskim dnie. Wyglądał rzeczywiście na szybki pojazd patrolu galaktycznego.

Nikt nie zdziwił się na widok insygniów patrolu, które stały się dokładnie widoczne, kiedy się zupełnie rozjaśniło. Smukły jak igła, mógł pomieścić najwyżej dwunastoosobową załogę. Ponieważ przywiózł czołgi, przedział załogowy musiał zostać dodatkowo zmniejszony.

— Czegoś takiego właśnie nam trzeba — powiedział Larsen ledwo słyszalnym szeptem. — Tylko jak go zdobyć? Pod niewielkim przewieszeniem ściany kanionu po drugiej stronie widzieli plastikowy bąbel namiotu. Właśnie wyczołgiwał się z niego jakiś człowiek. Stanął i przeciągnął się szeroko. Ubrany był w mundur mecha i, o ile dobrze widzieli z tej odległości, był Ziemiąninem. Chwilę później dołączył do niego drugi, który — choć również w mundurze legionu — nie należał z pewnością do ich rasy. Te zbyt długie, zbyt cienkie nogi, dziwne ruchy ramion, jakby wyposażonych w dodatkowe stawy, w wyszkolonych oczach Kany natychmiast zdradzały, że nie pochodził z układu słonecznego. Był jednak zbyt daleko, aby można było dokładniej określić, jaka gwiazda oświetlała jego rodzinną planetę. Mech zbliżył się do przybysza w postawie wyrażającej głęboki respekt. Ten niezgrabnie wyszedł na otwartą przestrzeń i wpatrywał się w wąski początek wąwozu, jakby spodziewał się, że ktoś nadejdzie z tamtej strony. Nie mylił się. Piski guenów dotarły równocześnie do uszu ludzi na dnie kanionu i mieczników ukrytych w jego koronie.

Pojawiła się grupa jeźdźców. Llorowie siedzieli pochyleni w siodłach, a ich zwierzęta wlokły się noga za nogą, jakby wycieńczone przebytą drogą. Kana ocenił, że nie byli to żołnierze; bardziej wyglądali na łowców guenów z głębi łądu, jakich napotkali w wędrowce przez góry. Tylko ich przywódca miał na ramieniu strzelbę,

pozostali byli uzbrojeni w miecze, lance i grube zwoje lin, służące im za broń i arkany do łapania zwierząt.

Wódz Llorów zsunął się z siodła i natychmiast usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Obcy w mundurze mecha usiadł naprzeciw niego na stołku pospiesznie przyniesionym z namiotu przez drugiego mecha. Reszta Llorów wyciągnęła się na ziemi, ciężko dysząc. Pojawiło się jeszcze trzech Ziemian. Trzymali się nieco z boku. Wszystko wskazywało na to, że za chwilę odbędzie się jakaś konferencja.

Chwilami dyskusja wyraźnie się zaogniała. W pewnym momencie przywódca Llorów posunął się nawet do tego, że zerwał się na równe nogi i szarpnął wodze guena, zmuszając niechętnie zwierzę do przyjęcia pozycji umożliwiającej wskoczenie na siodło. Jednak szybki gest i słowa wypowiedziane przez cudzoziemca najwyraźniej go uspokoiły, tak że ponownie siadł na ziemi.

Hansu niecierpliwił się, będąc jedynie widzem, a nie słuchaczem tego spotkania. Wiercił się niemiłosiernie, jakby miejsce, które obrał za schronienie, zostało nawiedzone przez ogniste mrówki z Vol. Jednak dopóki nie można było opanować sztuki bycia całkowicie niewidzialnym, nie miał najmniejszej szansy, żeby podsłuchać rozmowę.

Wreszcie spotkanie dobiegło końca. Wódz Llorów wydał jakiś rozkaz swym wypoczywającym żołnierzom. Czterech z nich podniosło się bez entuzjazmu i im bardziej zbliżali się do namiotu mechów, tym bardziej wyraźna była ich niechęć. Pod okiem swego przywódcy i obcego podeszli do wyjścia do namiotu. Czwórka mechów zniknęła w jego wnętrzu, aby po chwili wyjść z dwoma dużymi, wąskimi skrzyniami. Każdą dźwigało dwóch mężczyzn.

Hansu zerwał się z kolan i Kana zaczął się zastanawiać, czy ostrzegawcze szturchnięcie nie byłoby zbyt śmiałością wobec dowódcy. Jednak ci w dole byli tak pochłonięci swoimi sprawami, że na pewno nie zadaliby sobie trudu spojrzenia w górę.

Dwie skrzynie przekazano Llorom, którzy chwycili je z obrzydzeniem, ale przenieśli pod rampę prowadzącą do luku statku. Z namiotu wyłoniła się druga para skrzyń, które również przeniesiono pod rampę. Kana starał się domyślić, co mogło kryć się w ich wnętrzu. Może jakaś broń? Tylko po co ładowałiby broń na pokład statku? Logika nakazywała raczej, aby ją stamtąd wyciągać.

Kiedy pod rampą znalazło się sześć skrzyń, obcy oraz dwóch mechów zaczęli majstrować coś przy ich wiekach.

— To przecież... — twarz Hansu była nienaturalnie biała pod warstwą ciemnego pigmentu. Oddychał chrapliwie, jak podczas trudnej wspinaczki. Stalowe oczy, nieomyłne, wojownicze, wpijały się w grupę na dnie wąwozu. Pierwszy z mieczników rozpoznał zawartość skrzyń.

Trumny — Kana czuł, jak cierpnie mu skóra. To, co mechowie z nich wyjmowali, nie mogło być niczym innym niż zwłokami, zwłokami w czarno-białych mundurach patrolu.

— Dlaczego? — cichy protest nie doczekał się odpowiedzi ze strony towarzyszących mu Ziemian.

Llorowie przenieśli puste już skrzynie pod odległą ścianę wąwozu. Obcy przejął komendę, pokazując, jak należy ułożyć ciała w nieregularnym rzędzie.

Hansu syknął przeciągle — trudno znaleźć inne określenie dźwięku, jaki wydało powietrze wydobywające się przez jego zaciśnięte zęby. Kanie wydarzenia rozgrywające się na dole mogły się jeszcze wydawać nielogiczne, lecz dowódca zaczął pojmovać ich znaczenie.

Obcy cofnął się i gestem nakazał mechom, aby się odsunęli, choć Llorowie zgromadzili się obok statku, jakby badali zwłoki, które przed chwilą tak ostrożnie tam

złożyli.

— On to filmuje! — powiedział Larsen. Nie mylił się. Za moment i Kana dostrzegł w dłoni obcego mikrokamerę — utrwał ją całą scenę, statek, bezwładne ciała, Llorów przyglądających się im ciekawie. Dowód — na co? Dla kogo?

— To prowokacja, doskonała prowokacja — rzucił Hansu.

— Więc o to im chodziło!

Obcy filmował jeszcze chwilę, potem skinął na wodza Llorów, który dał znak swoim. Odeszli od statku z szybkością, która świadczyła, że byli szczęśliwi, skończywszy dziwaczne zadanie, które im wyznaczono. To, co nastąpiło potem, wprowadziło archów w prawdziwe zdumienie.

Dwaj mechowie złożyli namiot i zaczęli ciągnąć go wraz z innymi pakunkami w stronę szerszego końca wąwozu. Wkrótce zza skał wyłonił się czołg; nie skierował się jednak ku statkowi, lecz zatrzymał się i czekał, aż mechowie i obcy weszli do niego. Wówczas szybko ruszył na zachód. Llorowie odczekali, aż przybysze oddalą się, i wsiedli na swoje wierzchowce. Nie pojechali jednak za czołgiem — ruszyli w przeciwnym kierunku.

Statek pozostał na miejscu, podobnie jak ciała pod rampą. Ledwie ostatni Llor zniknął z pola widzenia, Hansu przesadził krawędź kanionu i pośpiesznie schodził w dół. Kana i pozostali z trudem dotrzymywali mu kroku.

Dopędzili go dopiero na dole, gdy klęczał przy najbliższych zwłokach. Twarz miał posepną.

— Ten człowiek został zastrzelony — powiedział wolno. — Ze strzelby archów.

Rozdział XV

Jeśli choć jeden z nas przeżyje.

— Czy to naprawdę ludzie z patrolu? — dopytywał się Larsen.

Trudno było w to uwierzyć, mimo wszelkich dowodów leżących przed ich oczami, że coś takiego mogło naprawdę się wydarzyć. Patrole cieszyły się zbyt wielkim prestiżem.

Nie było wątpliwości, że ci ludzie zostali zastrzeleni, i że te strzały nie padły z lżejszej broni Llorów, z miotaczy mechów, czy broni będącej na wyposażeniu patroli. Kule pochodziły ze specjalistycznej broni noszonej jedynie przez mieczników z Ziemi.

— Nawet jeżeli to nieprawda, to i tak na filmie będzie to wyglądało jak najbardziej prawdziwie — zauważył z goryczą Kosti. — Ten agent nie kręcił filmu dla rozrywki. Wyobrażacie sobie, jakie wrażenie wywrze ten film w pewnych kręgach? Patrol w zasadzce zbuntowanych archów...

Larsen kopnął kamień w niemym buncie. — Nadal tego nie pojmuję. Po co im to wszystko?

— Alibi, tłumaczące, dlaczego nas gonią — odezwał się Kana po raz pierwszy. — Mam rację, sir? Mając dobrą historyjkę i taki film jako dowód, ten agent może uznać nas za zdrajców i nikt nie będzie chciał nas wysłuchać, nawet w Primie.

Pragnął, żeby Hansu mu zaprzeczył, żeby powiedział, że ponosi go wyobraźnia, jednak dowódca jedynie mu przytaknął.

— To brzmi bardziej przekonująco niż pięćdziesiąt innych wyjaśnień. — Wysoki mężczyzna podniósł się z klęczek, przyglądając się statkowi. — Tak, przygotowali tu na nas coś naprawdę obrzydliwego. Udałoby im się, gdybyśmy nie przybyli na czas.

— A więc chcą nas wykończyć — głos Kostiego brzmiał wojowniczo. — No, to co robimy?

— Popsujemy im szyki! — powiedział zdecydowanie dowódca. — Kosti, wejdź na pokład i zobacz, czy da się tym stąd odlecieć.

Miecznik wspiął się pospiesznie na rampę, a Hansu zwrócił się do pozostałej dwójki.

— Pogrzeb — wskazał na ciała.

Wykonali zadanie tak, jak wykonywali je wielokrotnie dla swych poległych towarzyszy w ciągu ostatnich trudnych tygodni. Wiedzieli, że kiedy płomienie zgasną, po zbrodni nie pozostanie żaden ślad. Segregowali przedmioty powyciągane z kieszeni zabitych w celu przyszłej identyfikacji, kiedy we włazie kosmolotu pojawiła się głowa Kostiego.

— Mamy szczęście, sir. Statek w porządku, gotów do startu!

Hansu jedynie skinął głową. Wyglądało na to, że powziąwszy ostateczną decyzję, co należało zrobić, był całkowicie przekonany, że los pomoże doprowadzić to do szczęśliwego zakończenia. Zapakował pamiątki po członkach patrolu do pustej torby po racjach żywnościowych i poprowadził resztę do wnętrza statku.

Jedynie statki międzyplanetarne, jakie Kana znał dotąd, były wojskowymi transportowcami. Choć wówczas wydawały mu się wąskie i zatłoczone, teraz miał przed sobą coś nieporównanie mniejszego i bardziej ciasnego. Schody drabinkowe pięły się z poziomu na poziom wijąc niebezpiecznie; tak wąskie, że z trudem dawały się pokonać potężnie zbudowanym mężczyznom. Mimo to wspięli się do górnego przedziału: Kosti na przedzie, dowódca tuż za nim.

Uderzył ich ostry zapach smarów i stęchlizny. Weszli wyżej do kokpitu. Hansu

wskazał na taśmę pilota przed tablicą kontrolną.

— Potrafisz nim wystartować, Kosti?

Miecznik obnażył zęby w szerokim uśmiechu. — Chyba nie mam wyboru, prawda, sir?

Zapinał pasy, podczas gdy Kana i Larsen przymierzali się do materacy przyspieszeniowych, a Hansu zajmował miejsce astronawigatora.

— Macie pięć minut na rozejrzenie się dookoła, jeżeli chcecie, sir — zaproponował Kosti, prawdopodobnie chcąc w spokoju raz jeszcze zapoznać się z przyrządami, zanim wystrzeli ich z wątpliwego bezpieczeństwa frońskiego ładunku.

Szybko obejrzeliby kabiny. Małe pomieszczenia były w dzikim nieładzie. Wszędzie walały się części odzieży, sprzęty i rzeczy osobiste. Wyglądało to, jakby ktoś splądrował statek. Kana podniósł z podłogi trójwymiarową fotografię, na której nadal widoczne były skośne oczy i trójkątne usta kobiety z Lydii Pierwszej.

— Piękna robota — Hansu patrzył na bałagan okiem znawcy. — Dowód B lub C — splądrowanie statku, sprawcy: niegodziwi archowie.

— Sądziś, że to prawdziwy statek patrolu? Że zamordowali ich tylko po to, żeby nas oczernić, sir? — spytał Larsen.

— Całkiem możliwe, choć wydaje się to zbyt mocne przeciw tak niewielkiemu oddziałowi jak nasza horda. Musimy być naprawdę ważni.

Ze zmarszczonymi brwiami Hansu wrócił do kokpitu.

— Masz tu program lotu na Ziemię? — spytał Kostiego.

— Lecimy do Primy, sir? Myślałem, że mieliśmy dotrzeć na Secundusa — zaprotestował nowy pilot.

— To może być prawdziwy statek patrolu. Jeżeli poświęcili go, żeby się do nas dostać, muszę wiedzieć, dlaczego, i chcę zacząć zadawanie pytań od samej góry!

— Prawdziwy statek patrolu! — wreszcie to do niego dotarło. Kosti odwrócił się błyskawicznie i wcisnął trzy przyciski na skrzynce obok siedzenia. Rozległ się cichy trzask i na dłoń wypadł mu niewielki dysk.

— Tak jest, sir. Mamy współrzędne na Ziemię. Wyciągnął inną dyskietkę z tablicy przed sobą i wprowadził na jej miejsce nową. — Zapnijcie się — rozkazał.

Hansu ułożył się na sąsiedniej siatce, a Kana z Larsenem zapięli pasy materacy przyspieszeniowych. Na tablicy zapaliło się czerwone światło. Palce Kostiego biegały po klawiszach.

— Miejmy nadzieję, że wystartujemy, a nie wylecimy w powietrze — po tej uwadze nacisnął najważniejszy przycisk.

Gigantyczna dłoń zwała się na pierś Kany, wyduszając z niej całe powietrze. Zanim stracił przytomność, zdążył się zorientować, że wylatywali w przestworza — nie eksplodowali.

Kosti nie był doświadczonym pilotem, więc moc, z jaką oderwał statek od Fronn, była silniejsza niż to było potrzebne. Odzyskując przytomność Kana stwierdził, że jego twarz lepi się od krwi.

— Nasz śpioch się budzi! — Kosti spojrział na niego przez ramię. — A już myślałem, że chcesz spędzić podróż w hibernacji, chłopie. To nie jest konieczne, mamy mnóstwo miejsca.

Statek był pilotowany przez autopilota, który miał przeprowadzić ich przez ugięcie czasoprzestrzeni. Nie pozostało im nic innego jak jeść, spać i przyzwyczaić się do nieprzyjemnego readaptowania się do ziemskich warunków, które miało umożliwić im wylądowanie w ojczyźnie bez dalszych zabiegów.

— Jak długo polecimy? — spytał Larsen.

Cała trójka spojrzała na Kostiego oczekując odpowiedzi, lecz on jedynie wzruszył ramionami. — Chyba ze czternaście dni. Te statki przechodzą przez ugięcie jak

błyskawice. Pojazdy patrolu mają osiągać maksymalne prędkości.

Dwa tygodnie. Kana wyciągnął się na hamaku. Miał teraz czas, aby wszystko przemyśleć spokojnie. Nie musiał być gotowy do nagłego działania, do natychmiastowych decyzji. Cały ten bałagan był parszywy, źle wróżył na przyszłość. Z jakichś nieznanых powodów ten obcy w mundurze mecha przygotował spisek, spisek, który udało im się zniszczyć jedynie dzięki szczęśliwemu splotowi wydarzeń. Był pewien, że według tego planu statek i jego martwa załoga mieli zostać odnalezieni w dramatycznych okolicznościach. Patrol zastrzelony z broni archów, na planecie, gdzie polowano na hordę. Dlaczego jednak zadano sobie tyle trudu? Po co próbowano nie tylko zniszczyć oddział Ziemiaków, ale i oczernić go, podczas gdy to pierwsze było tak łatwe do wykonania i dałoby się wyjaśnić zwyczajnym brakiem szczęścia na wojnie?

Taki skomplikowany spisek oznaczał, że nie tylko mechowianie odszczepieńcy, ale i agenci w ich mundurach obawiali się czegoś ze strony ludzi Yorke'a. Czy chodziło o zamordowanie Yorke'a i jego oficerów? Mało prawdopodobne. Nie mieli na to żadnego dowodu — żadnego świadka, którego można by formalnie przesłuchać. Dlaczego, po co wymyślono aż tak niesamowity plan, aby tylko ich zdyskredytować?

Czyżby — ręka sama powędrowała mu ku rękojeści miecza — czyżby odwieczny pat w stosunkach między Ziemią a Centralną Kontrolą miał zostać wreszcie przełamany? Czyżby Centralna Kontrola starała się usilnie nie tylko zniszczyć ziemskie siły zbrojne w wyniszczającej, bratobójczej wojnie, lecz także przedstawić ich w oczach Galaktyki jako zdrajców i morderców? Może to było dla nich szansą otwartej walki, przeciwstawienia się warunkom narzuconym przez Centrum, żeby udowodnić, że Ziemiaki mają takie same prawa do międzygwiazdnych szlaków jak każda inna rasa! Był to jedynie cień nadziei, lecz Kana uchwycił się go kurczowo i przysięgł sobie, że kiedy następny raz wyruszy w kosmos, nie będzie miał na sobie zielono — szarego munduru, który mu narzucono.

Statek wyszedł z ugięcia, ale według niezbyt pewnych obliczeń Kostiego od Primy dzieliły ich jeszcze dwa dni podróży, gdy słaby „bip” skierował uwagę Kany i Larsena na ekran nad tablicą kontrolną. Dowódca i Kostik właśnie spali, nikt więc nie mógł im wyjaśnić, co oznacza maleńki punkcik świetlny przesuwany się po jego ciemnej powierzchni. Kana zdecydował się zbudzić Kostiego.

— Po prostu mamy chyba towarzystwo, chcę sprawdzić, czy przeszliśmy przez ugięcie w dobrym stanie — tymczasowy pilot przecierał zaspane oczy. Kiedy jednak zobaczył, co się dzieje na ekranie, natychmiast się rozbudził.

— Sprowadź Hansu — rzucił.

Gdy Kana wrócił z dowódcą do kokpitu, słabe „bipnięcia” sygnału przeistoczyły się w ciągle brzęczenie.

— Możesz nawiązać kontakt? — spytał Hansu.

— Jeśli chcesz. Ale to nie jest jakiś kupiec międzyplanetarny. Jesteśmy na kursie statków patrolowych. Jedynie patrol może się po nim poruszać.

Na powierzchni planety, uzbrojeni, wiedzieliby, co zrobić, mając przed sobą potencjalnego wroga. Jednak w kosmosie nawet rutynowe zdarzenia mogły ich niepokoić.

— Czy mam przyjąć ich wiadomość? — naciskał Kostik. Dowódca pocierał kciukiem dolną wargę, nie odrywając oczu od światełka na ekranie, jakby mógł z niego odczytać „nazwisko, stopień i czas zaciągu”.

— Czy ten ekran — wskazał szklaną płytę — może być tak nastawiony, aby jedynie odbierał, czy też po włączeniu go staniemy się automatycznie widocznymi?

— Może działać w jedną stronę. Ale to będzie dość podejrzane.

— Niech sobie myślą, co chcą. Potrzebujemy więcej czasu i odpowiedzi na parę

pytań, zanim zobaczą nasze twarze. Wyłącz nadawanie, zanim nawiążesz kontakt.

Kosti nastawił kilka gałek. Ekran rozbłysł jasnym światłem i po chwili pojawiła się na nim szczupła twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi — humanoid z Procyon. Obcisła czapka oficera patrolu okrywała jego pozbawioną włosów głowę, znak komety świadczył, że mieli do czynienia z dowódcą wyższej rangi.

— Co to za statek? — spytał aroganckim tonem, jaki nieświadomie przyjmowali wszyscy oficjele z Kontroli Centralnej. Nie widział ich, ale sprawiał wrażenie, że wie, iż rozmawia z Ziemianami. Kana zjeżył się od razu. Zaciśnięte usta Hansu świadczyły, że nie on jeden tak reaguje.

— Daj mi mikrofon — wyciągnął rękę do Kostiego.

— Tu statek patrolowy, nazwa i numer rejestracyjny nieznany — mówił powoli, sucho, w podstawowym języku handlowców, starając się, by nie zdradził go ziemski akcent. — Znaleźliśmy go bez załogi i zwracamy odpowiednim władzom.

Dowódca patrolu nie zarzucił im otwarcie kłamstwa, lecz na jego twarzy pojawił się wyraźny wyraz powątpiewania.

— Nie leciecie do bazy patrolu — zauważył szorstko. — Dokąd zmierzacie?

— Jak gdyby się nie domyślał! — szepnął Kosti.

— Odpowiadamy przed naszymi przełożonymi — mówił Hansu — zgodnie z prawem...

Wąską twarz wykrzywił wyraz nieskrywanej niechęci.

— Ziemianie! — wypowiedział to słowo niemal ze wstrętem. — Przygotujcie się na przyjęcie patrolu na pokład. — Twarz zniknęła z ekranu.

— No cóż — powiedział Kosti z rezygnacją. — Jeżeli spróbujemy uciekać, rozwalą nas.

— Za mną! — Hansu wybiegł z kabiny. Ożywieni jego pewnością siebie, ruszyli za nim. Poza sztucznym polem grawitacyjnym części załogowej płynęli, czepiając się ścian, do środkowego przedziału statku, gdzie dowódca otworzył jakiś właz. Za nim mieściła się komora ratunkowa z dwoma pojazdami. Były bardzo małe — Kana patrzył na nie nieufnie, walcząc z uczuciem klaustrofobii.

Hansu zatrzymał się przy najbliższym:

— Kosti, weź drugi. Będziemy mieli większą szansę przekazania naszego raportu. Jeśli choć jeden z nas przeżyje, musi dostać się do Primy! Jeśli się to nie powiedzie, może to oznaczać, w pewnym sensie, koniec Ziemi. Ta sprawa jest większa niż my wszyscy. Larsen, polecisz z Kostim. Nastawcie program na Ziemię; kiedy wylądujecie, ruszcie do Primy, nawet gdybyście mieli wybłągać, pożyczyć czy ukraść środek transportu. Pytajcie o Matthiasa; musicie się do niego dostać nawet po trupach! Zrozumiano?

Nikogo nie zdziwiła drastyczność rozkazu. Hansu wsiadł do pojazdu ratunkowego, a Kana niechętnie ułożył się za nim. Wspólnie musieli zamknąć i uszczelnić służę wejściową. Hansu leżał na miejscu pilota.

Dowódca nastawił wskazówkę na niewielkiej tarczy nad głową, trzy razy sprawdzał jej ustawienie i dopiero potem uruchomił system, który oddzielił ich od macierzystego statku. Przeciężenie było niemal tak samo silne jak przy odlocie z Fronn. Żebra Kany, wciąż obolałe po tamtym starcie, ściśnięte zostały z taką siłą, że krzyknął z bólu. Kiedy był już zdolny odwrócić głowę, zobaczył, że Hansu siedzi spokojnie z głową opartą na dłoniach wpatrzony w tarczę, choć odległy od niej myślami.

— Czy uwolniliśmy się? Czy uciekliśmy im, sir? — spytał Kana wciąż oszołomiony.

— Przecież żyjemy, prawda? — Hansu uśmiechnął się przelotnie. — Gdyby dostrzegli naszą ucieczkę, zostałyby po nas tylko popioły. Miejmy nadzieję, że jeszcze

choć przez kilka sekund skupią się na statku.

— Co ich tak rozwścieczyło, sir? Patrol zwykle nie reaguje tak gorączkowo, prawda? Ten oficer powiedział „Ziemianie” takim tonem, jakbyśmy byli błotnymi robakami z Lombros...

— Nie powinno cię dziwić, Karr, że niektóre z „lepszych” ras, które tworzą Centralną Kontrolę, mają tendencję do umieszczania nas na niewiele wyższym poziomie, oczywiście tylko między sobą. Nikt otwarcie nie szczydzi się przynależnością do wyższej kasty, to zbyt przypominałoby uprzedzenia rasowe. Jednak widziałem już Arcturianina, który wyszedł z kantyny, zanim skończył posiłek, tylko dlatego, że obok usiadł Ziemianin. To oczywiście jest nielegalne i wysoce nieetyczne, sprzeczne z tymi wszystkimi pięknymi hasłami i wzniosłymi uczuciami wpajanymi im od kołyski czy jajka — a jednak trwa nadal.

— Jednak Zacathianie nie są tacy. Rey i Mic żyli w przyjaźni z Lupanianami na Secundusie.

— Oczywiście. Mogę dać ci przykłady tysięcy różnych narodów, którzy uznają Ziemian za równych sobie podobnie jak i my ich. Zauważ jednak dwie rzeczy, Karr, bo to ważne. Układy, gdzie jesteśmy persona non grata, są zdominowane przez rasy humanoidów, a loty międzygwiazdne mają tam długą historię. To pionierzy Galaktyki. Gdzieś w głębi serca czują lęk, do którego się nigdy nie przyznają.

— U nas na Ziemi — ciągnął — w dawnych czasach przed wojnami atomowymi, żyliśmy podzieleni na odrębne rasy, w zależności od koloru skóry, rysów twarzy i tak dalej. Z kolei te rasy dzieliły się na narody, które wzrastały w potęgę i sprawowały kontrolę nad ogromnymi częściami planety, nawet przez całe stulecia. Jednak z czasem wszystkie te narody traciły władzę. Wiesz, dlaczego?

Ponieważ twardzi wojownicy, którzy budowali te imperia, powymierali, a ich synowie czy synowie ich synów byli już inni. Nawet jeżeli wygaśnie duch walki w narodzie, imperium może się jeszcze utrzymać przez jakiś czas, jak dobrze zbudowana maszyna. Później części zaczynają się zużywać albo trzeba coś naoliwić, a tu nie ma nikogo, kto by pamiętał, jak to się robi, komu by zależało, kto miałby niezbędną siłę i wolę, żeby zabrać się do naprawy. Więc inny, młodszy i mocniejszy naród przejmował władzę, często po krwawej wojnie. Cała historia to dzieje całych serii takich imperiów. Stare ustępujące miejsca nowym.

Po chwili mówił dalej:

— Z drugiej strony rasy, z którymi mamy dobre kontakty w Galaktyce, nie są z naszego gatunku. Lubimy Zacathian, którzy pochodzą od gadów, lubimy Trystian, których praprzodkami były ptaki. Yubani ewoluowali z kotów. Większość z nich także niedawno weszła na galaktyczną scenę. Jednak, i to jest ważne, mają oni inne cele, inną przeszłość, inne pragnienia. Dlaczego Zacathianin miałby przejmować się wpływem czasu, spieszyć się, żeby coś osiągnąć, tak jak my to robimy? On żyje prawie tysiąc lat, on ma czas, żeby siedzieć i rozmyślać o tym, co się wokół niego dzieje. My czujemy, że mamy mało czasu, nie stanowimy jednak zagrożenia dla niego ani dla jego stylu życia,

— Ale, sir, czy sądzisz, że jesteśmy takim zagrożeniem dla innych, dla humanoidów z Arcturusa czy Procyonu? Ich cywilizacje są stare, lecz zasadniczo podobne do naszej...

— I wykazują już pierwsze oznaki rozkładu. Tak, dla nich stanowimy zagrożenie z powodu naszej młodej energii, która pcha nas do przodu, naszej woli walki, wszystkich tych rzeczy, nad którymi otwarcie ubolewają. Bez względu na to, jak stara jest Ziemia w naszych oczach, z punktu widzenia Galaktyki jest bardzo młoda. Dlatego starali się nas okiełznać, wyznaczyli ściśle określoną rolę. Teraz ich celem jest odcięcie nas od reszty. Nie chcą zrobić tego otwarcie i dostarczyć nam powodów

do protestu, który mógłby zaprowadzić nas przed Wielką Radę, lecz legalnie i ostatecznie. Dążą do tego, abyśmy trwonili siły w niepotrzebnych walkach, które w żaden sposób nie zagrażają ich władzy, abyśmy się wykrwawili i w ten sposób przestali im zagrażać w przyszłości. A ponieważ walczyliśmy i marzyliśmy o gwiazdach, zostaliśmy zmuszeni do przyjęcia ich warunków — przynajmniej na jakiś czas.

— Na jakiś czas, sir? — Kana nie mógł się powstrzymać. — Przez trzysta lat robiliśmy, czego od nas chcieli...

— A cóż znaczy trzysta lat na galaktycznej szachownicy? — odpowiedział Hansu spokojnie. — Tak. Przez trzysta lat słuchaliśmy ich rozkazów. Teraz jednak zaczynają sobie zdawać sprawę, że plan przestał działać. Nawet nie jestem pewien, czy ten plan był wyrachowany. Tak długo byli wszechwładni, że pewnie sami uwierzyli w swoją boskość, w to, że nie mogą się nigdy pomylić. Zawsze działali przeciw nam z ukrycia, aż do teraz.

Od początku mieliśmy przyjaciół i stale ich przybywa.

Gdyby Ziemia została arbitralnie potępiona i ograniczona do swego układu słonecznego, zaczęliby zadawać niewygodne pytania. Może nawet ich przycwilizowane umysły nie dopuszczały do siebie tak praktycznego rozwiązania, przynajmniej na początku. Jednak gdzie mogli, starali się nas ograniczyć. Ziemianie nie są przyjmowani do patrolu — to służba dla „lepszych” ras. Handlowcy nie dopuszczają nas do swych firm. Nawet wojny, które prowadzimy, są — mimo że w nich giniemy — starannie łagodzone. Najnowocześniejszy sprzęt meków jest lata całe za bronią, którą mieszkańcy powiedzmy Rigel Sześć od dawna uważają za przestarzałą.

— Po co jednak ten numer ze statkiem, sir?

— Albo jakieś gorące głowy w Radzie starają się przepchnąć własne pomysły, albo też zaczęli rozumieć, że my Ziemianie niezupełnie jesteśmy tacy, na jakich wyglądamy. — Hansu odwrócił głowę i spojrzał na Kanę przenikliwie, jakby chciał wejrzeć w głąb jego umysłu.

— Jak sądzisz, dlaczego prowadzimy szkolenia w kontaktach z obcymi i upieramy się, żeby łącznicy byli we wszystkich hordach i legionach wylatujących w inne światy?

— Przecież to oczywiste, sir. Oficerowie łącznikowi są niezbędni na obcych planetach.

— Takie jest oficjalne wytłumaczenie i żaden agent Kontroli nie potrafi mu się logicznie przeciwstawić. Jednak każdy Ziemianin obdarzony odpowiednim charakterem, aby przejść to szkolenie, jest obserwowany i klasyfikowany od chwili, kiedy przejdzie przez pierwsze testy. Bez ostentacji szpikujemy go całą dostępną nam wiedzą. Dostaje cichą zachętę aby, po kryjomu, zaprzyjaźniać się z przybyszami. Kiedy się zaciągnie, dowódcy stwarzają mu jak najwięcej możliwości, żeby mógł poszerzyć swoją wiedzę o innych planetach.

— Więc dlatego chciałeś, żebym skontaktował się z Venturimi, sir?

— Tak. Dlatego też pojechałeś na Po'ult. Od dawna wiemy, że musimy mieć jak najwięcej łączników. Im poznają inne formy życia, tym lepiej dla nas. Jeżeli musimy rzucić otwarte wyzwanie Centralnej Kontroli, nie możemy być sami. Im więcej zaprzyjaźnionych lub choćby nie wrogich nam ras, tym lepiej. Przy okazji możemy przygotowywać się do zupełnie nowej służby. Co byś powiedział na to, gdyby w przyszłości Ziemia nie wysyłała wojowników, lecz zespoły badawcze?

— Zespoły badawcze?

— Grupy wyszkolonych badaczy do pionierskich lotów na nowo odkryte planety, aby przygotować grunt pod kolonizację światów, na których nie ma miejscowych

form inteligentnego życia. Grupy, których członkowie są dobierani pod kątem indywidualnych zdolności, wylatujące w kosmos nie jako patrole czy handlowcy, nie policjanci czy kupcy, lecz po to, żeby odkryć, co znajduje się na orbicie wokół kolejnych słońc. Grupy złożone nie tylko z ludzi, lecz łączące w sobie z tuzin różnych gatunków: telepatów, techno-wizjonerów, nieraz odległych od humanoidów.

— Uważasz, że coś takiego mogłoby stać się realne, sir? — pytał Kana rozgorączkowany, odnajdując w tej idei własne marzenia.

— Dlaczego nie? Może doczekamy się tego już w niedalekiej przyszłości. Dotrzyjmy tylko do Matthiasa z naszym raportem z Fronn, a będzie miał argument w dowództwie przeciw Centralnej Kontroli. Przypuśćmy, że wszystkie hordy i legiony rozsiane po całej Galaktyce dostaną rozkaz do buntu. Taka sytuacja zdenerwowałaby Centralę i zakończyła ich starannie nadzorowany pokój. Taniej by ich kosztowało pozwolić nam ruszyć własną drogą, niż zmagać się z rebeliami i powstaniem jednocześnie na setkach planet.

— Słyszałem wiele plotek, sir, ale nie o buncie.

— Przypuszczam, że nie! — odpowiedział Hansu. — Większość dowództwa to konserwatyści. Od pokoleń prowadziliśmy wyspecjalizowany styl życia na Ziemi. Żołnierzy niewiele obchodzi to, co nie jest bezpośrednio związane z ich własnym legionem czy hordą. W Primie starają się wynajdywać kartoteki najbardziej obiecujących ludzi i kierować ich do oddziałów, gdzie mogliby najlepiej służyć sprawie. Jednak ten bałagan na Fronn może zagrozić ich pozycji; nawet najbardziej twardogłowym generałom. Kiedy zobaczą, że można skierować Ziemianina przeciw Ziemianinowi przy pełnej aprobacie Centralnej Kontroli, że mech może być użyty do polowania na archa, posłuchają, co mamy im do powiedzenia. — Zaciśnięta pięść Hansu uderzyła w skraj materaca. — Czas! Dajcie nam dość czasu! Musimy dotrzeć do Matthiasa, a on już podpali tę beczkę prochu!

Rozdział XVI

Droga do Primy

Dwójce żołnierzy w pojeździe ratunkowym czas włókł się nieskończenie powoli. Mogli jedynie spać skuleni w jednej pozycji w ciasnym pomieszczeniu, łykać racje żywnościowe i rozmawiać. Hansu mówił niemal bez przerwy, snując długie powieści o dalekich światach, gdzie nikt z ludzi nie mógł się obyć bez kombinezonu ciśnieniowego, o dziwacznych miejscowych rytuałach, o bezlitosnych walkach z przeważającymi siłami przeciwnika.

Kana chłonał to wszystko w skupieniu, jakby miał zdawać egzamin z zawartych w tych opowieściach wiadomości, ponieważ dzięki temu mógł zapomnieć o swej obecnej sytuacji, o miniaturowym statku, którego ograniczona przestrzeń napawała go przerażeniem i który nie dawał pewności, że zdołają bezpiecznie wylądować w ojczyźnie. Zdawał też sobie sprawę z tego, że dowódca dzielił się z nim całym swym doświadczeniem zdobytym przez lata walki. Słuchał eksperta w kontaktach z obcymi, człowieka, który opowiadał o największej pasji swego życia.

— ...składali ofiarę w noc podwójnego księżyca, a my schowaliśmy się za skałami, żeby się temu przyjrzeć. Przeszło to wszystkie nasze oczekiwania...

Ostre brzęczenie przerwało opowieść. Kontrolki rozbłysły czerwonym światłem. Weszli w atmosferę Ziemi!

Kana starał się zachować spokój. Przestał obawiać się najgorszego, że miną swą planetę i będą bez końca przemierzać pusty bezkres przestrzeni kosmicznej. Nie mieli nic do roboty: pojazdy ratunkowe były całkowicie kontrolowane przez roboty, ponieważ często ci, którzy z nich korzystali, byli zbyt ranni lub zszokowani, by móc utrzymać jakikolwiek kurs. Te miniaturowe statki były tak zaprogramowane, żeby zapewnić swym pasażerom lądowanie w najkorzystniejszym dla nich terenie i nie pozostawało nic innego, jak zaufać im całkowicie.

Gdzie wylądują? Kana wbił wzrok w metalowy sufit nad głową. Najgorsza ewentualność: na oceanie. Ale wówczas nie będą musieli długo czekać na śmierć. Byłby to w pewnym sensie akt łaski.

— Mam nadzieję, że nie siądziemy zbyt daleko od Primy, sir — zmusił się, by powiedzieć to możliwie spokojnym tonem.

— Sam bym tego chciał!

Kiedy znaleźli się na Ziemi, Kana stwierdził, że wisi głową w dół, zaplątany w pas. Spanikowany zmagał się z zapięciami, lecz nie udawało mu się ich odpiąć. Podszedł dowódca i pomógł mu stanąć na nogi. Tylne ścianki wąskiej kabiny stanowiła teraz podłoga, a właz, przez który dostali się do wnętrza, boczne drzwi, które dowódca usiłował otworzyć. Znaleźli się w niewielkiej śluzie, gdzie ukazało im się morze płomieni i kłęby gryzącego dymu. Hansu pospiesznie zatrzęsł pokrywę zewnętrznego włazu. Był wyraźnie zatroskany.

— Rakiety hamujące — mrucał na wpół do siebie. — Musiały spowodować pożar przy lądowaniu.

Pożar! Statek na pewno otoczony jest morzem ognia. Nagle Kana przypomniał sobie jedną z opowieści dowódcy.

— Czy na wyposażeniu jednostek ratunkowych nie powinno być kombinezonów ciśnieniowych, sir?

— To jest to! — Hansu wycofał się do kabiny.

Jej ściany były solidne. Opukiwanie nie wykazało żadnych schowków. Pozostawały jedynie wyściełane koje. Kana pociągnął materac, który z łatwością dał

się ściągnąć. Miał rację! Pod materacami mieściły się niewielkie pojemniki, w których znaleźli również kombinezony.

— Będą nieco ciasne — Hansu uważnie oglądał sprzęt — ale z godzinę powinniśmy w nich wytrzymać.

Wbicie się w te niezgrabne okrycia w warunkach panującej w kabinie ciasnoty wymagało akrobatycznej zręczności. Udało im się to w końcu i dowódca nastawił termostaty.

— Miejmy nadzieję, że to jedynie miejscowy pożar. Wskocz najdalej, jak się da.

Kana skinął głową, dokręcając okrągły hełm.

Hansu wyskoczył pierwszy. Kana pospieszył za nim. Przeleciał przez płomienie i dym, przykleknął na jedno kolano przy zetknięciu z Ziemią, szybko odzyskał równowagę i biegł niezgrabnie przed siebie, jak najdalej od pojazdu.

Biegł między pniami drzew, których korony były w ogniu, starając się nie potknąć o wystające korzenie. Dym zakrywał niemal wszystko. Na początku zmuszał się do przedzierania przez płomienie hamowany atawistycznym strachem, lecz kiedy przekonał się, że nawet nie odczuwa ich gorąca, śmielej wchodził w każde ognisko, jakie stanęło mu na drodze, którą sobie wyznaczył.

Nagle las się skończył i znalazł się na otwartej przestrzeni, na szczycie stromej skały. Pod sobą zobaczył wstęgę szosy, a na jej środku dziwną postać, w której z trudem rozpoznał dowódcę.

Zaczął rozglądać się za jakimś zejściem, ale mężczyzna na dole zaczął machać rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę, a potem wskazał na gruby pas kombinezonu. Kana zrozumiał, o co mu chodziło, i odnalazł przycisk na własnym pasie. Dał krok poza krawędź i powoli spłynął na szosę, lądując tuż przy Hansu. Szkoda, że te kombinezony nie są wyposażone w rakiety, tylko w urządzenie antygravitacyjne, pomyślał. Sądząc po otaczającym ich terenie, znajdowali się gdzieś na dzikim lądzie i zaoszczędziliby wiele czasu, gdyby mogli polecieć na bardziej cywilizowaną część kontynentu.

Smugi dymu nadal otaczały szosę, ruszyli więc dalej w kombinezonach, spodziewając się, że jeszcze mogą trafić na ścianę ognia. Droga wiodła jednak kamienistym terenem, który zatrzymał pożar. Roślinność wskazywała, że byli gdzieś w północno-wschodniej części dawnego kontynentu Ameryki Północnej, co nie byłoby takie złe — żaden ocean nie oddzielał ich od Primy. Po wojnach atomowych przez prawie tysiąc lat ten obszar pozostawał nie zamieszkany. Krążyły pogłoski o zamieszkujących go dziwnych mutantach, i nawet kiedy resztki ludzkości opuściły wyspy Pacyfiku, Afrykę i nie naruszone skrawki południowego kontynentu, tu nadal można było znaleźć rozległe, nie zamieszkane tereny.

Kana miał nadzieję, że Hansu wie więcej od niego o geografii tego obszaru i że nie wejdą głębiej w pustynię, dalej od cywilizacji. Może powinni trzymać się blisko statku i czekać na strażaków zwabionych pożarem.

Okazało się, że Hansu wiedział, dokąd iść, albo po prostu miał szczęście. Szosa zaczęła schodzić w dół na brzeg szerokiej rzeki. Po jej drugiej stronie ciągnęły się pola uprawne, żółte w jasnym świetle słońca. Uciekinierzy przeszli przez most i z ulgą zdjęli kombinezony.

Głęboko wciągnęli w płuca ziemskie powietrze. Przed wyprawą na Fronn Kana nie zdawał sobie sprawy z tego, jak było bogate i pachnące. Oszołomiony bogactwem tlenu i ciepłem letniego słońca, czuł lekki zawrót głowy. Wrócił optymizm. Znów był w domu, i w tej chwili to właśnie było dla niego najważniejsze.

— Gdzieś tu w pobliżu powinna być stacja rolnicza — powiedział Hansu. — Na pewno znajdziemy tam wideotelefon. Wezwiemy helikopter i polecimy do Primy.

— Jak daleko jesteście od bazy, sir?

— Moim zdaniem niezbyt daleko. Na północ od Primy jest pustynia podobna do tej.

Szli drogą między żółtymi łanami zbóż ciągnącymi się po horyzont. Przez chwilę towarzyszył im dziki królik, ciekawie ruszający różowym nosem. Nad głowami przelatywały stada ptaków.

— Kiedyś był to gęsto zaludniony kraj — zadumał się Kana.

— Nasi przodkowie uwielbiali nadmiar, zarówno życia, jak śmierci. Rozmnażali się szybciej, niż zabijali na wojnach. Oto i stacja!

Budynek stał w otoczeniu wysokich drzew przy niewielkim jezioru — oaza chłodu w centrum zakurzonej, rozpalonej słońcem żółtej przestrzeni. Kana czuł się, jakby wracał do swoich, do domu. Pamiętał to uczucie z czasów służby na lądzie. Może ludzie już tam byli — pszenica wyglądała na w pełni dojrzałą, gotową do żniw.

Jednak w stacji nikogo nie było. Echo ich kroków niesło się szeroko po pustych salach i korytarzach. Kana od razu trafił do spiżarni, podczas gdy Hansu szukał wideotelefonu. Za budynkiem ścielił się zielony trawnik schodzący po sam brzeg jeziora. Białe i żółte lilie otaczały kamienną ścieżkę prowadzącą do wody. Inne kwiaty rosły bujnie na kwietnikach, urozmaicających zielen trawnika.

Pod wpływem impulsu Kana zszedł na dół, rozkoszując się chłodną bryzą wiejącą delikatnie od tafli jeziora.

Bez pośpiechu rozpiął tunikę i zrzucił z siebie ubranie, które miał na sobie stanowczo zbyt długo. Doszedł do lustra wody. Długonogie owady przemykały po jej powierzchni. Pod nią poruszały się spokojnie ciemne cienie ryb. Wszędzie panował nieopisany spokój. Był w domu, w ciszy i zapomnieniu. Sięgnął pod podkoszulkę i wyciągnął zaciśniętą dłoń.

Nóż łaski. Trzymał go wysoko, pamiętając smutne plamy na ostrzu ukrytym w małej pochwie, którą miał na sercu przez wszystkie te tygodnie. Wystawił rękę nad wodę, otworzył dłoń i odwrócił ją powoli. Nóż ześliznął się i z pluskiem wpadł na dno, kryjąc się w chmurce poruszonego mułu. Kiedy muł ponownie opadł, po nożu nie został żaden ślad. Zakopał się, tak jak powinno być.

Kana dotknął wody opuszkami palców, czując orzeźwiający chłód i ulgę. Być może marzenia Hansu o przyszłości ich rasy nigdy się nie spełnią, lecz Kana podjął już decyzję. Jeżeli kiedykolwiek wróci między gwiazdy, nie będzie żołnierzem, miecznikiem żadnej klasy.

Będąc tego pewnym, podniósł się i rażno wrócił do budynku. Przekładając jedzenie z lodówki do kuchenki pogwizdywał nieco fałszywie, dając wyraz swej radości. Szczęście im dopisywało — przynajmniej dotychczas. Dotarli na Ziemię i musieli jedynie skontaktować się z Matthiasem w Primie. Ta część zadania wydawała się dziecinnie prosta. Z uśmiechem spojrzął na Hansu wchodzącego do kuchni, jednak twarz dowódcy była przygnębiona.

— Połączenie dobre, sir? — Kana rozlał gulasz na talerze.

— Tak. To było proste... zbyt proste...

— Zbyt proste, sir?

— Wyglądało, jakby ktoś czekał na ten telefon. Dlatego nie skorzystamy z helikoptera.

Kana niemal upuścił pojemnik z gulaszem — Co...

— Dlaczego tak myślę? A co wzbudziło w tobie podejrzenia tuż przed powodzią, która niemal cię zgubiła w górach Fronn? Skąd wiedziałeś, że Venturi mieli schowek na dachu jednego z magazynów? Szósty zmysł, pozazmysłowe ostrzeżenie? Skąd mam wiedzieć? Jednak jestem pewien, że pozostawanie tu nie będzie dla nas zbyt zdrowe.

Kana wstał od stołu z westchnieniem. — Na otwartej przestrzeni sir łatwiej nas

znajdą — zaprotestował bez większego przekonania.

— Może znajdziemy tu gdzieś joppera. Zwykle zostawiają jeden lub dwa na stacji.
— Hansu ruszył w kierunku magazynu maszyn.

Znów miał rację. Dwa wozy o zaokrąglonych nosach stały w garażu. Pokrywała je warstwa środka konserwującego, lecz poza tym były w doskonałym porządku. Starczyło kilka minut, żeby usunąć tłusty nalot czyszczącym sprayem. Zanim Hansu wsiadł do kabiny kierowcy, narzucił na siebie bladozielony kombinezon ściągnięty z haka na ścianie. Drugi taki sam rzucił Kanie. W ten sposób bojowe mundury mechów zostały dobrze ukryte i można ich było wziąć za zwyczajnych robotników rolnych.

Jopper z cichym pomrukiem wyjechał na szosę i sunął po gładkiej powierzchni. Gdyby ich ktoś obserwował z góry, niczym nie różnili się od innych pojazdów. Wielu zawodowych kierowców miało na głowach irokezy najemników. Wiejska droga wkrótce doprowadziła ich do głównej autostrady, gdzie znaleźli towarzystwo. Otoczyły ich olbrzymie wozy transportowe. Hansu zmniejszył szybkość, zadowolony, że wmieszał się w tłum pojazdów zmierzających ku Primie. Kana zauważył, że większość ciężarówek przewoziła zaopatrzenie — zaopatrzenie, które później miało być przesłane na inne światy, do legionów i hord błądzących po międzygwiazdnych szlakach. Od dawna Ziemia nastawiła się na zaopatrywanie żołnierzy. Co się stanie, jeżeli nagle cały ten system się zawali, jeżeli zniknie racja istnienia hord i legionów? Ile będzie trzeba czasu, żeby przestawić ten świat i skierować energię jego mieszkańców na inne cele? Przysypiał od czasu do czasu i żałował, że zostawił nietknięty gulasz na talerzu. Prawdziwe ziemskie jedzenie — świeże, gorące, żadne tam racje żywnościowe! — Co; się dzieje?

Kana poczuł gwałtowne hamowanie i otworzył oczy. Jednak okrzyk Hansu nie był skierowany do niego. Zwracał się do schowanego w baloniastej kabinie kierowcy wielkiej ciężarówki, która zatrzymała się gwałtownie tuż obok ich pojazdu. Niespodziewanie znaleźli się w stojącej masie wozów ciężarowych i pasażerskich jopperów.

Dowódca otrzymał jakąś niewyraźną odpowiedź, która nie dotarła do Kany. Na jego twarzy znów pojawił się wyraz napięcia.

— Gdzieś tam z przodu jest punkt kontrolny, którego nigdy dotąd nie było.

— Sądzisz, że nas szukają, sir?

— Całkiem możliwe. Miejmy jednak nadzieję, że szukają przemytnika.

Przemytnik, jeden z nielegalnych handlarzy żywnością i narkotykami, był typem przestępcy, na którym koncentrowała się niemal cała działalność ziemskiej policji. Jeżeli żandarmeria poszukiwała przemytnika, trzeba się było spodziewać, że każdy jopper i każda ciężarówka zostaną dokładnie przeszukane, każdy będzie musiał się wylegitymować. Wystarczy jedno spojrzenie na ich naramienniki ukryte pod kombinezonami i zostaną natychmiast zgarnięci. W końcu było dość prawdopodobne, że to właśnie oni byli poszukiwani.

— Czy możemy się stąd wymknąć, sir, zjechać gdzieś na bok?

Dowódca potrząsnął przecząco głową.

— Gdybyśmy spróbowali teraz czegoś takiego, od razu byśmy się zdradzili. Szkoda, że nie wiem, kto dowodzi tym posterunkiem. To mogłoby być ważne...

Jeżeli wicekomandor Matthias był członkiem jakiejś tajemnej organizacji walczącej o wolność Ziemian, jak sugerował Hansu, muszą być również i inni o podobnych poglądach, rozrzućeni po całym dowództwie. Dzięki temu Hansu mógł zażądać pomocy, o ile jeden z nich właśnie pełniłby tu służbę. Jednak szansę na to były niezwykle małe.

Dostrzegli kilku mężczyzn idących skrajem autostrady, żeby zobaczyć, co zatrzymało cały ruch. Hansu przyglądał się im przez chwilę, a potem wysiadł z

joppera. Dołączywszy do nich udawał, że kuleje, maskując w ten sposób sprężysty krok miecznika.

Kana wyszedł na pole po drugiej stronie, żeby zobaczyć, co dzieje się z przodu. Był to tymczasowy punkt kontrolny; srebrzyste hełmy policjantów lśniły w słońcu. Było już jednak późne popołudnie. A z zapadnięciem ciemności, jeżeli nie będą musieli pojechać pod posterunek, zanim nastanie mrok... Obejrzał się dookoła, oceniając teren pod kątem możliwości ucieczki.

Zobaczył, że policjanci zaczęli rozwijać sprzęt oświetleniowy, rozstawiając lampy na pół mili od punktu kontrolnego. Zauważył, że ich blask nie dotrze do ich joppera, o ile nie posuną się do przodu. Nagle łomot płatowca zmusił go do odwrócenia głowy. A więc tak próbowali się upewnić, że żaden z zatrzymanych pojazdów nie opuści swego miejsca! Policyjny helikopter powoli przesunął się wzdłuż szeregu unieruchomionych wozów.

Oczami przyzwyczajonymi od dziecka do oceny takich problemów Kana obserwował przelatującą nad nim maszynę. Oszacował jej prędkość za pomocą zegarka. Tak, wyglądało to na zwyczajny patrol. Była to najbardziej wyszukana pułapka zastawiona na przemytników, jaką zdarzyło mu się kiedykolwiek oglądać. Mogło to oznaczać albo że poszukiwany przestępca był najwyższej klasy — w co Kana nie wierzył, ponieważ prawdziwi bossowie nie podróżowali sami; wynajmowali innych, którzy brali na siebie całe ryzyko — albo też policja szukała kogoś zupełnie innego. Kogo? Ich?

Kierowcy, którzy poszli naprzód, wracali teraz, głośno wyrażając swe niezadowolenie. Najwyraźniej nie usatysfakcjonowały ich odpowiedzi otrzymane od policjantów. Hansu był wśród nich.

— Helikopter patroluje drogę, sir — zameldował mu Kana.

— Wiem — dowódca gestem nakazał mu, żeby wszedł do joppera. — Musimy się teraz nad tym zastanowić, i to szybko.

— Czy szukają przemytnika, sir?

— Sądzę, że raczej nas.

Kana nagle się opanował.

— Ale dlaczego, sir? — zaprotestował. — Policja ziemska nie szukałaby nas z rozkazu Centralnej Kontroli. Przynajmniej jeżeli nie dostałaby dodatkowego rozkazu z dowództwa. A żeby go uzyskać, potrzeba czasu.

— Nie pytaj mnie, dlaczego ani jak! — irytacja Hansu znalazła ujście w tym okrzyku. — Będą starali się ze wszystkich sił nie dopuścić do naszego spotkania z Matthiasem. Mogę się o to założyć!

— Ten, kto mógłby to zrobić, musi mieć wpływy w policji. To tylko kwestia czasu, zanim nas złapią, sir. Chyba że ciemności...

— Tak, rzeczywiście robi się coraz ciemniej. To punkt dla nas. Na posterunku każdego dokładnie rewidują.

A oni mieli na sobie mundury mechów i nie było szans, żeby się ich pozbyć.

Hansu otworzył mały schowek na tablicy rozdzielczej i wyjął z niego mapę obszaru, która była na wyposażeniu każdego joppera. Końcem palca przejechał po każdej szosie, potem opadł na siedzenie i oparł głowę o zagłówek. Zamknął oczy, a między brwiami pojawiła mu się głęboka zmarszczka. Słońce niemal już zaszło, lecz pojazdy przed nimi nadal tkwiły nieruchomo. Coraz więcej kierowców gromadziło się na poboczu, spierając się zawzięcie. Raz po raz któryś z nich wracał do swego pojazdu, prawdopodobnie po to, żeby zawiadomić pracodawcę o niespodzianej przerwie w podróży.

— Czy damy radę, sir? Nawet w ciemności? — spytał w końcu Kana.

— Czy uda nam się stąd wydostać? Oczywiście. Jestem tego pewien. Jednak to,

czy uda się nam dojść do Primy, to już inna sprawa. Jeżeli naprawdę czatują na nas, to Prima musi być szczelnie otoczona i pilnie strzeżona. Karr, czego uczyli cię o historii miast sprzed Wielkiego Wybuchu?

Choć trudno było mu zrozumieć, co to mogłoby mieć wspólnego z ich obecną sytuacją, Kana posłusznie wyrecytował wiadomości, które wryły mu się w pamięć podczas pięcioletniego szkolenia.

— Nasi przodkowie budowali wysokie budynki, narażone na działanie silnych wiatrów, ponieważ nie chroniły ich kopuły. To cud, że nie obalały ich wichury...

— A pod ziemią?

Podziemie? Zapamiętał wieżowce, bo były takie niezwykle. Podczas wojen atomowych większość ich mieszkańców chroniła się pod ziemią. W tym stylu życia nie było nic nadzwyczajnego. Na wykładach niewiele o tym mówiono. Przypomniał mu się jeden wykład. Dzień był upalny, a słuchacze marzyli o tym, żeby znaleźć się gdzie indziej, z dala od monotonnego głosu instruktora. Pod ziemią...

— Czasami podróżowali podziemnymi szlakami, nieprawda, sir? W tunelach biegnących pod powierzchnią ich miast.

Hansu skinął głową: — Co robią ci kierowcy? Kana rozejrzał się po okolicy. — Myślę, że budują ogniska. Chyba zaraz sięgną po racje awaryjne. Dowódca wyrwał mapę z oprawy.

— Zaraz do nich dołączymy, Karr. Trzymaj gębę na kłódkę, a uszy miej otwarte. Obserwuj też helikopter policyjny. Chcę wiedzieć, kiedy można się go znów spodziewać.

Chociaż niektórzy kierowcy nadal narzekali, większość z nich uważała ten niespodziewany postój za dodatkowy wypoczynek. Powiadomiwszy swych pracodawców o przeszkodzie, pozbyli się wszelkiej odpowiedzialności. Przy ogniskach panowała ogólna wesołość.

— Tak, jeżdżę na akord — oznajmił wysoki rudowłosy mężczyzna. — Ale jeżeli Centralna Kontrola każe mi się zatrzymać, to się zatrzymuję. Mój szef może się sam z nimi kłócić. Powiedział, żebym postarał się nadrobić stracony czas w dalszej drodze.

Jeden z jego współtowarzyszy potrząsnął głową:

— Tylko nie próbuj skrótów przez rzekę. W nocy to do niczego. Od czasu otwarcia tego nowego odcinka autostrady nie prowadzą już tam napraw i pojawiło się wiele pułapek.

Hansu wmieszał się w grupę, przyjmując pozę doświadczonego kierowcy ciężarówki. Kana pomyślał, że to kolejny doskonały przykład pracy oficera łącznikowego. Na Fronn dowódca traktował Venturich i Llorów jak równych sobie. Tu potrafił dostosować się do klanu rządzącego się własnymi prawami.

— Czy ta droga przez rzekę — zwrócił się do rudowłosego — to skrót do Primy?

— Jasne. — Kierowca zmierzył go badawczym spojrzeniem. — Nie znasz tych tras, chłopie?

— Jestem przydzielony do Primy od niedawna. Prowadzę joppera z zachodu, nie znam tych okolic...

— No cóż, rzeka nie jest zbyt przyjazna, jeśli jej nie masz. To stare koryto, jeszcze sprzed Wielkiego Wybuchu. Przynajmniej tak mówią. W zeszłym roku była tam grupa facetów z Primy. Dłubali w ziemi i znaleźli jakieś starocie. Jednak możesz oszczędzić ze dwadzieścia, trzydzieści mil. Tyle, że oznaczają ją jako niebezpieczną.

— Niebezpieczną! — krzyknął inny. — To prawdziwa pułapka, Lari. Nie obchodzi mnie, co mówi szef. Lepiej tam się nie zapuszczać po zmroku. Nigdy nie zapomnę tej dziury. Mogła wyrwać zawieszenie z największej ciężarówki. Właśnie to ściągnęło tam tych archeologów. Kiedy chcieli ją zakopać, doszli do wniosku, że w głębi może się coś kryć.

— Chrzanisz — Hansu nie wydawał się być zbyt podniecony tą wiadomością.
— Możliwe. Faceci z Primy sądzili, że to część tunelu, ale nie dali rady się przekopać na tyle, żeby mieć pewność. Jeżeli ruszysz powoli, nic ci się nie stanie. Skieruj światła na drogę. Musisz skręcić w lewo ze dwie mile stąd...

— A w nic nie wpadnę?

— Trudno wyczuć. Wszędzie są jakieś ruiny. Powiem ci jedno, kiedy przejedziemy przez posterunek, trzymaj się mojego tyłka, to cię podprowadzę.

Hansu podziękował mu i sobie tylko znanym sposobem przeniósł się do innej grupy, komentującej pożar lasu zauważony przez kogoś po południu. Chwilę później uścisk dowódcy oplótł ramię Kany.

Rozdział XVII

Więżniowie

— Co z helikopterem?

— Przelatuje w nieregularnych odstępach, sir — odpowiedział ponuro Kana. — Nie możemy liczyć, że będzie gdzie indziej.

— Trudno. Gdybyś lepiej znał ten teren, moglibyśmy się rozdzielić i próbować samodzielnie dotrzeć do celu.

— A czy ty znasz teren wystarczająco dobrze, sir?

— Na tyle dobrze, żebym mógł znaleźć drogę do Primy niezauważony. Jeśli uda się nam stąd wydostać, będziemy wygrani.

— A więc potrzebujemy jedynie czegoś, co odwróciłoby ich uwagę...

— Hmm — nie wiadomo, czy dowódca zrozumiał, o co mu chodzi, ponieważ rozmowę przerwał nagle krzyk od strony posterunku. Kierowcy rozbiegli się do zaparkowanych pojazdów. Coś się ruszyło.

Kana wsiadł do joppera, nie widząc żadnego wyjścia z sytuacji. Mimo że panował zmierzch, ogniska dobrze oświetlały teren, a gdyby udało im się przesunąć do przodu, trafiliby na strefę oświetloną latarniami posterunku.

— Hej!

Hansu wychylił się z okna, żeby odpowiedzieć na wezwanie.

— Wszystkie jopperry mają skrócić w prawo — to jest nowy rozkaz. Zaczekajcie, aż droga się opróżni, i walcie na pole.

Czyżby policja ograniczyła poszukiwania, wiedząc, że ich zdobycz musi znajdować się w jopperze? Kana żałował, zresztą nie po raz pierwszy, tego długiego dnia, że nie ma pod ręką jednego z miotaczy mechów. Był zupełnie bezbronny — nie miał nawet noża łaski.

Tymczasem Hansu ruszył. Spod kombinezonu wyciągnął trzycalową metalową rurkę. Powoli, starannie polizał jej powierzchnię i przykleił pod tablicą rozdzielczą. Ciężarówka przed nimi podjechała kilka jardów i Hansu skierował joppera w prawo, a potem rzucił w stronę towarzysza:

— Ściągnij materac z tylnego siedzenia i podaj go tu! Kana wykonał rozkaz.

Pojazd podskakiwał na nierównej zwierzchni pola. Z korka wyłaniały się pozostałe jopperry.

— Gotowe! — Hansu nastawił wskazówkę zapalnika i kopnięciem otworzył drzwi.

— Wyskakuj!

Kana z impetem otworzył drzwi po swojej stronie i wypadł na zewnątrz; przetoczył się kilka razy, zdzierając skórę na szorstkiej powierzchni. Zanim wytracił szybkość, odczołgał się jeszcze parę metrów od drogi. Za chwilę ciemności rozdarł błysk płomieni i rozległ się ogłuszający huk eksplozji. W łoskot płomieni wmieszały się krzyki zaskoczonych i przerażonych kierowców. Wtulił się w ziemię zakrywając twarz, kiedy usłyszał warkot policyjnego helikoptera nad głową.

Kiedy przeleciał, poczołgał się dalej, w stronę otoczonego wiklinowymi krzewami strumyka, który zauważył wcześniej, jeszcze za dnia. A chociaż bał się, że zostanie dostrzeżony, zdołał jednak bezpiecznie tam dotrzeć i skulnął się do wody głębokiej nie więcej niż na stopę.

Odwrócił się i spojrzął w stronę szosy. Ich jopper podpalony przez wybuch spowodowany przez Hansu płonął jasnym płomieniem. Ciężarówki nadal tkwiły w ciasnym korku, a wokół pożaru kotłował się tłum. Było to doprawdy doskonale przygotowane — tylko czy Hansu zdołał uciec?

Kana czołgał się na wschód korytem strumienia. Wiedział, że w tym kierunku leży Prima, i jeżeli miał jeszcze spotkać się z dowódcą, powinien tam zmierzać. Usłyszał, że przed nim coś się porusza, cicho, lecz pewnie. Hansu? A może to jakiś policjant domyślił się, o co w tym wszystkim chodzi?

Odpiął pasek kombinezonu i przygotował się do użycia go, tak jak zrobił to na Fronn. Szelest ustał.

— Karr? — zabrzmiał ledwie słyszalny szept.

— Tak jest, sir! — Tędy!

Kana ruszył biegiem, żeby dotrzymać kroku towarzyszowi. Odeszli daleko w bok od punktu kontrolnego, którego lampy przyćmiewały blask pożaru. Brodzili po pas w strumieniu, dopóki iluminacja nie została daleko za ich plecami. Hansu trzymał się wody tak długo, aż niewielkie wzgórze odcięło ich od autostrady i posterunku.

— Dokąd idziemy, sir? — spytał, kiedy wyszli z potoku pod ochroną drzew i krzewów.

— Do tej nadrzecznej drogi, o której mówili kierowcy. — Dowódca szedł już wolniej, przyciskając do piersi prawe ramię.

— Jesteś ranny, sir?

— Trochę się oparzyłem. Musiałem postawić materac na siedzeniu, zanim wyskoczyłem.

Dopiero teraz Kana zrozumiał. W kłębach dymu i żarze uniemożliwiającym zbliżenie się do pojazdu, materace można było wziąć za sylwetki uwięzionych w nim ludzi.

— Mogę obejrzyć ranę, sir?

— Później. — Hansu był całkowicie pochłonięty powiększaniem odległości między nimi a policją.

To „później” trwało bardzo długo. Wyczucie kierunku dowódcy i doskonała znajomość mapy doprowadziły ich do węższej szosy odbiegającej na południowy wschód od autostrady. Ponieważ była pusta, szli środkiem, dzięki czemu mogli posuwać się szybciej.

Księżyc był już wysoko, kiedy Hansu zatrzymał się i zaczął rozglądać po obrzeżach drogi. Kana dołączył do niego w poszukiwaniu rowów.

— Daj latarkę — Hansu rzucił te dwa słowa z wysiłkiem. Kana wyciągnął latarkę, nastawił ją na małą moc i oświetlił najbliższy z rowów. Na dnie wykopu znajdowały się szczątki ceglanego chodnika. To właśnie musiały być ruiny, o których wspominali kierowcy. Hansu głośno liczył rowy.

— ...cztery, pięć, sześć. To tamten, szósty po lewej stronie. Kana przesunął promień światła na wskazany wykop.

Kiedy na dnie pojawiły się kamienie i starożytne cegły, Hansu zsunął się do niego niezgrabnie. Kana wskoczył za dowódcą, starając się zachować równowagę na nierównym chodniku. Nie miał pojęcia, co zamierza Hansu, lecz wołał wstrzymać się z pytaniami.

Ten rów był dłuższy od pozostałych, odbiegał daleko od drogi, ale wreszcie dotarli do stosu suchych gałęzi i kamieni na jego końcu. Hansu pociągnął lewą ręką za gałąź, a Kana skoczył, żeby mu pomóc. Za stosem śmieci ukazała się ciemna dziura.

— Co...? — zaczął Kana.

— Przejścia podziemne... z dawnych czasów... prowadzą do Primy — odpowiedź Hansu była przerywana, dowódca mówił z wyraźnym wysiłkiem. Kana oświetlił jego twarz. Pot strużkami spływał po zakurzonych policzkach. Hansu wyglądał na człowieka, który porusza się wyłącznie siłą woli.

Kana wyczuwał jednak, że nie był to właściwy czas na ofiarowanie pomocy. Skierował światło ponownie na dziurę. Kiedy wszedł do środka, stało się oczywiste,

że to konstrukcja wykonana ludzkimi rękami. Pod butami miał dwa pasma pyłu, które kiedyś musiały być metalowymi szynami.

Te starożytne tunele często bywały śmiertelnymi pułapkami. Idąc naprzód napotykali boczne korytarze z zawalonymi sufitami; dwa razy musieli przekopywać się przez rumowiska, blokujące przejście. Jednak, co zaskakujące, im bardziej oddalali się od wejścia, tym lepszy był stan tunelu. Kana nie mógł uwierzyć, że te korytarze były opuszczone od czasów wojen atomowych. Jego podejrzenia umocniły się, kiedy w jednym z korytarzy dostrzegł metalowe stemple lśniące w świetle latarki, nie naruszone przez wilgoć.

Tunel główny, którym się posuwali, rozszerzał się. Pojawiało się coraz więcej odgałęzień. Kiedyś musiało to być główne wejście do Primy lub raczej do niemal już zapomnianego portu morskiego, na którego ruinach ją zbudowano.

— Jak daleko jeszcze?

— Nie wiem — Hansu szedł mechanicznie. — Słyszałem o tym. Powinniśmy skontaktować się z wysłannikami, może któryś z ich pojazdów nas znajdzie.

Kana niewiele z tego rozumiał, ale wołał się nie sprzeciwiać. Chyba domyślał się, kim mogą być owi „wysłannicy” — członkami tajemniczego podziemia sił zbrojnych, którymi prawdopodobnie dowodził Matthias. Nie miał jednak pojęcia, na jakiej podstawie Hansu liczył na rychłe spotkanie z nimi.

Minęli szeroki zakręt, którym kiedyś biegle dwie pary szyn, i znaleźli się w ogromnym pomieszczeniu, gdzie ich kroki odbijały się głuchym echem, a promień latarki nie sięgał ścian. Kana włączył ją na największą moc i dopiero wówczas zobaczył łukowo sklepienie wejścia do licznych tuneli. Stali na środku kręgu, z którego na wszystkie strony świata rozchodziły się nowe podziemne drogi. Które przejście powinni wybrać? Wszystkie wyglądały jednakowo.

Niepokój, jaki Kana zawsze odczuwał w zamkniętej przestrzeni, zaczynał dawać znać o sobie, mimo że ta podziemna sala była ogromna. Poza zasięgiem latarki ciemności były tak przytłaczające, że niemal namacalne, jakby byli naprawdę pogrzebani głęboko pod powierzchnią ziemi, bez nadziei na powrót. Ciężki zaduch związany z wilgocią wzbogacił się o nowe, słabsze komponenty — wspomnienia zamierzchłej przeszłości. Kiedy stanęli, miał wrażenie, że słyszy cichy plusk bieżącej wody gdzieś w pobliżu.

— Którędy teraz? — głęboka niechęć do ciemności, do przebywania pod tonami ziemi, nadała temu pytaniu ton zniecierpliwienia.

Hansu mruknął coś, ale nie odpowiedział, więc Kana dalej przesuwiał promień światła wokół pomieszczenia.

Problem został rozwiązany niespodzianie i dramatycznie. Z jednego z tuneli — Kana nie był nawet pewien, z którego — dobiegł ich ściszony odgłos, który narastał błyskawicznie, przechodząc w jęk syreny. Chwycił Hansu za ramię, próbując zaciągnąć go w ukrycie, skąd mogliby ocenić sytuację.

Było już jednak za późno. Zostali złapani w szeroki strumień światła tak intensywnego, że parzyło im oczy niczym ogień z miotacza. Usłyszeli rozkaz wypowiedziany tak stanowczym głosem, że nie mogli go zignorować:

— Ręce do góry i nie ruszać się!

Z rozpaczą w sercu Kana wykonał polecenie. Stali się bezradnymi, bezbronnymi więźniami.

Trudno było nie domyślić się tego, co potem nastąpiło, wspominał Kana gorzko jakiś czas później. Ściana naprzeciw pryczy, na której siedział, była jednolitą szarą płaszczyzną bez najmniejszej rysy, mogącej pobudzić wyobraźnię lub urozmaicić monotony upływ czasu, który nie dzielił się już na minuty, godziny, dni, czy nawet tygodnie.

Nawet światło w celi zapalało się i gasło w nierównych odstępach, nie pozwalając na przybliżony choćby pomiar czasu. Gdy był głodny, otwierał drzwiczki niewielkiej szluzi obok pryczy i wyjmował z niej kapsułki i plastikowy woreczek z wodą. Nie wiedział, skąd się tam brały.

Najgorsza była nieustanna cisza — gęsta, śmiertelna, szarpiąca nerwy. Chodził od ściany do ściany, ćwiczył mięśnie, pragnąc, by wysiłek fizyczny zmęczył go na tyle, aby mógł przespać choć część wlokących się niemiłosiernie godzin. Był w pułapce bez wyjścia. Wiedział, że nadejdzie taka chwila, kiedy nie będzie dłużej w stanie walczyć z ciszą, kiedy demon klaustrofobii zapanuje nad jego umysłem.

Cały świat skurczył się do rozmiarów ślepej celi gdzieś głęboko pod Primą. Wszystkie funkcje celi były całkowicie automatyczne. Mógłby zostać zapomniany przez wszystkich, pozostawiony tu przez lata całe, a i tak będzie otrzymywał swe racje żywnościowe, światło będzie się zapalać i gasnąć zgodnie z jakimś dziwacznym schematem ustalonym przez maszynę — ale czy wciąż będzie mógł uważać się za żywego?

Kiedy zorientował się, że zbyt często zaczyna o tym myśleć, zaczął walczyć, zmuszał się do innych myśli. Gdyby tylko miał tu jakąś kasetę albo coś do pisania. Było to równie nierealne marzenie, jak pragnienie wolności! Nie wiedział nawet, czy został już osądzony i skazany, czy też dopiero czekał na rozprawę.

Hansu pomylił się, pomylił się strasznie, wierząc, że podziemne tunele Primy były nieznane dowództwu. W grupie, która ich powitała na rzęsiście oświetlonym dworcu pod Kwaterą Główną, był agent Centralnej Kontroli.

Wzięli ich bez walki. Zastanawiał się, co stało się z Hansu. Ostatni raz widział go, kiedy zostali rozdzieleni w pokoju przesłuchań.

Specjaliści od przesłuchań nie stosowali brutalnych metod. Stosowanie tortur w celu rozwiązania języków upartych więźniów zostało zaniechane przed wiekami. Teraz wszystko załatwiały leki. Po odpowiedniej dawce nie było rzeczy, którą człowiek byłby w stanie zataić. Kana był pewien, że wypaplał każdy sekret, każdą myśl, każdemu, kto miał ochotę tego wysłuchać. Kiedy odzyskał przytomność, był już w celi, w samych szortach, i od tej chwili nic się nie zmieniło.

Przyszedł czas na zajęcia, jakie sobie wyznaczył: po każdym posiłku starał się przypomnieć sobie całą zgromadzoną dotąd wiedzę o innych światach. Czasami udawało mu się skupić na tym na niezłych parę minut.

— Zacan — powiedział na głos, starając się wymawiać obce nazwy jak najwierniej — jest planetą typu Ziemi. Jej masy lądowe to głównie gęste archipelagi. Największy z nich to Zorodał. Cytadela Zorodał została założona w okresie na wpół mitycznego panowania Pięciu Króli, opisywanych w licznych legendach. Badania archeologiczne zweryfikowały niektóre podania i wykazały, że znajdują się tam pozostałości po co najmniej dziesięciu cywilizacjach. Czasami nawet tysiąc lat minęło między upadkiem jednej a rozwojem następnej. Zacathianie pochodzą od gadów, spokrewnionych z ziemską jaszczurką. Żyją wielokrotnie dłużej od ludzi. Nie są agresywni, posiadają kontemplacyjny umysł z naturalną zdolnością do badań historycznych. Wydali spośród siebie wielu znaczących historyków i filozofów...

Usłyszał kliknięcie i w ścianie otworzył się kwadratowy schowek. Wewnątrz znajdował się zestaw mundurowy. Kana zamarł na moment. Błyskawicznym ruchem złapał zestaw, bojąc się, że to tylko jakaś sztuczka i wszystko zniknie.

Prawdziwy zestaw, zawierający pełne umundurowanie miecznika trzeciej klasy! To musi oznaczać uwolnienie — przynajmniej uwolnienie z tej celi. Może czekał go proces, a może powrót do służby, albo też... Niezgrabnie zapinał pasy. Przynajmniej był ubrany. Brakowało jedynie miecza, pusta pochwa wisiała na pasku. Nie miał też noża łaski.

Kończył zapinać hełm, kiedy rozsunęły się drzwi i wyszedł na korytarz. Otoczyli go żandarmi, dwóch z przodu, dwóch za nim. Zastanawiał się, czy powinien odebrać tak silną eskortę jako pochlebstwo. Zrównał z nimi krok, wiedząc, że zadawanie pytań byłoby bezsensowne.

Winda wiozła ich błyskawicznie z piętra na piętro budynku administracyjnego Kwatery. Wyszli w szerokim holu. Ścienne malowidła przedstawiające sceny ze światów, w których legiony i hordy tworzyły historię, przeplatały się z dużymi oknami, za którymi pierwszy raz od zejścia pod ziemię zobaczył Primę. Było wczesne przedpołudnie. W dole widział zatokę otwierającą się na morze. Tradycja mówiła, że starożytne ruiny, na których zbudowano Primę, były zaledwie skrajem wielkiego miasta położonego na wyspie w miejscu dzisiejszej zatoki, miasta, zalanego przez morze podczas wojen atomowych. Chmary helikopterów przelatywały między budynkami na wybrzeżu. Był to taki sam dzień jak ten, w którym pierwszy raz znalazł się w Primie, żeby zgodzić się na przydział do hordy Yorke'a.

Strażnicy nie pozwolili mu patrzeć przez okna i rozmyślać filozoficznie p przeszłości. Wprowadzili go pospiesznie do sali przyjęć. Stał przed Trybunałem. Same wysokie szarże — niemal najwyższe! Zobaczył trzech spośród czterech członków Rady Dowództwa, pozostałymi dwoma członkami Trybunału byli agent Centralnej Kontroli i oficer z patrolu galaktycznego, sądząc po odznakach zastępca dowódcy sektora. Kana zeszywniał. Jakim prawem ci obcy mieli być jego sędziami? Był pewien, że może protestować przeciw temu, zgodnie z Kodeksem Wojskowym. Odłożył to jednak na chwilę, stanął na baczność i zameldował się regulaminowo.

— Kana Karr, miecznik trzeciej klasy, przydział: horda Yorke'a, miejsce służby: Fronn.

Hansu, gdzie był Hansu? Dlaczego sądzono ich oddzielnie? Bardziej niż kiedykolwiek przedtem pragnął choć przez moment porozmawiać z dowódcą, ponieważ dokonał kolejnego szokującego odkrycia: jeden z oficerów, przed którymi stał, to był Matthias — ten sam Matthias, który, jak Hansu był pewien, miał być ich obrońcą i stanąć po ich stronie, jeżeli zdołają dotrzeć do niego.

Twarze oficerów nie wyrażały najmniejszych emocji, lecz agent Arcturianin, w szkarłatnej szacie ze złotymi zdobieniami, wyglądający nieco krzykliwie na tle zielonoszarych strojów Ziemian, wiercił się niecierpliwie na fotelu, jakby chciał przyspieszyć postępowanie, lecz nie miał śmiałości. Dla kontrastu na twarzy oficera patrolu malowała się nuda.

Przed przewodniczącym Trybunału leżał miecz archów. Stanowiło to odpowiedź na jedno z nurtujących go pytań. Został skazany bez prawa do obrony. Jak mogli? Przesłuchujący wyciągnęli z niego prawdę. Ci ludzie musieli dowiedzieć się o masakrze na Fronn, o dziwnej scenie przy statku patrolu, o wszystkim, co stało się na Fronn. Wobec tego — jak mogli?

— Za nielegalne kontakty z mieszkańcami innych światów — zaczął przewodniczący — za opuszczenie towarzyszy walki na obcej planecie, za kradzież statku należącego do patrolu galaktycznego uznajemy cię, Kano Karr, mieczniku trzeciej klasy z grupy archów, za niezdolnego do służby poza Ziemią. Zostajesz pozbawiony wszelkich wojskowych tytułów i przywilejów i wysłany do obozu pracy na resztę życia.

Nawyk dyscypliny trzymał go w postawie na baczność. Obóz pracy do końca życia — to niewolnictwo. Czuł, jak narasta w nim gwałtowny, oślepiający gniew. Musi powiedzieć tym mumiom parę słów gorzkiej prawdy, zanim go tam wyślą. Zresztą jeszcze nie był w obozie, jeszcze nie!

Mówiąc zwrócił się nie do Ziemian, lecz bezpośrednio do agenta.

— Miałem okazję przekonać się, jacy jesteście naprawdę, ty i twoja rasa —

powiedział przez zaciśnięte zęby. Starożytna żądza krwi, która kiedyś popychała jego malajskich przodków do walki nawet beznadziejnej, mogła zostać stłumiona przez domieszkę genów innych, bardziej pokojowych nacji, jednak nadal w nim tkwiła i doszła teraz do głosu.

— Na razie możecie jeszcze zmuszać Ziemian do wykonywania waszych rozkazów, ale nadejdzie dzień, kiedy nam za to zapłacicie...

Biała twarz Arcturianina nie zmieniała wyrazu. Przestał się wiercić, siedział nieruchomo i przyglądał mu się przez zwężone powieki jak drapieżny ptak gotów do ataku.

— Jak długo — Kana zwrócił się teraz do Ziemian w Trybunale — jak długo będziecie mogli ich kryć? Wiecie z moich zeznań, co z nami wyprawiają w kosmosie. — Przerwał na chwilę, żeby zapanować nad głosem. — Spełniłem akt łaski wobec Deke Millsa po wysłuchaniu jego historii. Wiecie przecież, wszyscy wiecie to doskonale, co mi powiedział. Jesteśmy ludźmi walki, nawet jeżeli jesteśmy jedynie najemnikami, sprzedającymi innym swoje zdolności.

Czyż nie nadszedł już czas, abyśmy zaczęli własną walkę z mordercami? — skierował oskarżenie na Arcturianina i oficera patrolu.

Starął się znajdować i dobierać słowa, które mogłyby do nich dotrzeć, które podtrzymałyby jego gniew. Nagle się uspokoił. Po co ma tu stać i głądzić, kiedy tak naprawdę marzył jedynie o tym, by poczuć, jak pięścią masakruje znienawidzonego Arcturianina? Po co gadać? Nic, co miałby im do powiedzenia, i tak do nich nie dotrze, nic nie poruszy nawet tego zdrajcy Matthiasa.

Podniósł dłoń w salucie i wyszedł z sali w towarzystwie eskorty. Czy zabiorą go znów do podziemnej celi? Czy spróbują tego — bo tym razem musieliby się już bardziej wysilić. Był zdecydowany na ucieczkę.

Hansu. Jeżeli on dostał dożywocie w obozie pracy, to dowódca musiał zostać stracony! Jak bardzo Hansu pomylił się co do Matthiasa i nadejścia nowej ery. Jeżeli Matthias był zdrajcą, buntownicy nie mieli cienia szansy.

Weszli do windy i zjechali na dół, lecz nie na poziom celi. Wprowadzili Kanę do małego pokoju przy głównym korytarzu, tuż obok któregoś z wejść do budynku — był tego pewien, obserwując tłum żołnierzy przechodzących przez hol. Pilnował go tylko jeden strażnik przy drzwiach. Miał czekać. Czekać? Nie, działać!

Rozdział XVIII

Gwiazdy bez strażników!

Kana błyskawicznie oceniał sytuację. Był w mundurze, tyle że bez broni. Gdyby przy drzwiach nie siedział strażnik, mógłby po prostu wyjść z pokoju, wmieszać się w tłum na korytarzu i opuścić budynek. Kiedy znalazłby się na ulicach Primy, na pewno potrafiłby się z niej wydostać. Pozostawał jedynie problem strażnika.

Przyjrzał mu się ukradkiem. Facet tłumiał ziewanie. Wyraźnie nie spodziewał się żadnych kłopotów ze strony więźnia. Pokój nie wydawał się przeznaczony do przetrzymywania skazanych; bardziej przypominał poczekalnię dla niższych rangą gości. Ława, na której kazano mu usiąść, była wyściełana, na ścianie po lewej stronie umieszczono ekran systemu komunikacyjnego, niewidoczny dla strażnika. Ten często gapił się na ludzi przechodzących korytarzem, a Kana nie mógł oderwać oczu od ekranu. Czy nie można by go jakoś wykorzystać? Mała improwizacja. Poczekał na moment, kiedy żandarm zapatrzył się na korytarz, i zerwał na równe nogi.

— Czerwony alarm! — krzyknął, jakby przestraszony. Strażnik odwrócił się natychmiast i zrobił krok do przodu, żeby spojrzeć na ekran.

— Nic nie widzę... — zaczął, lecz natychmiast opanował się, obrzucając Kanę gniewnym spojrzeniem, zły, że dał się sprowokować do odezwania się do więźnia wbrew wyraźnym rozkazom.

— Zapalił się czerwony alarm! — upierał się Kana wskazując na urządzenie.

Strażnik niechętnie podszedł do ekranu. Jeżeli rzeczywiście błysnął na nim sygnał czerwonego alarmu, jego obowiązkiem było zadzwonić natychmiast po instrukcje. A nie mógł być pewien, że alarmu naprawdę nie było.

— Możesz trzymać mnie na muszce — popędzał go Kana — Mówię ci, że to był czerwony alarm!

Żandarm uniósł miotacz, kierując go na brzuch Kany. Zwrócony plecami do ściany, z oczami utkwionymi w więźnia, przesuwiał się coraz bliżej ekranu.

— Siadaj! — rozkazał Kanie.

Ten opadł na ławę, sprężony do skoku, gotów do akcji.

Czekał na sekundę, kiedy strażnik będzie musiał odwrócić się bokiem, żeby przycisnąć przycisk z pytaniem pod wizjerem. Jeżeli wówczas skoczy...

Nadszedł ten właśnie moment. Kana rzucił się naprzód tuż nad podłogą. Uderzył ramionami kolana strażnika i usłyszał głuchy trzask, kiedy głowa żandarma zderzyła się z ekranem. Zerwał się do dalszej walki, lecz ciało, które pochwyił, było bezwładne. Nieco zdumiony tak niezwykłym szczęściem — facet musiał stracić przytomność po uderzeniu w ekran — zabrał mu miecz i miotacz. Jednak po chwili zastanowienia odłożył go. Jedynie żandarmi mogli poruszać się po bazie uzbrojeni w miotacze. Wsunął miecz do pochwy i miał nadzieję, że szczęście go nie opuści.

Wcisnął strażnika skrzepowanego pasami z kneblem z własnej koszuli w ustach pod ławę. Poprawił na sobie mundur, włożył hełm, który spadł mu z głowy podczas błyskawicznego ataku, i wzięwszy głęboki oddech wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi od poczekalni. Miał może pięć minut, zanim rozpocznie się pościg. Miał też miecz, więc nic już nie wyróżniało go z tłumu żołnierzy na ulicach Primy.

Ulice Primy. Im szybciej się z nich wydostanie, tym lepiej. Ta ucieczka była czystą improwizacją i dlatego może się powieść, ale mimo to pragnął opuścić Primę jak najszybciej. Krokiem człowieka, który ma ważną sprawę do załatwienia, przeszedł ostatni odcinek korytarza i znalazł się na zewnątrz, przy lądowisku helikopterów na dwudziestym piętrze. Z jednej przypominającej ważkę maszyny wysiadł właśnie jakiś

weteran i pilot zamierzał poderwać helikopter do lotu, kiedy Kana dał mu ręką znak. Pilot czekał niecierpliwie.

— Dokąd?

Kana żałował, że nie zna miasta. Był jednak pewien, że powinien trzymać się jak najdalej od portu kosmicznego czy portów międzykontynentalnych. Były zbyt dobrze strzeżone i kiedy tylko wyda się jego ucieczka, natychmiast zostaną o nim powiadomione. Zdenerwowany niecierpliwością pilota podał mu jedyny adres w mieście, gdzie był już wcześniej.

— Komisja rekrutacyjna.

Wzniesli się i skręcili na zachód. Kana starał się rozpoznać budynki, nad którymi przelatywali. Czy dałby radę uciec wodą? Z Primy wychodziło jedynie pięć autostrad. Na wszystkich były posterunki, gdzie pojazdy przeszukiwano, żeby zapobiec przemytowi.

— Jesteśmy — oznajmił pilot.

Siedzieli na lądowisku komisji. Kana podziękował mu krótko i windą zjechał na dół, kierując się nie ku głównej sali ani nie na piętra, gdzie oficerowie rekrutacyjni siedzieli w swych kantorkach, lecz prosto do miejsca, które nie tylko oferowało mu tymczasowe schronienia, ale i pomoc w zaplanowaniu następnego posunięcia.

Biblioteka była równie pusta jak wtedy, gdy pierwszy raz przeszedł przez jej dźwiękoszczelne drzwi. Jedna kabina tuż przy wejściu była oświetlona, co znaczyło, że jest zajęta, lecz pozostałe były ciemne. Kana zamówił jednocześnie cztery kasety i schował się z nimi do ostatniej kabiny w szeregu. Wsunął kasety do maszyny i wyciągnął się wygodnie na rozkładanym fotelu.

Po trzech kwadransach ostatnia kaseeta przewinęła się do końca. Zdjął słuchawki, ale nie wstał z miejsca. Znalazł dwie możliwe odpowiedzi na swoje pytanie. Przynajmniej miał w czym wybierać. Lekko uchylił drzwi kabiny i rozejrzał się po pomieszczeniu. Światelko przy wejściu zgasło, ale teraz trzy inne kabiny były zajęte. Czy to mogło o czymś świadczyć? Skąd takie powodzenie? Może szykowała się jakaś większa wyprawa?

Nie znalazł żadnego logicznego wytłumaczenia, dlaczego mieliby tutaj szukać właśnie jego. Naturalnym odruchem każdego uciekiniera byłoby dążenie do wyrwania się z Primy za wszelką cenę, i to jak najszybciej. Z pewnością nikt nie spodziewałby się, że w takich okolicznościach pójdzie do biblioteki w komisji rekrutacyjnej.

Dwa wyjścia. Położył się z powrotem na fotelu i próbował ułożyć jakiś sensowny plan. Droga morska — umiał pływać, choć ostatnio nie trenował zbyt wiele. I starożytne tunele — czy policja może podejrzewać, że będzie chciał z nich skorzystać po pierwszym niepowodzeniu?

Był głodny. Starannie wyważona dieta więzienna na pewno nie miała dostarczyć mu zapasu energii. Bał się pokazywać w stołówce. Zresztą nie mógł się tam dostać nie pokazawszy naramiennika, który natychmiast by go zdradził. Trzeba ustalić jakiś porządek: najpierw wydostanie się z Primy, potem troska o żołądek. Wydostać się z Primy — nadal nie mógł się zdecydować, którą drogę wybrać.

Przesiadanie tu niewiele mu pomoże. Przyswoił sobie wszystkie informacje z kaset. Czas ruszać. Podjął decyzję w ułamku sekundy.

Najstarszym budynkiem na Primie było Muzeum Historyczne. Ponieważ zainteresowanie Ziemią historią nigdy nie było zbyt wielkie, budynek stał zwykle opustoszały. Jednak, zgodnie z danymi z kasety, został wybudowany na fundamentach budowli sprzed wojen atomowych. Dzięki temu mógł liczyć, że znajdzie w nim wejście do sieci przejść podziemnych z tamtej epoki. Nie była to duża szansa, ale był przyzwyczajony do brania pod uwagę nawet tych najmniejszych.

Wyjął kasety i wyszedł z kabiny. Przeszedł szybko obok tych ze światelkiem, oddał

kasety i znalazł się na korytarzu, starając się nie sprawiać wrażenia osoby, której się spieszy. Na szczęście budynek, którego szukał, znajdował się zaledwie o trzy przecznice od komisji rekrutacyjnej, a mundur wtapiał go w anonimowy tłum.

Kiedy schodził z szerokich stopni na chodnik, usłyszał za sobą odgłos przyspieszonych kroków. Ktoś się najwyraźniej bardzo spieszył. On też przyspieszył i wsunął kciuk za pas tuż przy rękojeści miecza. Jeśli go osaczą, nie podda się bez walki. Lepiej zginąć w płomieniu miotacza, niż spędzić resztę życia w obozie pracy.

Poczuł żelazny uścisk tuż nad łokciem, odciągający jego dłoń od broni, zanim jeszcze zdołał po nią sięgnąć. Archowie o ponurych minach wzięli go między siebie i zrównali krok.

— Nie stawaj.

Kana szedł mechanicznie, patrząc przed siebie. Jednak nie zawrócili w stronę Kwatery Głównej. Nie pojawił się żaden helikopter, żeby zabrać strażników i ich więźnia. Ciągłe szli do Muzeum.

Nie rozumiejąc nic z tego, Kana po prostu maszerował między swymi milczącymi towarzyszami. Wyglądali jak trzej przyjaciele na wycieczce po Primie.

Tuż przed wejściem do Muzeum ten, który trzymał rękę Kany w paraliżującym uścisku, powiedział tylko:

— Tędy.

Zupełnie oszołomiony Kana znów usłuchał. Szli przez pusty hol między szeregiem gablot prezentujących eksponaty z czasów sprzed wojen atomowych wydobyte w pobliżu miasta. Ruchome schody zwiózły ich poniżej poziomu ulicy.

Niespodziewane uwięzienie akurat w chwili, kiedy uważał, że jest bezpieczny, wytrąciło go z równowagi. Teraz zaczynał przychodzić do siebie i zbierał siły, aby przy pierwszej nadarzającej się okazji spróbować znowu się wyzwolić. Tylko dlaczego prowadzili go właśnie tu? Może myśleli, że jest członkiem jakiejś podziemnej organizacji, o której napomykał Hansu, i mieli nadzieję, że doprowadzi ich do swoich? Ciekawość zwyciężyła zaskoczenie. Postanowił zaczekać z ucieczką, aż coś się wyjaśni.

Mijali kolejne sale, kolejne gabloty i szafki z dokumentami. Raz czy dwa razy dostrzegł postać pochyloną nad biurkiem, ale wszyscy sprawiali wrażenie, że nawet nie dostrzegają Kany i jego eskorty — równie dobrze mogliby być niewidzialni.

Szli i szli, aż znaleźli się na końcu tego labiryntu, w małym pokoju wypełnionym maszynami, które wyglądały jak urządzenia klimatyzacyjne. Strażnik idący dotąd po lewej stronie Kany wyprzedził ich nieco, prześliznął się między maszynami i otworzył niepozorne drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące do słabo oświetlonej grotty z peronem, przy którym stało kilka szynowych transportowców.

Jacyś ludzie ładowali na nie potężne pakunki, lecz żaden z nich nie zainteresował się bliżej schodzącą w dół trójką.

— Wejdz — wyciągnięty palec sprecyzował polecenie. Kana wszedł do pustego wagonu i skulił się na małym siedzeniu pod ścianą. Jeden z archów wcisnął się za niego, drugi usiadł z przodu. Pojazd ruszył, nabierając prędkości, zanim wjechał w półmrok tunelu.

Jechali do Kwatery Głównej? Po co podróżować pod ziemią, jeżeli d wiele łatwiej byłoby wsiąść do helikoptera i po chwili być już na miejscu? W miarę upływu czasu Kana zdał sobie sprawę, że nie tylko musieli minąć Kwaterę, ale szybko zbliżali się do granic miasta. Nie miał zupełnie pojęcia, w którą stronę jest wieziony. Równie dobrze mogli być pod dnem zatoki, jak i w głębi lądu. Pojazd zatrzymał się przy kolejnej platformie i strażnicy kazali mu wsiąść.

Nie szli pod górę, lecz poziomym, dobrze oświetlonym korytarzem, mijając znów pomieszczenia wypełnione szafkami na dokumenty, a nawet jakieś laboratoria, w

których pracowali ludzie.

— Do środka.

Kolejny raz Kana nie zaprotestował, wszedł do pokoju i — stanął jak wryty.

— Trzy godziny i dziesięć minut. — Hansu patrzył na zegarek. Odwrócił się do mężczyzny w mundurze wicekomandora. — Lepiej zapłać od razu, Matt. Mówiłem ci, że sobie poradzi. Spóźnił się tylko o chwilę, ale jest tu. Znam swego kandydata!

Tamten wyjął monetę z pasa i poważnie przekazał ją Hansu. Kana zamknął wreszcie usta. Wysoki oficer, który kładł metalowy żeton na wyciągniętą dłoń dowódcy, jeszcze niedawno skazywał go z kamienną twarzą na dożywocie w obozie pracy.

Hansu wreszcie spojrzął na Kanę i przyglądał mu się krytycznie.

— Całkiem nieźle, jak na umarłego — powiedział. — Pół godziny temu zostałeś spalony płomieniem miotacza podczas próby ucieczki transportowcem na wyspy.

Kana znów otworzył usta, lecz tym razem zdołał coś z siebie wykrztusić.

— To ciekawe... jeśli to prawda, sir.

Hansu uśmiechnął się szeroko. Kana pierwszy raz widział taki uśmiech na twarzy dowódcy.

— — Mały kabarecik — powiedział niezbyt jasno. — Witaj w Primie, w prawdziwej Primie. No i poznaj jej gubernatora, komandora Matthiasa.

— Dobrze zrozumiałeś nasze wskazówki, synu. — Komandor patrzył na niego z aprobatą. — Uciekłeś tak sprawnie, jakbyś mógł to wcześniej przećwiczyć.

— Mówiłem ci przecież — przerwał mu Hansu. — Jest dość dobry, żebyśmy mogli go przyjąć.

Kana zaczął rozumieć, dlaczego zostawiono go w małej poczekalni w Kwaterze, i dlaczego tak łatwo uporał się z wartownikiem.

— Przygotowaliście to dla mnie — powiedział niemal oskarżającym tonem. — Śledziliście mnie przez cały czas?

— Nie. Twoja ucieczka miała wyglądać jak najbardziej naturalnie. Po prostu daliśmy ci czas, miejsce i możliwości, coś jakby surowce. Od ciebie zależało, co z nimi zrobisz.

— Więc jak ci ludzie mnie odnaleźli?

— Przez kasety, które zamówiłeś w bibliotece. Zdradziła cię ich kombinacja: Historia Primy, Starożytne ruiny w okolicach Primy, Wybrzeże, mapa Primy — wszystkie zamówione jednocześnie przez jedną osobę. Nie pozostało nam nic innego, jak wysłać po ciebie naszych chłopców.

Kana opadł na ławę, choć nikt mu na to nie zezwolił. To wszystko toczyło się zbyt szybko dla niego. Łatwo, logicznie — ale to, co mówił Hansu, świadczyło o sieci ciasno oplatającej całe miasto, o doskonale działającej organizacji. Co to za organizacja i czemu służy?

— A obóz pracy? — zadał pierwsze pytanie z wielu, jakie kłębiły się mu w głowie.

— Ach, oczywiście, one naprawdę istnieją, żeby ukarać wszelkich przestępców i malkontentów, przynajmniej oficjalnie. — Odpowiedział z uśmiechem komandor. — Tylko nieco różnimy się od agentów Centralnej Kontroli, jeśli chodzi o pojmowanie terminów „obóz pracy” i „przestępstwo przeciw pokojowi galaktycznemu”. Agenci przeżyliby niezły szok, odwiedzając któryś z tych obozów, nie licząc dwóch czy trzech pokazowych. Obecnie znajdujemy się w czymś, co można by nazwać „Obozem numer jeden”. Możemy też przedstawić ci mnóstwo zatwardziałych przeciwników obecnego status quo. Tak więc będziesz musiał odsiedzieć wyrok, jaki dziś na ciebie wydano; nie masz wyjścia. Nie sądzę jednak, żebyś miał coś przeciw temu. Hansu nie protestował. A może się mylę, Trig?

Uśmiech na twarzy dowódcy jeszcze się poszerzył:

— Masz rację, Matt. Będę tyrał pod waszymi batami tak długo, jak siły wyższe mi pozwolą. Żałuję jedynie, że nie zostałem wcześniej wtajemniczony, mógłbym wówczas zrobić dodatkowo wiele rzeczy.

— A co z Kostim i Larsenem, sir? I z resztą hordy na Fronn?

— Kosti i Larsen wylądowali daleko na południu i nasi ludzie ich odnaleźli. Agenci nawet o nich nie usłyszeli. Jeśli chodzi o resztę hordy, no cóż, trzeba będzie załatwić jeszcze parę rzeczy. Na razie siedzą bezpiecznie u Venturich i mam nadzieję, że ubijemy interes z tymi kupcami. Właśnie z takimi szukamy kontaktu. Ściągniemy horde, zanim ci renegaci albo Centralna Kontrola ich dopadną. Z drugiej strony nie możemy załatwić Device'a ani też ujawnić tego, co wiemy o jego mocodawcach. Dopuścimy jednak Venturich do niektórych naszych sekretów, żeby nie myśleli, że złamałeś dane im słowo. Tu, na Primie Dwa, w dość staroświecki sposób podchodzimy do przyrzeczeń i nadal uważamy, że trzeba ich dotrzymywać, o ile jest to w ludzkiej mocy.

Kana czuł się, jakby wyrzucono go w kosmos bez statku. Byłby szczęśliwszy, gdyby ktoś mógł mu wyjaśnić wszystko powoli i po kolei, od początku, prostymi słowami, zrozumiałymi dla jego skołowanego mózgu.

— Chciałbyś pewnie poznać kilka faktów, prawda? — Komandor Matthias chyba czytał w jego myślach. — To wszystko nie jest zbyt proste, nie da się tego wyjaśnić w kilku zdaniach. Cała sprawa sięga daleko w głąb naszej historii, dokładnie mówiąc — trzysta lat. Wiesz przecież, że gdybyś spytał Arcturianina czy Procyonanina, co myśli o Ziemianach, namalowałby ci obraz prymitywnego barbarzyńcy. Przez cały czas była to nasza tarcza, sami podsycaliśmy opinię, że jesteśmy nieokrzesanymi dzikusami o ograniczonej inteligencji. To podnosi samopoczucie wroga, a nam zupełnie nie przeszkadza.

— Tak naprawdę od co najmniej dwustu pięćdziesięciu lat Ziemia jest podwójnym światem, choć stosunkowo mała liczba jej mieszkańców zdaje sobie z tego sprawę. Jedna Ziemia i jedna Prima doskonale dopasowały się do systemu zbudowanego przez Centralną Kontrolę i są przestrzegającymi prawa członkami ich pomniejszej konfederacji, w pełni zadowolając się rolą obywatela trzeciej klasy.

— Jednak od ponad stu lat — ciągnął komandor — jeden transport wojska na dwadzieścia wcale nie jest transportem wojskowym, lecz wiezie pionierów. Są to starannie dobrani mężczyźni i kobiety, którzy mogą przetrwać w najtrudniejszych warunkach, wysyłani w celu zasiedlenia planet odkrytych przez naszych wojowników. Na niektórych z tych światów miejscowe rasy zatrzymały się, a nawet cofnęły w rozwoju, inne są pozbawione własnych form inteligentnego życia, bądź dominują na nich młode, aktywne społeczności humanoidów, z którymi możemy się mieszać i mieć wspólne potomstwo. Są nawet podstawy, aby przypuszczać, że to potomkowie pasażerów owych legendarnych statków kosmicznych, które opuściły Ziemię w czasie wojen atomowych.

— Tak więc Ziemianie zostali dotychczas rozmieszczeni na prawie tysiącu planet. Na trzydziestu z nich nasi koloniści nie mogli się zadomowić. Nie poradzili sobie z miejscowymi chorobami, zmianami klimatycznymi, złośliwymi formami życia. Na sześciu nadal walczą o przetrwanie, lecz na pozostałych nasze kolonie kwitną i powiększają się z każdym dniem.

— Centralna Kontrola dostrzegła spadek liczby urodzin na naszej planecie, co przypisują stopniowemu wymieraniu naszej rasy, która mogłaby się im przeciwstawić. Sądzą, że to skutek ich starannie obmyślonych planów, że jako najemnicy powoli się wykrwawiamy. Dopiero niedawno zaczęli podejrzewać, że coś może być nie tak. Może już zauważyli, że ziemscy kombatanci zawsze wybierają służbę na odległych, zacofanych planetach, może słyszeli o naszych ukrytych koloniach, może domyślają

się, że nasze listy ofiar często zawierają nazwiska osób, które są na ziemi, a nie w ziemi...

— Opuściliśmy Ziemię dla gwiazd, o czym marzyliśmy od dnia naszego pierwszego lotu w kosmos. Centralna Kontrola przymierza się do wystąpienia przeciw nam, lecz z pewnością odkryją, że spóźnili się przynajmniej o dziesięć pokoleń. Nie można wystąpić przeciw koloniom położonym na tysiącu planet, utrzymując jednocześnie pozory sprawiedliwości, niezbędnej do zachowania starannie strzeżonej równowagi sił.

— Zapominasz o naszych sprzymierzeńcach — wtrącił Hansu.

— Masz rację, poprawiając starego biurokratę — zgodził się Matthias. — Oczywiście. Kilka innych młodych i energicznych ras doświadczyło na własnej skórze zakazu eksploracji i kolonizacji wydanego przez Centralną Kontrolę. Kiedy dowiedzieli się, jak z tym walczyć, głównie od łączników działających w naszym imieniu, poszli w nasze ślady. Dziś jest już ze dwadzieścia takich światów. Nasze kłopoty na Fronn, spisek mający na celu przypisanie masakry patrolu zbuntowanej hordzie, zdradzie Yorke'a i jego oficerów — to atak z tyłu, który może doprowadzić do ujawnienia naszych działań. Nawet jeśli tak się stanie, to nam to nie zaszkodzi. Od pewnego czasu jesteśmy na to przygotowani i potrafimy obronić się przed sądem. Zbyt wiele ich działań nie zniosłoby wyciągnięcia na światło dzienne. Tymczasem...

— skinął na Hansu dając mu znak, że teraz jego kolej.

— ...Tymczasem operacja będzie się toczyć jak dotąd, zarówno tu, jak i w kosmosie. Jako łącznik musisz zaraz zabrać się do pracy — zresztą zgodnie z wyrokiem.

Kana nareszcie wszystko zrozumiał.

— Przyjmuję wyrok z radością, sir. Kiedy i gdzie mam zaczynać?

Hansu podszedł do ściany, pociągnął mapę — przed nimi rozwinęła się cała Galaktyka.

— Próbowali trzymać gwiazdy pod strażą i nie udało im się. Nigdy żadna rasa ani gatunek nie będzie mógł tego dokonać! Masz szerokie pole do działania, synu. Cały kosmos jest wolny!